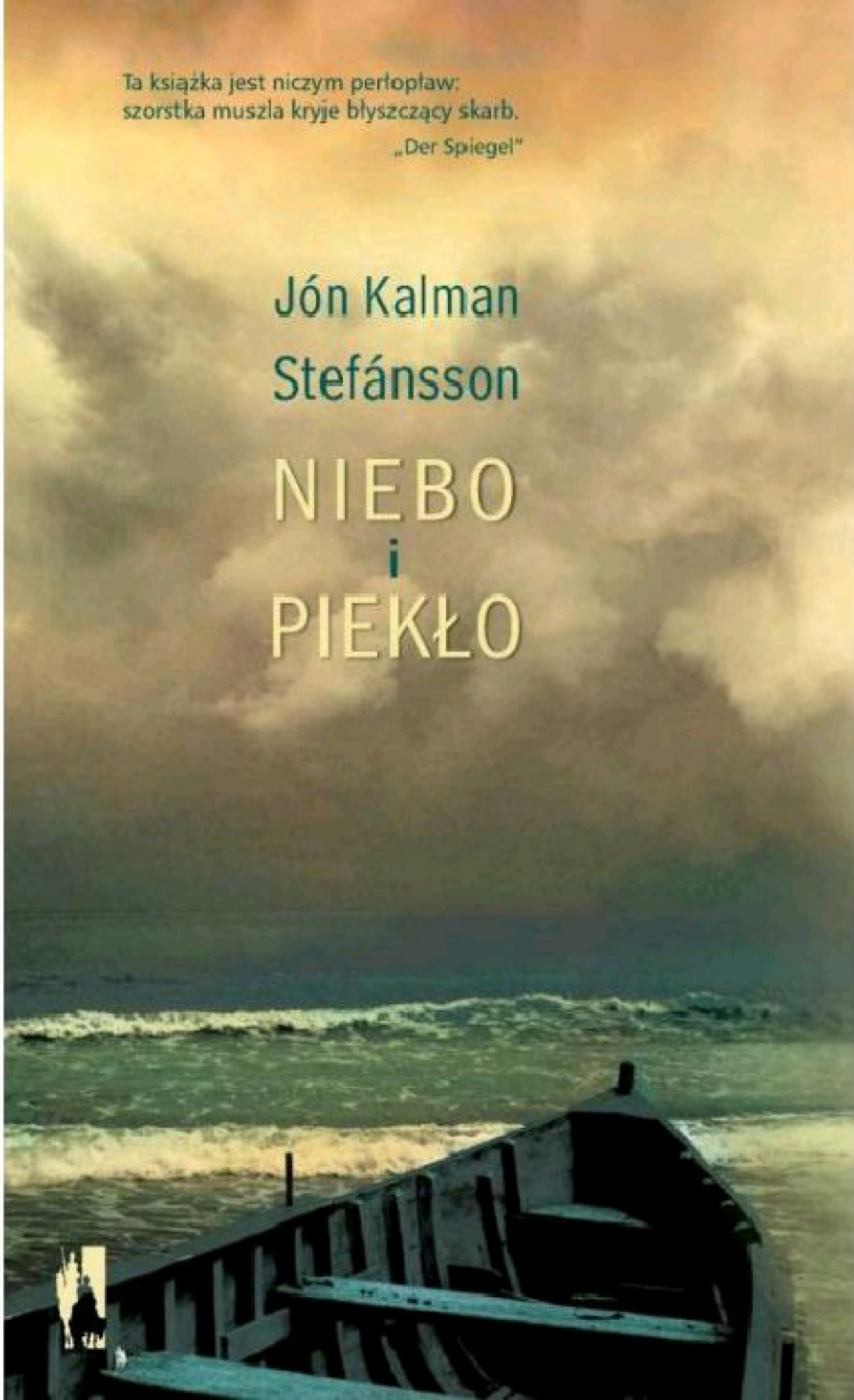


Ta książka jest niczym perłopław:  
szorstka muszla kryje błyszczący skarb.

„Der Spiegel”

Jón Kalman  
Stefánsson

NIEBO  
i  
PIEKŁO



Jón Kalman  
Stefánsson

NIEBO  
i  
PIEKŁO

Przełożył  
Przemysław Czarnecki



Przekład: Przemysław Czarnecki

Redaktor serii: Karolina Iwaszkiewicz

Redakcja: Donata Lam

Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Małgorzata Denys

Redakcja techniczna: Marta Nowakowska

Projekt okładki i stron tytułowych: Monika Kiimowska Ilustracje wykorzystane  
na I stronie okładki:

© Jim Reed/Jim Reed Photography — Severe & / Corbis / FotoChanneis;

© EmiiiaU / istockphoto.com

Fotografia autora: © Einar Faiur

Wydawnictwo w.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Skład: Tekst — Małgorzata Krzywicka

Piaseczno, Żółkiewskiego 7a

ISBN 978-83-7747-287-3

Ten projekt został zrealizowany przy wsparciu finansowym Komisji Europejskiej. Projekt lub publikacja odzwierciedlają jedynie stanowisko ich autora i Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za umieszczoną w nich zawartość merytoryczną.



Tytuł oryginału: *Himnaríki og helvíti*

Copyright © 2007 by Jón Kalman Stefánsson

Published by agreement with Leonhardt & Hoier Literary Agency a/s,  
Copenhagen

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Wydanie 1

Warszawa 2011

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

[virtualo.eu](http://virtualo.eu)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

## Jón Kalman Stefánsson (ur. 1963)



pisarz islandzki. Wykonywał różne zawody, pracował m.in. w przemyśle rybnym, jako murarz, przez krótki czas był policjantem. Studiował literaturoznawstwo, ale nie ukończył studiów. Był nauczycielem literatury w szkole. Pisał dla gazety „Morgunblaðið” i dla islandzkiego państwowego radia. W latach 1992—1995 mieszkał w Kopenhadze, do 2000 roku prowadził księgarnię w Mosfellsbær pod Reykjavikiem, gdzie mieszka dotychczas. Jest autorem kilku tomów wierszy i opowiadań, a także powieści, m.in. nominowanych do Nagrody Literackiej Rady Nordyckiej *Sumarið bakvið brekkuna* i *Ymislegt um risafurur og tímenn*, oraz *Sumarljós og svo kemur nóttin*, za którą w 2005 roku dostał Islandzką Nagrodę Literacką. Prawa do przekładu *Nieba i piekła* (2007) kupiły wydawnictwa z Niemiec, Francji, Szwecji, Danii, Holandii, Hiszpanii, Norwegii, Włoch i Wielkiej Brytanii. Powieść jest pierwszą częścią trylogii. Druga część, *Harmur Englanna*, ukazała się w 2009 roku, obecnie Stefánsson pracuje nad trzecią.

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Jesteśmy niemal ciemnością](#)

[Chłopiec, morze i Raj utracony](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[Pieńko to nie wiedzieć, czy jest się żywym, czy martwym](#)

[Chłopak, Plássið i nieświęta trójca](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[IX](#)

[X](#)

[XI](#)

XII

XIII

XIV

# Dedykacja

Poświęcam pamięci sióstr Bergijóty K. Þráinsdóttir (1938-1969)  
i Jóhanny Þráinsdóttir (1940—2005)



# Jesteśmy niemal ciemnością

*Góry rządzą życiem, śmiercią i domami, które tu na wyspie cisną się jeden obok drugiego. Mieszkamy na dnie kielicha, dzień mija, nadchodzi wieczór, kielich napełnia się ciemnością po brzegi. Wtedy zapalają się gwiazdy. Błyszczą nieustannie nad nami, tak jakby miały do przekazania pilną wiadomość. Ale jaką wiadomość? I od kogo? Czego chcą od nas, albo może raczej: czego my od nich chcemy?*

*Dziś niewiele w nas kojarzy się jeszcze ze światłem. Znacznie bliżej nam do ciemności, a jedyne, co nam zostało, to wspomnienia i nadzieja, która wyblakła i która nadal blaknie i niedługo przypominać będzie zimną gwiazdę, ciemny kamień. Ale mimo wszystko wiemy to i owo o życiu i to i owo o śmierci i jesteśmy w stanie powiedzieć, że przebyliśmy całą tę drogę po to, by cię wzruszyć i żeby poruszyć los.*

*Opowiemy o ludziach, którzy żyli w naszych czasach, inaczej mówiąc, ponad sto lat temu, i którzy dla ciebie są wyłącznie nazwiskami na pochylonych krzyżach i spękanych kamieniach nagrobnych. Życie i wspomnienia, wymazane przez bezlitosne prawa czasu. Chcemy to zmienić. Nasze słowa są niczym ratownik w akcji, powinny ocalić minione wydarzenia i zagasłe życia z czarnej dziury zapomnienia, co nie jest łatwym zadaniem. A może po drodze uda im się też znaleźć kilka odpowiedzi i wyrwać nas stąd, nim będzie za późno. Ale dajmy im czas. Wysyłamy je tobie, te słowa niestrudzone, rozrzuconych ratowników, nieświadomych swej misji. Wszystkie kompasy popsute, mapy rozdarte lub przestarzałe, ale mimo to przyjmij nasze słowa. I wtedy zobaczymy, co się stanie.*

# Chłopiec, morze i Raj utracony

Dzieje się to w czasach, gdy z pewnością jeszcze żyliśmy. Marzec, świat pokryty śniegiem, ale nie do końca, tutaj nigdy nie jest zupełnie białe, bez względu na to, ile śniegu spadnie. Choćby niebo i morze razem zamarzły, a zimno ogarnęło nawet serce, w którym mieszkają marzenia, to biel i tak nigdy nie wygra do końca. Pasma gór zrzucają ją z siebie i czarną jak węgiel przepędzają do białego świata. Czerń panuje nad chłopakiem i Bárðurem, gdy oddalają się od wioski, naszego początku i końca, pępka świata. A pępek świata jest wyniosły i dumny. Idą szybko, młode nogi, ogień w ciele. Ścigają się z ciemnością, tak jak w życiu, bo życie ludzkie to ciągły wyścig z mrokiem świata, zdradą, okrucieństwem i bezmyślnością, wyścig, który często wydaje się beznadziejny, ale mimo to biegniemy dalej, póki jest nadzieja. Bárður i chłopak chcą po prostu wyprzedzić ciemność i mrok, dotrzeć przed nimi do chaty, rybackiej chaty. Czasem idą blisko siebie i tak jest najlepiej, bo wtedy ich ślady się stykają, świadczą o wspólności, życie nie jest wtedy takie samotne. Ale droga jest często zbyt wąska dla nich obu, wiję się niczym wąż zamarznięty w śniegu. Wtedy chłopak zmuszony jest oglądać od tyłu buty Bárðura, skórzaną torbę, którą niesie na plecach, jego bujne czarne włosy i głowę, mocno osadzoną na potężnych barkach.

Dziś w nocy pewnie wypłyniemy, mówi Bárður.

Właśnie minęli górę Ófæra. Lina nie pękła, góra nie zabiła ich kamienną lawiną. Patrzą obaj na ocean, a potem w górę, na niebo, skąd nadchodzi ciemność. Błękit nie jest już taki błękitny, w powietrzu przeczucie wieczoru. Przeciwległy brzeg stał się niewyraźny, tak jakby zniknął, wchłonięty przez odległość. Ten brzeg, od miejsca zetknięcia z wodą aż do podnóża gór, jest zupełnie biały i dlatego właśnie nazywany jest śnieżnym.

Już pora, dyszy chłopak do Bárðura, zmęczony wędrówką. Minęły dwie godziny, odkąd wyruszyli. W Piekarni Niemieckiej zjedli jeszcze ciasto i napili się kawy, pożegnali się w trzech miejscach i opuścili Plássið. Dwie godziny marszu w świeżym śniegu. Ich stopy są mokre. Oczywiście, że są mokre, tak jak stopy nas wszystkich w owym czasie. Śmierć je wysuszy, mawiali starzy ludzie,

gdy ktoś narzekał. Starzy ludzie nie mają czasem o niczym pojęcia. Chłopak poprawia plecak, ciężki od rzeczy, bez których nie można się obejść. Bárður stoi bez ruchu, po prostu stoi i patrzy, nuci niewyraźnie jakąś melodię i nie wydaje się w ogóle zmęczony.

Do diabła, mówi chłopak, ja dyszę jak stary kundel, a ty wyglądasz, jakbyś nie przeszedł dziś ani metra. Bárður patrzy na niego tymi swoimi ciemnymi oczami południowca i uśmiecha się. Niektórzy z nas mają ciemne oczy, w końcu od wieków przybywają tu marynarze z dalekich krajów, bo ocean to kopalnia złota. Przybywają z Francji, Hiszpanii, wielu z nich ma ciemne oczy, i zostawiają ten kolor tej czy innej kobiecie, a potem odpływają, wracają do domu albo toną.

Tak, już pora, przytakuje Bárður. Minęło pół miesiąca, odkąd wypłynęli. Na początku szalała burza z południowego wschodu, padało, a spod śniegu widać było brudną, ciemną ziemię. Potem wiatr zmienił się na północny, a zawieja śnieżna szalała całymi dniami. Czternaście dni burzy, deszczu i śniegu, żadnej łodzi na oceanie, ryby bezpieczne w ciszy głębiny morskiej, do której nie dociera żadna niepogoda, a ludzie, którzy tam byli, utonęli. O topielcach można wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że łowią ryby. W gruncie rzeczy niczego nie łowią, może poza blaskiem księżyca odbijającym się w tafli wody. Dwa tygodnie, podczas których czasem nie dało się przejść z chaty do chaty, a hucząca burza osuszyła dookolny krajobraz, niebo, horyzont, a nawet czas. To, co trzeba było uporządkować, już dawno zostało uporządkowane. Przyczepiono haki do lin, rozplątano ciężarki, uporano się zresztą ze wszystkim, z wyjątkiem uczuć i żądz. Tylko nieliczni wychodzili na brzeg, żeby zbierać muszle, niektórzy w tym czasie zajmowali się naprawą ubrań z foczych skór. Ale dni na lądzie niekiedy się dłużą, ciągną w nieskończoność. Najprościej zabić czas przy kartach, grać i grać, i wstawać wyłącznie za potrzebą. Wyjść pomimo zawieruchy i zrobić swoje między skałami nad brzegiem oceanu. Niektórzy byli jednak zbyt leniwi albo brakło im samozaparcia, by wyjść na dwór, i załatwiali się tuż przy chacie, a po powrocie mówili do młodego: jest dla ciebie robota, kolego.

Chłopak jest najmłodszy w tej chacie i dlatego musi dbać o porządek wokół niej. Jest najślabszy, nie pokona nikogo w zapasach, więc przydzielili mu to zadanie. Tak to już jest w życiu, że ci, którzy nie mają dość siły, sprzątają gównem po innych. Dwa długie tygodnie, a gdy burza wreszcie ustąpiła, zdawało się, że świat wrócił. Spójrz, widać niebo! Rzeczywiście, i horyzont też widać! Wczoraj

wiatr osłabł na tyle, że mogli usunąć kamienie. Dwunastu mężczyzn, z obu chat, dwie drużyny, sapiące i pokrwawione od sprzątanania drobnych kamieni, które morze wyrzuciło na nabrzeże. Sześć godzin ciężkiej pracy na błotnistym brzegu. Rano nadciągnął wiatr zachodni, niezbyt silny, ale przy takim wietrze fala uniemożliwia wypłynięcie; smutne, a nawet poniżające jest oglądanie tej spienionej białej bariery, gdy wiadomo, że tuż za nią jest całkiem spokojny ocean. Złość łagodzi nieco fakt, że przy zachodnim wietrze dorsz się chowa, właściwie znika, dając ludziom doskonałą okazję, by pojechać po sprawunki. Z większych chat wychodzą grupy mężczyzn, brzeg i zbocza gór pełne są rybaków.

Co jakiś czas chłopak i Bárður widzą przed sobą grupkę ludzi, ale starają się, by odległość między nimi raczej się zwiększała, niż zmniejszała. Idą we dwóch, tak jest najlepiej. Mają sobie tyle rzeczy do powiedzenia, oni dwaj.

O poezji, marzeniach i o tym, co nie pozwala zasnąć nocą.

Ófæra już za nimi. Stąd do ich chaty jest jakieś pół godziny, głównie skalistym brzegiem, koło którego łapczywy ocean próbuje ich połknąć. Zatrzymują się jeszcze na zboczu góry, zwlekają z zejściem w dół. Przed sobą widzą dobre dziesięć kilometrów chłodnobłękitnego oceanu, który wdziera się niecierpliwie w głąb fiordu, i białe wybrzeże po drugiej stronie. Śnieg tam nigdy nie znika, żadne lato nie jest w stanie stopić go do końca, a mimo to tam, gdzie otwiera się zatoka, wszędzie żyją ludzie. Wszędzie, gdzie znajdzie się odpowiednie miejsce, z którego można wypłynąć na ocean, stoi zagroda, latem otoczona kołnierzem zielonych łąk. Bładozielone pastwiska sięgają aż po zbocza gór, a w trawie błyszczą żółte kaczeńce. Jeszcze dalej, na północnym wschodzie, widać, jak w szarym zimowym powietrzu wyrastają kolejne góry. To Strandir, tam kończy się świat. Bárður otwiera plecak, wyciąga butelkę z wódką i obaj wypijają po sporym łyku. Bárður wzdycha, przez chwilę patrzy w lewo, na otwarty ocean, głęboki i ciemny, ale wcale nie myśli przy tym o końcu świata i wiecznym chłdzie, lecz o długich ciemnych włosach, o tym, jak na początku stycznia opadały na twarz, i o tym, jak najdroższa na świecie dłoń je odsuwała. Nazywa się Sigriður i coś w Bárðurze zaczyna drzeć, gdy po cichu wymawia to imię. Chłopak patrzy w tę samą stronę co jego przyjaciel i też wzdycha. Chce osiągnąć coś w życiu, nauczyć się języków, zobaczyć świat, przeczytać tysiąc książek, chce dotrzeć do sedna spraw, gdziekolwiek by ono było. Chce się

dowiedzieć, czy sedno w ogóle istnieje. Czasem jednak trudno myśleć i czytać, gdy jest się zmęczonym po wyczerpującym połowie albo przemoczonym i zmarzniętym po dwunastu godzinach sianokosów. Wtedy myśli mogą się okazać tak ciężkie, że trudno mu je unieść, a sedno spraw staje się bardzo odległe.

Wieje zachodni wiatr, a nad ich głowami powoli rozciąga się ciemność.

Do diabła, wyrywa się chłopakowi, bo widzi, że został sam ze swoimi myślami, a Bárður zszedł już ze wzgórza.

Wiatr wieje, morze szaleje, a Bárður myśli o ciemnych włosach, o ciepłym śmiechu i dużych oczach, bardziej błękitnych niż niebo w jasną czerwcową noc. Dochodzą do brzegu, grzęzną wśród kamieni, wieczór jeszcze bardziej ciemnieje i gęstnieje wokół nich. Idą dalej, przyspieszają i w ostatniej chwili trafiają do chaty, o włos wyprzedzając ciemność.

Są tu dwie nowe chaty z poddaszem, a w dole, przy nabrzeżu, zacumowane są dwie sześciuosobowe łodzie. Tuż przy chatach wrzyna się w morze wielka spękana skała, co sprawia, że łatwiej przybić do brzegu. Skała chroni też większe domy rybaków, oddalone o pół godziny, trzydzieści—czterdzieści chat, ponad połowa nowsza, jak ich chata, z poddaszem do spania, ale jest też parę starszych, parterowych, rybacy śpią, mocują przynęty do lin i jedzą w tej samej izbie. Trzydzieści do czterdziestu chat, a może nawet pięćdziesiąt, nie pamiętamy już dokładnie, tyle się zapomina, wypłukuje z pamięci. Nauczyliśmy się z biegiem czasu, że lepiej ufać uczuciom niż pamięci.

Cholera, nic, tylko reklamy, burczy Bárður. Są w chacie, na poddaszu, siedzą na łózkach. Cztery łóżka dla sześciu członków załogi i dla gospodyni, która troszczy się o jedzenie, piec i porządek. Chłopak i Bárður śpią w jednym łóżku, na waleta. Śpię z twoimi palcami u nóg, mówi czasem chłopak. Wystarczy, że się odwróci, i już widzi wełniane skarpety przyjaciela. Bárður ma duże stopy. Podwinął nogi i mamrocze: nic, tylko reklamy. Mówi o gazecie, która ukazuje się w Plássið raz w tygodniu. Ma cztery strony, a na ostatniej są jedynie reklamy. Bárður odkłada gazetę, wypakowują z plecaków wszystko, co nadaje życiu sens, wyłączając w ich przypadku czerwone usta, marzenia i miękkie włosy. Nie da się włożyć do plecaka czerwonych ust i marzeń i zabrać ich ze sobą do rybackiej chaty. Nie da się ich nawet kupić, mimo że w Plássið jest pięć sklepów, oferujących, zwłaszcza latem, niemal wszystko. Tego, co w życiu najważniejsze, pewnie w ogóle nie da się kupić. Nie, jasne, że nie. Niestety. Albo właściwie: Bogu dzięki. Wypakowali plecaki, a ich zawartość leży teraz na łóżku. Trzy



gazety, w tym dwie wydane w Reykjavíku, kawa, cukierki, żytni chleb, słodkie pieczywo z Piekarni Niemieckiej, dwie książki z biblioteki ślepego kapitana, *Niels Juul, Dan-marks stórste Söhel* i *Raj utracony* Milтона w tłumaczeniu Jóna Þorlákssona, a także dwie książki, które kupili razem w aptece lekarza Sigurðura, *Historia wyprawy Eiríka z Brú-num* i podręcznik do angielskiego Jóna Ólafssona. Sigurður sprzedaje lekarstwa i książki w jednym miejscu. Książki są tak przesiąknięte zapachem leków, że wystarczy je powąchać, żeby wyzdrowieć i uwolnić się od wszelkich dolegliwości. I niech ktoś powie, że niezdrowo czytać książki.

I co wy chcecie z nią robić, pyta Andrea, gospodyni, biorąc do ręki podręcznik i kartkując go.

Chodzi o to, żebyśmy umieli powiedzieć po angielsku „kocham cię” i „pragnę cię”, odpowiada Bárður.

Niezły pomysł, mówi Andrea i siada, nie wypuszczając książki z rąk.

Chłopak przyniósł trzy butelki chińskiego eliksiru życia, jedną dla siebie, drugą dla Andrei, a trzecią dla Árniego, który jeszcze nie wrócił, podobnie jak Einar i Gvendur. Mieli zamiar powłóczyć się dziś między domami. Pétur, ich sternik, spędził z kolei cały dzień w chacie, czyścił swoje skórzane ubranie i nasmarował je tranem płaszczy, naprawił rybackie buty, a nawet zniknął z Andreamą za przepierzeniem. Przykryli żaglem rosnący ciągle stos solonych ryb, który jest tak wysoki, że Pétur nie musi już nawet klękać. On i Andrea są małżeństwem od dwudziestu lat, a teraz jego skórzane ubranie, wiszące obok rybackich sprzętów, bardzo śmierdzi. Wieczorem, gdy wypłyną, będzie już miękkie i elastyczne. Pétur jest czyściochem, tak samo jak jego brat Guðmundur, sternik na innej łodzi. Chaty dzieli jakieś dziesięć metrów, ale bracia nie rozmawiają ze sobą od dobrych dziesięciu lat. I żaden z nich nie pamięta dlaczego.

Andrea odkłada książkę i idzie zaparzyć kawę. Rano zabrakło im kawy, to było naprawdę bardzo smutne, ale wkrótce jej zapach wypełnia całe poddasze, spływa na dół i przytłumia smród sprzętu rybackiego i brudnych skórzanych ubrań. Otwiera się kłapa w podłodze i wychodzi z niej Pétur ze swoimi czarnymi włosami, długą czarną brodą i trochę skośnie osadzonymi oczami. Jego twarz wygląda, jakby była zrobiona z garbowanej skóry. Pétur wynurza się niczym diabeł z otchłani piekielnej wprost do królestwa kawy, z wyrazem zadowolenia na twarzy. Kawa niejedno potrafi. Bárður mówi, że Pétur uśmiechnął się

pierwszy raz, gdy miał osiem lat. Drugi raz, gdy zobaczył Andreę. Czekamy teraz na trzeci raz, dodaje chłopak. Kłapa podnosi się ponownie. Diabeł rzadko zjawia się w pojedynkę, mruczy Bárður. Izba zdaje się kurczyć, gdy Gvendur staje w niej w całej okazałości, tak szeroki w barach, że żadna kobieta nie jest w stanie dobrze go objąć. Tuż za nim wynurza się Einar, mniejszy i drobniejszy o połowę, ale niewiarygodnie silny. Nie wiadomo, skąd się w tym wątlym ciele bierze siła, być może z dzikiej natury Einara, bo nawet we śnie iskry strzelają z jego czarnych oczu.

Jesteście wreszcie, mówi Andrea i nalewa im kawy.

Tak, rzuca Pétur, pewnie cały dzień spędziliście na plotkach.

Im nie jest potrzebny do tego cały dzień, mówi chłopak, a gdy Andrea usiłuje powstrzymać chichot, kubek w jej ręku zaczyna się trząść. Einar zaciska pięści i grozi chłopakowi, syczy coś, ale tak niewyraźnie, że połowy nie słychać. Brakuje mu paru zębów, a ciemna broda rośnie tak obficie, że zasłania usta. Rozczochrane rzadkie włosy są już prawie całkiem siwe. Piją kawę. Każdy siedzi na swoim łóżku, na zewnątrz się ściemnia. Andrea podkręca lampę, okna są w dwu rogach izby. W jednym oknie góra, w drugim niebo i morze. Te okna obramowują nasze życie. Przez dłuższą chwilę nie słychać nic poza szumem morza i przyjemnym siorbaniem kawy. Gvendur i Einar siedzą razem i czytają gazetę, Andrea przegląda podręcznik do angielskiego i próbuje wzbogacić swoje życie o nowy język, Pétur patrzy przed siebie, chłopak i Bárður zaczytani w swoich gazetach, brakuje tylko Árniego. Dzień wcześniej wyruszył do domu, po tym jak uprzątnęli nabrzeże. Przedarł się przez zamieć od północy, przez mróz i śnieg, nie widział nic na długość ręki, ale mimo to znalazł drogę. Sześć godzin ma do swojej zagrody.

Jest młody, to ciągnie go do żony, mówi Andrea.

Tak, kutas go swędzi, warczy Einar, jakby go nagle opanowała wściekłość.

Wiem, że w to nie uwierzysz i że nie możesz sobie tego wyobrazić, mówi Andrea niby do Einara, ale patrząc na swojego męża, jednak naprawdę istnieją mężczyźni, którzy nie składają się z samych mięśni i którzy nie myślą tylko o rybach i babskiej cipce.

Kto wie, może Andrea wiedziała o liście, jaki Árni nosił przy sobie. Chłopak mu go napisał. Nie po raz pierwszy Árni poprosił, by w jego imieniu napisał list do jego żony Sesselji. Ona je czyta, gdy leżymy obok siebie, a wszyscy inni śpią, powiedział kiedyś Árni. I bardzo często, gdy mnie nie ma.



„Tęsknię za tobą”, napisał chłopak, „tęsknię za tobą, gdy budzę się rano, gdy chwytam za wiosła, gdy zakładam przynętę i oprawiam ryby, tęsknię za śmiechem dzieci i ich pytaniami, na które nie umiem odpowiedzieć, a ty z pewnością tak. Tęsknię za twoimi ustami, tęsknię za piersiami i tęsknię za twoim łonem”.

Nie, tego nie pisz, powiedział Árni, zaglądając chłopakowi przez ramię.

Nie mogę napisać „tęsknię za twoim łonem”?

Árni kręci głową.

Ale ja tylko próbuję napisać to, co czujesz, jak zawsze, a przecież musisz tęsknić za jej łonem, prawda?

Nic ci do tego, poza tym nigdy nie użyłbym słowa „łono”.

A jakiego byś użył?

Jakiego bym użył, powiedzmy... Nie, gównu cię to obchodzi!

I chłopak musiał zamazać słowo „łono” i zamiast tego napisać „twój zapach”. Ale, być może, Sesselja zechce dowiedzieć się, jakie słowo zostało zamazane. Przecież wie, że ten list piszę dla Árniego ja, przyjrzy się dokładnie i gdy uda jej się odczytać zamazane słowo, to pomyśli o mnie.

Chłopak siedzi na łóżku, wpatruje się w gazetę i próbuje odgonić od siebie następujący widok: Sesselja czytająca to ciepłe, miękkie, wilgotne i zakazane słowo. Przyglądająca mu się dokładnie i czytająca je, szepcząca je do siebie. Przeszywa ją delikatny prąd i myśli o mnie. Chłopak przełyka ślinę, próbuje skupić się na gazecie, czyta o posłach do parlamentu, o Gíslim, dyrektorze tutejszej szkoły, który z powodu pijaństwa od trzech dni nie pojawiał się w pracy. Bo też za dużo się od człowieka wymaga, ma uczyć, gdy jest pijany. Emil Zola wydał właśnie nową powieść, sto tysięcy egzemplarzy sprzedano w ciągu pierwszych trzech tygodni. Chłopak przerywa na chwilę czytanie i próbuje wyobrazić sobie sto tysięcy ludzi czytających tę samą książkę, ale nie można wyobrazić sobie takiego tłumu, zwłaszcza gdy się mieszka prawie na biegunie. Zamyślony patrzy przed siebie, ale gdy łapie się na tym, że znowu zaczyna myśleć o Sesselji czytającej to słowo i myślącej o nim, chwytą ponownie za gazetę i czyta: sześciu mężczyzn utonęło w Faxaflói. Płynęli sześcioosobową łodzią z Akranes do Reykjavíku.

Faxaflói jest szeroka.

Jak szeroka?

Tak szeroka, że życiu nie udaje się przedostać na drugą stronę.

Robi się wieczór.

Jedzą gotowaną rybę z wątróbką.

Einar i Gvendur opowiadają nowinki z nadmorskich domów, tych trzydziestu—czterdziestu domostw, które tłoczą się na szutrowym tarasie nad szerokim fiordem. Mówi głównie Einar, Gvendur zaś od czasu do czasu mruczy coś albo się śmieje, gdy uznaje, że tak wypada. Czterdzieści chat, cztery albo i pięć setek marynarzy, pokaźne zbiorowisko ludzi.

Uprawialiśmy zapasy i siłowaliśmy się na rękę, mówi Einar.

Do diabła, ten jest chory, pieprzony tasiemiec, nie przeżyje zimy, tamten już całkiem zgłupiał, a ten wybiera się wiosną do Ameryki. Broda Einara jest prawie tak czarna jak Pétura i sięga mu do piersi, nie musi nosić szalika. Mówi i mówi, a Andrea i Pétur słuchają. Chłopak i Bárður leżą naprzeciw siebie na łóżku, czytają, wyłączeni z rozmowy, podnoszą głowy tylko wtedy, gdy jakiś statek wpływa do fiordu i kieruje się w stronę Plássið. Oczywiście jest to zawsze jeden z tych norweskich parowych kutrów do połowu wielorybów, który sapie i syczy, jakby narzekał na swój los.

Pieprzeni kupcy podnieśli cenę soli, mówi Einar, któremu nagle przypomina się najnowsza wieść i zaczyna opowiadać o Jónasie, który ułożył dziewięćdziesiąt dwie zwrotki o jednej jedynej gospodyni, niektóre z nich zupełnie nieprzyzwoite, ale tak zgrabnie ułożone, że trzeba ich było posłuchać dwa razy. Pétur się śmieje, Andrea nie. Faceci mają najwyraźniej skłonność do wszystkiego, co grubiańskie na tym świecie, co rozbiera się szybko do naga, a kobiety szukają czegoś, co wymaga czasu i co się otwiera powoli.

Podnieśli cenę soli! ryczy Pétur.

Tak, krwio pijcy, krzyczy Einar i robi się czerwony z wściekłości.

To teraz bardziej się opłaci sprzedawać im ryby, jeszcze mokre, prosto z morza, mówi Pétur w zamyśleniu.

Tak, odpowiada Andrea, im właśnie o to chodzi, dlatego podnoszą cenę soli.

Pétur patrzy przed siebie i czuje, jak bez wyraźnego powodu ogarnia go smutek. Jeśli przestaną solić ryby, będzie to koniec ich stosu za przepierzeniem. I gdzie wtedy mam chodzić z Andrea? Dlaczego wszystko musi się zmieniać? To niesprawiedliwe. Andrea wstaje i zabiera się do przygotowywania jedzenia. Chłopak odrywa się na chwilę od opowieści Eiríka o wyprawie i ich oczy się

spotykają, jak często. Bárður zaczytał się w *Raju utraconym* Milтона, który Jón Þorláksson przetłumaczył dawno temu. Piec ogrzewa poddasze, robi się przyjemnie. Wieczór przyciska się do okien, wiatr chłoszcze dach, Gvendur i Einar żują tytoń, bujają się w przód i tył, mrucząc na zmianę „ach, ach” i „tak, tak”. Lampa naftowa daje dobre światło, przez co wieczór za oknem wydaje się ciemniejszy, niż jest naprawdę. Tak to już jest na tym świecie, że im więcej światła, tym ciemniej. Pétur wstaje, chrząka i spluwa, wyrzuca z siebie smutek i mówi: wypłyniemy, gdy wróci Árni. Schodzi na dół, żeby zrobić parę haczyków i obręczy oraz uszyć worek. Bezczynność źle na niego działa. Złości go widok bezużytecznych narzędzi oraz dorosłych mężczyzn, leżących i czytających niepotrzebne książki. Co za marnotrawstwo światła i czasu, mówi, a z otworu w podłodze widać tylko jego głowę. Chłopak spogląda znad Eiríka na czarną głowę wystającą z podłogi niczym wysłannik piekła. Einar kiwa głową, zatrzymuje wzrok na Bárðurze i chłopaku, wstaje, spluwa i idzie za swoim sternikiem, który mówi do niego, ale na tyle głośno, żeby na górze też było słychać: wszystko schodzi na psy. Ma na swój sposób rację, bo rodzimy się po to, aby umrzeć. Teraz jednak czekają na Árniego. Na pewno zaraz przyjdzie, na Árnim można polegać.

Muszę się pospieszyć, mówi Árni do Sesselji.

Tylko nie pozwól, żeby ocean cię połknął, prosi Sesselja. Árni śmieje się, stuka obcasami i mówi: oszalałaś, kobieto? Nie utonę, gdy mam na sobie amerykańskie gumowce!

Jest tyle niesamowitych rzeczy.

Właśnie teraz Árni przechodzi suchą stopą przez mokre łąki i pola, przez bagna i stawy, nawet nie mocząc skarpet. To jak czary. Árni kupił amerykańskie gumowce niecały rok temu, wybrał się po nie specjalnie do innego fiordu, kazał się zawieźć łódką i kupił wysokie gumowe buty, a także czekoladę dla dzieci i Sesselji. Najmłodsze dziecko rozplakało się po zjedzeniu swojej części i nie można go było uspokoić. To, co słodkie, na koniec wywołuje smutek. Amerykańscy rybacy przyplývają tu w marcu albo kwietniu, łowią halibuty u wybrzeży Grenlandii, ale oprawiają je tutaj, nocują u nas, kupują sól i płacą gotówką. Sprzedają nam broń, noże i ciastka, ale wszystko to nawet nie umywa się do gumowców. Amerykańskie gumowce są droższe niż akordeon, kosztują prawie tyle, ile służąca zarobi przez rok. Są tak drogie, że Árni całe miesiące musiał odmawiać sobie tytoniu i wódki, żeby sobie na nie pozwolić. Ale są tego

warte, mówi Áрни i brodzi dalej przez bagna i stawy, ale ciągle suchą stopą. Brnie przez wilgoć i śnieg, nie mocząc skarpet, gumowce to zapewne najlepsze, co wydało amerykańskie mocarstwo, biją wszystko na głowę. Teraz rozumiesz, dlaczego byłoby niewybaczalne utonąć w nich. Niewybaczalne zaniedbanie, mówi Áрни i całuje Sesselję oraz dzieci, a one całują jego. Tysiąc razy lepiej jest całować i być całowanym niż w otwartej łodzi łowić ryby daleko na oceanie. Żona odprowadza go wzrokiem. Nie pozwólcie mu utonąć, szepcze, nie chce, żeby dzieci słyszały, nie chce ich przestraszyć. Zresztą gdy prosimy o to, co najważniejsze, nie trzeba podnosić głosu. Wraca do domu, czyta po raz kolejny list i zdobywa się na odwagę, by dokładniej przyjrzeć się słowu, które zostało zamazane. Nie podobało się chłopakowi, powiedział Áрни. Wpatruje się tak długo, aż wreszcie udaje się jej je odczytać.

Jesteś nareszcie, mówi Pétur, bo oto Áрни dociera w suchych skarpetkach. Mogą wreszcie ruszyć na połów. Pewnie wypłyną jeszcze tej nocy.

## II

Zupełnie inaczej śpi się przy otwartym morzu niż tutaj, w Plássið, które leży w głębi fiordu, pomiędzy wysokimi górami, właściwie na dnie świata, a ocean robi się czasami tak cichy, że schodzimy na dół, żeby go pogłaskać. Koło chat rybaków za to ocean nigdy nie cichnie. Nic nie jest w stanie poskromić jego wściekłości, nawet ciche noce i osypane gwiazdami niebo. Ocean wpływa do snów tych, którzy śpią przy nim, podświadomość wypełniają ryby i kompani, którzy utonęli i którzy smutno machają do nich płetwami zamiast rąk.

Pétur zawsze budzi się jako pierwszy. Jest w końcu sternikiem i budzi się ciemną nocą, rzadko kiedy później niż o drugiej, ale Pétur nie patrzy na zegarek, zresztą zegarek leży gdzieś pod stertą rupieci. Pétur wychodzi na dwór, patrzy w niebo, a porę określa na podstawie tego, jak gęsty jest mrok. Po omacku szuka swoich rzeczy, piec nie grzeje w nocy, więc marcowy chłód przedziera się przez cienkie ściany. Obok Andrea oddycha głęboko, śpi twardo, jest na samym dnie swoich snów. Einar chrapie i przez sen zaciska pięści, Árni śpi z głową przy jego nogach. Bárður i chłopak nawet nie drgną, olbrzym Gvendur ma szczęście, bo ma łóżko dla siebie, ale i tak jest dla niego za małe. Jesteś o dwa numery za duży dla tego świata, powiedział kiedyś Bárður, a Gvendur tak posmutniał, że wolał odejść. Pétur naciąga sweter, wkłada spodnie i wychodzi w noc. Delikatna bryza ze wschodu i blask kilku gwiazd, przekazujących swym tysiącletnim blaskiem pradawne przesłanie. Pétur mruga oczami i czeka, aż sen całkiem go opuści, aż sny wyparują, a zmysły się wyostrzą. Stoi tak pochylony, zgarbiony, jak tajemnicze zwierzę, węszy w powietrzu, przygląda się ciemnym chmurom, nasłuchuje, odbiera przesłanie wiatru, mruczy, wchodzi z powrotem do środka, czarną głową unosi klapę na poddasze i mówi: wypływamy. Mówi cicho, ale to wystarcza, by jego głos dotarł do najgłębszych snów i rozdarł je. Wszyscy się budzą.

Andrea ubiera się pod kołdrą, wstaje z łóżka, rozpala piec i lampy, światło, delikatne światło, i przez długą chwilę nikt nic nie mówi. Ubierają się tylko, ziewają, Gvendur buja się jeszcze w półśnie na krawędzi łóżka, tak zagubiony na granicy snu i jawy, że nie wie, gdzie jest. Drapią się po brodach, wszyscy poza

chłopakiem, który nie ma brody, jeden z niewielu, który poświęca czas na jej golenie. Oczywiście nie jest to wielka sztuka, bo zarost ma rzadki i słaby. Brakuje ci męskości, powiedział pewnego razu Pétur, a Einar się roześmiał. Bárður ma gęstą ciemną brodę, którą starannie pielęgnuje, jest piekielnie przystojny, Andrea spogląda czasem na niego tylko po to, żeby patrzeć jak na ładny obraz, na światło nad morzem.

Kawa się gotuje, otwierają swoje pudełka, kciukiem smarują grubo żytni chleb masłem i okładają kielbasą, kawa jest bardzo gorąca i czarna jak najczarniejsza noc, wrzucają do niej kostki cukru. Gdyby tak dało się wrzucić cukier w noc i ją osłodzić. Pétur przerywa ciszę, a raczej siorbanie, mlaskanie oraz ciche pierdzenie i mówi: wschodni wiatr, słaby, raczej ciepły, zmieni się dziś na północny, ale raczej później niż wcześniej. Wy płyniemy na głębiny.

Einar oddycha zadowolony. Wy płynąć na głębiny to jak muzyka dla jego uszu. Árni mówi, tak, oczywiście, spodziewał się tego. Wy płyniemy na głębiny, powiedział do Sesselji, która odrzekła: oj, tylko niech cię ocean nie porwie.

Zanim nadszedł czas niepogody, ryba słabo brała na płytszych wodach, jest więc oczywiste, że teraz trzeba spróbować głębiej. Sięgają do pudełek po kolejny kawałek chleba. Wy płynąć na głębiny to cztery godziny nieprzerwanego wiosłowania, wiatr jest za słaby, żeby stawiać żagle, i co najmniej osiem albo dziesięć godzin na oceanie, może nawet dwanaście, a więc dwanaście godzin do najbliższego posiłku. Chleb smakuje, masło też, a bez kawy to chyba w ogóle nie da się żyć. Ostatni kubek kawy wypijają powoli, rozkoszując się nim, na zewnątrz czeka na nich noc, sięga od dna morza aż po niebo, na którym zapala gwiazdy. Ocean oddycha ciężko, jest ciemny i milczący, a gdy ocean milczy, to wszystko milczy, nawet góra nad nim, na przemian biała i czarna. Przytłumione światło lampy, Andrea przykręciła trochę knot, żeby wypić ostatni łyk kawy, nie potrzeba dużo światła. Każdy z nich zamyślony, patrzący przed siebie, ale nic niewidzący. Pétur myśli o czekającym ich wiosłowaniu, przerabia wszystko w głowie, przygotowuje się, zawsze tak robi, Árni się niecierpliwi, wyrzywa, chciałby już wyruszyć, Einar też myśli o wiosłowaniu, o wysiłku, oddycha głęboko i ogarnia go spokój, krew, która zawsze jest za gorąca i płynie w żyłach tak szybko, że wydaje mu się, iż stale musi się drapać, teraz zmienia się w spokojny nurt pomiędzy zarośniętymi brzegami. Kawa, wysiłek przed nimi, Einar potrafi być wdzięczny i niemalże lubi tych mężczyzn, którzy siedzą tu na poddaszu, pochyleni nad ostatnią kroplą kawy, co więcej, jest nawet w stanie

patrzeć bez złości na tych dwóch głupków, Bárðura i chłopaka. Czasami doprowadzają go do szaleństwa tym swoim cholernym wiecznym czytaniem, ciągle cytują jakieś wiersze, cholerne marnotrawstwo czasu, cholerna pleśń na duszy, która czyni zbyt słabym wobec życia, ale nie, nawet to nie burzy w nim krwi, jest jak spokojna rzeka. Einar siorbie kawę, a życie jest piękne.

*Już nadszedł wieczór cichy, a zmierzch szary*

*Ubrał świat cały w swą liberię mroczną;*

*Nadeszła cisza wraz z nim<sup>1</sup>*

czyta Bárður *Raj utracony*, trzyma książkę tak, by padało na nią światło lampy. Światło, któremu udaje się oświetlić odpowiednią linijkę wiersza, spełnia z pewnością swoje zadanie. Porusza ustami, czyta od nowa i za każdym razem świat w nim powiększa się trochę, rozszerza. Chłopak wypija kawę, zmywa kubek i chowa go do swojego pudełka. Patrzy na Bárðura, widzi jego poruszające się usta, przenika go siła przyciągania, a wczorajszy dzień wraca do niego z całym swoim blaskiem i siłą istnienia, jaka towarzyszy Bárðurowi i ich przyjaźni. Siedzi na brzegu łóżka, a wczorajszy dzień jest w jego wnętrzu. Po chwili bierze butelkę z chińskim eliksirem życia, który jest doskonałym środkiem na trawienie, zresztą w ogóle bardzo dobrym, wzmacniającym lekarstwem, pomaga na wzdęcie kiszek, bóle w klatce piersiowej, melancholię, duszności. Wszyscy o tym wiedzą, czytamy o tym w gazetach, jest to potwierdzone zarówno przez tutejszych, jak i tych z zagranicy, lekarzy, wójtów, kapitanów, wszyscy polecają chiński eliksir, który uratował już niejedno życie. Dzieci, którym grozi śmierć w ciężkiej grypie, po kilku łyżkach wracają do pełnego zdrowia. Pomaga też świetnie na chorobę morską, pięć—siedem łyżek przed wyjściem na ocean, i ani śladu choroby. Chłopak pije z butelki. Piekielnie nieprzyjemnie mieć chorobę morską na otwartym oceanie, w sześciuosobowej łodzi, gdy trzeba pracować, a od lądu dzieli człowieka parę godzin. Upija jeszcze łyk, bo choroba morska dopada zwłaszcza wtedy, gdy długo było się na lądzie. Andrea zażyła swoją porcję na przeziębienie, które niepotrzebnie obciążało jej głowę, napijesz się chińskiego eliksiru, a dolegliwości albo znikną, albo w ogóle się nie pojawią. Nasze życie to ciągle poszukiwanie pociechy, tego, co sprawi nam radość, uchroni od wszelkiego zła. Niektórzy wyruszają w długą i trudną drogę i niczego nie znajdują, poza pewnego rodzaju celem, swego rodzaju



przyjemnością szukania, a my pozostali podziwiamy ich wytrzymałość, ale nam samym życie sprawia kłopoty, więc zamiast szukać, sięgamy po chiński eliksir i wciąż pytamy, którądy najkrótsza droga do szczęścia, a odpowiedź znajdujemy w Bogu, nauce, wódce i chińskim eliksirze.

Wszyscy wychodzą na dwór.

Wokół domów leży sporo śniegu, ale brzeg jest czarny. Odwracają łódkę. Łatwa robota dla dwunastu mężczyzn, odwrócić sześćosobową łódź, znacznie trudniej ustawić ją dnem do dołu, tu nie wystarcza dwunastu rąk, przydałoby się jeszcze co najmniej sześć, ale druga załoga śpi głęboko, ich ręce wypoczywają w świecie snu. Nigdy nie wypływają daleko, więc nie muszą wstawać o poranku. Mimo to Guðmundur pewnie niedługo wstanie. To ich sternik, nazywany surowym Guðmundurem, bo jego ludzie muszą wracać do domu przed ósmą wieczorem, lenistwo i gadulstwo działają na niego jak czerwona płachta na byka, ale słuchają się go bez słowa, każdy z nich to kawał chłopca, przeżyli już niejedną burzę na tym świecie, a język mają taki, że psa mogliby nim zabić. Jednak gdy Guðmundur się zdenerwuje, stają się grzeczni i potulni. Ich gospodyni ma na imię Guðrún, jest niewysoka i delikatna, ma jasne włosy i śmieje się tak, że wokół niej nigdy nie robi się ciemno. Działa jak wiele butelek chińskiego eliksiru życia. Jest oszałamiająco piękna, jej policzki są tak białe i okrągłe, że łatwo zapadają w pamięć. Czasem porusza się dziwnym tanecznym krokiem, a wtedy coś budzi się w ludziach z chaty, tych szorstkich i zahartowanych przez burze facetach, miłość i bezwstydne pożądanie zawiązują się w nich w supeł nie do rozwikłania. Ale Guðrún to córka Guðmundura, więc prędzej chłodziliby się w lodowatym morzu, niż dobierali do niej. Zwariowałaś, nawet diabeł nie odważyłby się jej tknąć. Ona sama chyba nie zdaje sobie sprawy z wpływu, jaki wywiera, i to jest chyba właśnie w tym wszystkim najgorsze, jeśli nie to jest właśnie najlepsze.

Pracują w milczeniu.

Wnoszą do łodzi to, co niezbędne, ożaglowanie, liny z przynętą, skórzane kurtki, na razie jest zbyt ciepło, by je włożyć, skórzane spodnie sięgają im do pach, wełna swetrów jest dobrze spilśniona, a przed nimi trzy albo cztery godziny ciężkiego wiosłowania. Każdy z nich ma tej nocy określone zadanie. Gdyby życie było zawsze tak proste i czytelne, gdyby udało nam się uciec od tej niepewności, która wykracza poza śmierć i grób. Ale co może uśmierzyć niepewność, skoro nawet śmierci się to nie udaje? Śnieg między chatą



a czarnym brzegiem zaraz będzie udeptany. Andrea wychodzi i opróżnia nocniki, ziemia wokół chaty jest odsłonięta i wchłania wilgoć, mocz czy deszcz, wszystko zostaje wessane. Trzeba mieć nadzieję, że dach świata podziemi nie przecieka. Chyba że to właśnie jedna z kar, że deszcz i mocz leją się tam człowiekowi bez przerwy na głowę. Andrea stoi przez chwilę i przygląda się pracy mężczyzn. Ledwie słysząc ich kroki, morze śpi, góra drzemie, a na niebie panuje cisza, wszyscy tam jeszcze śpią, mimo że dochodzi już trzecia. Bárður nagle zawraca i znika jeszcze raz w chacie. Andrea kręci głową, ale uśmiecha się łagodnie, bo wie, że Bárður stoi teraz na drabinie, sięga na łóżko, otwiera *Raj utracony* i czyta wersy, które chce zapamiętać i mieć w głowie dla siebie i dla chłopaka, gdy będą czekać na ryby.

*Już nadszedł wieczór cichy, a zmierzch szary*

*Ubrał świat cały w swą liberię mroczną;*

*Nadeszła cisza z nim, a ptak i zwierzę*

*Do swych legowisk i do gniazd w zaroślach*

*Chyłkiem umknęły.*

Bárður przychodzi jako ostatni. Zanurzony w wersach niewidomego Anglika, które biedny pastor przełożył na islandzki, gdy czas inaczej się nazywał. Czyta strofy jeszcze raz, szybko wciska je do głowy, serce mu wali. Wciąż jeszcze słowa potrafią wzruszać ludzi, niewiarygodne, może światło jeszcze nie całkiem w nich wygasło, może jest jeszcze, mimo wszystko, jakaś nadzieja. Ale oto nadchodzi księżyc i z jasnym światłem na masztach wpływa na czarne niebo, to półksiężyc, rośnie po lewej stronie, ale mimo to noc z każdą chwilą robi się jaśniejsza. Światło księżycyca jest inne niż promienie słoneczne, pogłębia cienie, czyni świat bardziej tajemniczym. Chłopak patrzy w górę na Księżyc. Obrót wokół własnej osi zajmuje Księżycowi dokładnie tyle samo czasu co Ziemi, dlatego widzimy zawsze tę samą jego stronę. Jest oddalony o dobre trzysta tysięcy kilometrów, trzeba wieczności, by dopłynąć do niego sześćoosobową łodzią, nawet Einar nie przebyłby tej odległości.

Matka chłopaka napisała mu o Księżycu. O odległości od Ziemi, o jego tajemniczej drugiej stronie, ale nie wspomniała przy tym o sześćoosobowej łodzi ani o Einarze. Nawet nie wiedziała, że on istnieje, jego broda i wściekłość, która obraca się w nim niczym w perpetuum mobile. Ale teraz Einar nie jest wściekły.

Oświetlona księżycem noc wlewa się w sześciu mężczyzn i kobietę, która się im przygląda. Nie, Andrea już się im nie przygląda, wraca do chaty i spieszy się, by w ciasnych drzwiach spotkać się z Bárðurem. Jestem stuknięta, myśli Andrea, między nami jest dwadzieścia lat różnicy! Ale dlaczego ma sobie odmawiać, by w tę marcową noc spojrzeć w te ciemne oczy, by myśleć o delikatnych i zwinnych nogach, białych, prostych zębach między wargami, wolnych od brudu tytoniu. Bárður nie żuje tytoniu, ci młodzi są czasami tacy dziwni, odmawiać sobie czegoś tak przyjemnego jak tytoń. Spotykają się w drzwiach, jego głowa pełna wierszy i utraconego raj, ach, jakiś ty ładny, mój mały, mówi Andrea i głaszcze go obiema rękami po brodzie i odsłoniętej szyi, mocniej i intensywniej, niżby chciała, i czuje, jak ciepło ciała Bárðura osnuwa jego SZYJĘ

Tylko dla ciebie, Andrea, mówi Bárður i uśmiecha się.

Zasnąłeś tam, szczeniaku? woła Pétur z ciemności. Zadrżeli oboje, Andrea wycofuje ręce, odwraca wzrok i widzi chłopca zalanego blaskiem księżyca.

Blask księżyca może nas uczynić bezbronnymi.

Powoduje, że pamiętamy, iż rany otwierają się i krwawią.

Jego matka napisała mu o Księżycu i wszechświecie, o tym, ile lat mają gwiazdy i jak daleko jest do Jowisza. Wiedziała dużo, mimo że dorastała wśród prostych ludzi, przeżyła tam ciężki czas, była karana i wyszydzana za swój głód wiedzy. Czytać nauczyła się, podpatrując to, czego uczono chłopca w gospodarstwie, i odtąd czytała wszystko, co jej wpadło w ręce, a było to nie bez znaczenia wobec biedy i obojętności otaczającego ją świata. To właśnie czytanie i żądza wiedzy połączyły jego rodziców, oboje ubodzy, ale mimo to udało im się wyrwać z bycia służbą i dorobić się własnej zagrody, choć to może zbyt wielkie słowo na ich małą chatkę. Mieli krowę i pięćdziesiąt owiec, niedużo jak na całą rodzinę. Niewielką łączkę, tak nierówną, że łatwiej było ją kosić sierpem niż kosą, oraz podmokłe pastwiska. Utrzymywało ich morze, tak jak utrzymuje nas wszystkich, żyjących tu, na końcu świata. Ojciec cały sezon połowów spędzał na oceanie, cztery do pięciu miesięcy w roku. „Mój Boże, jak ja za nim tęskniłam!”, napisała matka do syna w jednym z listów, „miałam oczywiście waszą trójkę, ale mimo to tęskniłam za Björgvinem codziennie, bardziej wieczorami, gdy szliście spać”. Miesiące poza domem podporządkowane były pracy, by zapewnić dochód i odegnać biedę. Jednak wolne chwile poświęcali czytaniu. „Byliśmy nieznośni. Myśleliśmy tylko o książkach, o uczeniu się, szaleliśmy na wieść o nowej ciekawej książce,

wyobrażaliśmy sobie, jaka ona jest, wieczorami rozmawialiśmy w łóżku, O czym może opowiadać. Gdy tylko udało się nam ją zdobyć, czytaliśmy ją na zmianę albo razem, nawet jej fragmenty". Ale co tu mówić, ojciec pływał na sześćoosobowej łodzi, długiej na dobre osiem metrów, i tamtej nocy utonął nie tylko on. Tamtej marcowej nocy, chłopak patrzy na Księżyc I liczy w myślach, dziesięć lat i siedemnaście dni temu. Nie, nie, zatoneły dwie łodzie z całą załogą, dwanaście istnień, dwadzieścia cztery rozpaczliwie wiosłujące ręce. Z południowego wschodu nadeszła wichura i zatopiła ich wszystkich. Cały tydzień minął, zanim dotarła do nich ta straszna wiadomość. To straszne czy pocieszające, że jeszcze przez siedem dni żył w myślach tych, którzy znaczyli dla niego wszystko? Przyszedł sąsiad i zgasił światło świata. Chłopak siedział z wyciągniętymi nogami na podłodze, jego siostra obok, a matka stała i patrzyła w pustkę, ramiona zwisały wzdłuż ciała jak martwe. Przekleństwem jest mieć ręce, a nie mieć nimi kogo objąć. Wstrząsnęło izbą, tak jakby coś wielkiego się rozpadło, a potem usłyszeli brzęk, jakby słońce się urwało i spadło na ziemię. Ludzie żyją, to jest ich czas, mają swoje pocałunki, śmiech, swoje objęcia, czułe słowa, radości i troski, każde życie to wszechświat, który potem się zapada i nic po nim nie zostaje oprócz kilku drobiazgów, których znaczenie rośnie po śmierci właściciela, stają się ważne, czasem nawet święte. To tak jakby fragment tego życia, które zniknęło, wniknął w filiżankę do kawy, piłę, szczotkę do włosów, szalik. Ale na koniec wszystko gaśnie, wspomnienia bledną, wszystko umiera. Tam gdzie kiedyś było życie i światło, teraz jest ciemność i zapomnienie. Ojciec chłopca umiera, morze go połknęło i już nigdy nie odda. Gdzie twoje oczy, w których byłam ładna, ręce, które laskotały dzieci, głos, który trzymał ciemność z dala od nich? On tonie, a rodzina się rozpada. Chłopak zostaje wysłany w jedno miejsce, jego brat w drugie, a matka i roczna zaledwie siostra trafiają do zupełnie innej doliny. Tego dnia razem leżą wszyscy czworo w łóżku, jest ciasno, ale miło, jedyna przyjemna rzecz w tej tęsknocie, ale potem nagle wyrasta między nimi wysoka na siedemset metrów góra, stroma i goła, chłopak ciągle jeszcze jej nienawidzi, bezgranicznie. W nienawiści do gór jest bezsiła, bo są większe niż my, stoją na swoim miejscu i tysiące lat się nie ruszają, a my przychodzimy i odchodzimy szybciej niż mgnienie oka. Górom trudno jednak zatrzymać listy. Jego matka pisała. Opisywała ojca, by go nie zapomniał, by ten żył w pamięci syna, jak światło, którym można się ogrzać, światło, za którym się

tęskni, pisała, by uchronić męża przed zapomnieniem. Opisywała więc, jak rozmawiali ze sobą, czytali razem, jaki był wobec dzieci, jak nazywał je zdrobniale, co im śpiewał i jak wyglądał, gdy stał samotnie przy stodole i wpatrywał się w dal... „Twoja siostra jest dumna, że ma dwóch starszych braci. Wiem, że jej nie zapomnisz. A czy wy chłopcy możecie się odwiedzać? Nie pozwólcie, by was tego pozbawiono. Nie pozwólcie, by świat rozdarł was na kawałki! Następnego lata was odwiedzimy. Dostałam już zgodę i zaczęłam robić dla nas buty na drogę. Twoja siostra pyta niemal każdego ranka: Idziemy dzisiaj? Kiedy idziemy?”

Kiedy idziemy?

Księżyc powstał prawdopodobnie w tym samym czasie co Ziemia, ale możliwe też, że Ziemia złapała Księżyc w swoje pole grawitacyjne i teraz on, zrobiony ze skały, martwych kamieni, wisi nad chłopakiem.

„Kiedy” nigdy nie nadeszło. Ale nadeszła grypa, jak zawsze. Dostały kaszlu i umarły w odstępie dwóch dni, siostra jako pierwsza. „Gdzie jesteś, Boże?”, to było ostatnie pytanie w ich życiu, matka zdążyła jeszcze dodać po nim „Żyj!”, „Żyj! twoja kochająca mama”. Ostatni list, ostatnie zdanie, ostatnie słowo.

Chłopak wnosi na łódź kankę z serwatką. Ile może wytrzymać ludzkie serce?

Łódź jest już pełna.

Einar, Gvendur i Áрни obciążyli ją kamieniami, by lepiej trzymała się na wodzie, na każdym kamieniu zrobili znak krzyża. Serce dorosłego człowieka jest wielkości zaciśniętej pięści. Serce to pusty w środku mięsień, który pompuje krew do wszystkich naczyń krwionośnych ciała, tętnic, żył i naczyń włosowatych, mających łącznie jakieś czterysta tysięcy kilometrów długości, sięgają do Księżyca i jeszcze kawałek za niego w czarny wszechświat. Tam każdy jest sam. Andrea znowu stoi między łodzią a chatą, patrzy na nich, jej żyły sięgają do Księżyca. Dochodzi trzecia, a przed trzecią nie wolno im wyruszyć, takie jest prawo. Trzeba przestrzegać praw, zwłaszcza tych, w których kryje się mądrość. Gvendur i Einar są już z przodu łodzi, gdzie mogą siedzieć tylko silni i wytrzymali wioślarze, pozostała czwórka ustawia się wzdłuż kadłuba i czeka na sygnał trąbki. Nie, nie tej trąbki, która według starych ksiąg i opowieści ma nas wezwać przed oblicze Stwórcy, ale tej, którą Benedikt, stojąc w dole przy chatach, przyłoży do ust punktualnie o trzeciej. Benedikt ma płuca jak kowalskie miechy i potrafi dać, nawet przy silnym przeciwnym wietrze sygnał wypłynięcia słycać daleko, koło chat braci. Pierwszej zimy, gdy prawo zakazujące

wyływania na morze przed godziną trzecią dopiero weszło w życie, Benedikt zatrąbił tylko w jednym celu — by wydać silny dźwięk, który dotrze daleko i udowodni siłę jego płuc. Zaraz po tym odrzucił trąbkę, by wziąć udział w wyścigu, kto pierwszy dobiegnie do morza. Ale teraz, dwa lata później, ma starą trąbkę, którą kupił od angielskiego kapitana, i trąbi nie dla samego trąbienia, ale po to, by wydobyć pewną miękkość dźwięku i by spróbować zamienić ciemne nocne powietrze w jedną z tych melodii, które słyszał u kupca Snorriego tu w Plássið. Benedikt też nie rzuca już niedbale trąbki do łódki, bo Snorri zwrócił mu uwagę, że takie złe traktowanie szkodzi instrumentowi i wydobywa z niego fałszywe tony. Zamiast tego Benedikt podaje trąbkę gospodyni, która stoi w gotowości obok łódki. Wokół Benedikta jakieś sześćdziesiąt łodzi i prawie trzystu ludzi czeka na sygnał do wypłynięcia, w większości łodzie sześćoosobowe, dwoje ludzi w każdej z nich, czworo obok z napiętym każdym mięśniem. Nikomu jednak nawet przez myśl nie przejdzie wypłynąć, zanim Benedikt odsunie trąbkę od ust. Jest tu jednym z najbardziej znanych wioślarzy, wojownik, który niejedno życie uratował, zawsze świetny na oceanie, nikt też nie może się z nim równać w dobijaniu do brzegu przy wysokiej fali. Wszyscy się go słuchają, a gospodyni nadal czeka cierpliwie na brzegu, po tym jak podał jej instrument, mimo że zimne morze ochlapuje ją od czasu do czasu, a obie stopy są już dobrze po pięćdziesiątce.

Andrea stoi poniżej obu chat.

Czeka, aż zobaczy swoich mężczyzn, jak wypływają po sygnale, jakby uciekali przed końcem świata. Potem wejdzie do środka, posprząta i spróbuje poczytać drugą z książek, które Bárður wypożyczył od ślepego kapitana, który mieszka u Geirþrúður, *Niels Juul, Danmarks st0rste S0helt*. Dlaczego nazywają go bohaterem? Co takiego złowił? Czy walczył o życie w otwartej łodzi, nie większej niż trumna, przy północnym wicherze, gdy ląd znika, niebo też, a wrzask wiatru rozsadza ci głowę?

Teraz zatrąbi, mruczy Árni, tak cicho, że słowa giną w jego brodzie zakrywającej dół twarzy. Trzyma łódź obiema rękami, każdy mięsień napięty. Einar ściska wiosła, Gvendur patrzy przed siebie z zadowoleniem na twarzy. Jak dobrze jest być. Chłopak spogląda ponad pokładem na Einara. Jeśli ktoś potrafi się napiąć jak stalowa lina, to właśnie Einar w tym momencie. Gvendur stoi obok tej struny jak troll, łagodny, zadowolony i oddany troll. Obaj pracują od dobrych

dziesięciu lat u Pétura, ale Pétur ma czasem wrażenie, że ten troll posłuchałby najpierw Einara, a dopiero potem jego. Dalej, teraz to już musi do cholery zatężyć, mruczy znowu Árni, tym razem nieco głośniej. A Benedikt stoi z szeroko rozstawionymi nogami w swojej łodzi, jakieś dwa kilometry od chat braci, podnosi trąbkę do ust, napełnia płuca ciemnym nocnym powietrzem i trąbi.

Dźwięk rozbrzmiewa wśród prawie trzystu ubranych w skórę niecierpliwych mężczyzn stojących poniżej chat i niesie się daleko w spokojnym powietrzu nocy. Andrea prostuje się, przechyla głowę, by lepiej słyszeć. Pétur, Árni i Einar zniecierpliwieni przeklinają po cichu Benedikta, ale Bárður i chłopak słuchają, próbują nauczyć się melodii, wysłuchać jej sedna, czegoś, czego będą się mogli trzymać podczas długiego wiosłowania i potem w życiu, które — miejmy nadzieję — będzie jeszcze dłuższe. Nawet olbrzym Gvendur ukradkiem zamyka oczy, melodia przypomina mu coś, co jest miłe i ładne i co odczuwa najbardziej, gdy jest sam ze sobą. Obawia się jednak, że Einar mógłby to zauważyć, Einar nie lubi, gdy ludzie, którzy nie śpią, mają zamknięte oczy, a Gvendur stara się nie robić rzeczy, które nie podobają się Einarowi. Życie jest i tak już dostatecznie trudne.

Dalej! woła Árni, gdy melodia milknie. Zaczynają pchać ze wszystkich sił, jak jeden mąż. Łódź zjeżdża po nabrzeżu, chłopak puszcza ją, łapie bale, które wyjeżdżają spod kadłuba, biegnie z nimi do przodu i układa przed łodzią. Jest szybki, trzeba mu to przyznać. Potrafi biec tak prędko i długo, że powstaje pytanie, czy łąd byłby dla niego wystarczająco duży, gdyby zdecydował się użyć w biegu wszystkich swoich sił. Dziób łodzi zanurza się w wodzie, Árni i Pétur jako ostatni wskakują na pokład już z morza. Zaczynają wiosłować. Bárður i chłopak dzielą ławkę pośrodku łodzi, siła wypełnia im żyły, zaciskają szczęki, sześć wiosła, ocean spokojny, żadnego oporu ze strony wiatru i fal. Łódź przyspiesza, ale gdy po niecałej minucie oddalają się od brzegu, wciągają wiosła. Pétur ściąga z głowy zydwestkę i włóczkową czapkę, którą ma pod nią, i zaczyna odmawiać modlitwę. Pozostała piątka ze spuszczonej głowami, czapki w dłoniach. Łódka unosi się i opada, dokładnie tak jak mrowie pozostałych łodzi, niecałą minutę po wybuchu, jaki wywołał sygnał Benedikta, gdy prawie trzystu mężczyzn z krzykiem rzuciło się swoimi sześćdziesięcioma łodziami do oceanu. Ale teraz łódki wznoszą się i opadają, a rybacy się modlą. Głosy biegną do nieba z prośbą, z prostą sprawą: pomóż nam!

Ocean jest zimny i miejscami ciemny. To ogromny potwór, który nigdy nie odpoczywa. Tutaj nikt nie umie pływać, poza Jónasem, który pracuje latem u Norwegów przy połowie wielorybów. Nauczyli go pływać, dlatego też czasem nazywany jest Dorszem, a czasem Łupaczem, przy czym jeśli brać pod uwagę jego wygląd, to drugie określenie bardziej do niego pasuje. Większość z nas wychowała się tu nad morzem i chyba nie było dnia, żebyśmy nie słyszeli, że ludzie wypływają na morze, gdy tylko skończą trzynaście lat. Tak jest od tysiąca lat, ale mimo to nikt nie potrafi pływać, poza Jónasem, który dorabia u Norwegów. Ale umiemy wiele innych rzeczy. Umiemy się modlić, umiemy żegnać, żegnamy się zaraz, gdy się obudzimy, gdy wkładamy rybacki przyodziewek, robimy znak krzyża na sprzęcie rybackim, na przynęcie, przy każdym chwycie dłonią, na każdej ławce, na której siadamy, bo ufamy Ci, Panie, zachowaj nas w łasce swojej, uczyn wiatr słabszym, uspokój fale, które potrafią być tak niebezpieczne. Pokładamy w Tobie całą naszą ufność, Boże, któryś jest początkiem i końcem, bo ci, którzy wpadną do morza, idą na dno jak kamienie i toną nawet wtedy, gdy nie ma wiatru i jest tak blisko lądu, że ci, co stoją na stałym gruncie, widzą ich wykrzywione twarze, zanim morze pochłonie ich życie albo ciało, ten ciężki balast. Ufamy Ci, Panie, który stworzyłeś nas na swoje podobieństwo, stworzyłeś ptaki i dałeś im skrzydła, by mogły latać i przypominać nam o wolności, stworzyłeś ryby z płetwami i ogonem, by mogły pływać w głębinach, które nas przerażają. Moglibyśmy oczywiście wszyscy nauczyć się pływać, tak jak Jónas, ale Boże, czy wtedy nie okazalibyśmy nieufności wobec Ciebie, trochę tak, jakbyśmy chcieli poprawić coś w Twoim dziele stworzenia? Poza tym morze jest lodowate, żaden człowiek nie może w nim długo pływać, nie, ufamy tylko Tobie, Boże, i Twojemu Synowi Jezusowi, który nie pływał lepiej od nas i wcale nie musiał, bo po prostu chodził po wodzie. Pomyśleć, co by było, gdybyśmy mieli tę nieskażoną wiarę i mogli dzięki niej chodzić po morzu, tak po prostu wyjść na środek i z powrotem, może parami, trzymając nosidła. Amen, mówi Pétur i wszyscy zakładają zydwestki na głowy. Chowają czapki, bo noc jest łagodna, zydwestka wystarcza, jej rondo sięga z tyłu aż do ramion. Do wiosła, w imię Boga, zaczynamy, do diabła! Nie, nie do diabła, to mroczne słowo wyrwało się nam, nie mieliśmy nic złego na myśli, na wszelki wypadek robimy znak krzyża na swoich językach. Wiosła prawie wyginają się pod naporem wody, dwanaście wyćwiczonych ramion, mocne mięśnie, połączone

w potężną siłę, ale oto otwiera się przed nami fiord i przechodzi w Ocean Arktyczny, wobec którego jesteśmy niczym. Nie mamy nic poza wiarą w Bożą łaskę i może odrobiną rozumu, odwagi i chęci życia. Łódź płynie. Oczy Einara płoną, wściekłość zamieniła się w czystą moc, która wypełnia całe ciało, każdą komórkę i przechodzi dalej w wiosła. Gvendur musi się solidnie wysilić, by za nim nadążyć. Przez długi czas o niczym nie myślą, niczego nie widzą, trzeba po prostu wiosłować ze wszystkich sił, całe istnienie poświęca się wiosłowaniu, oddalaniu od lądu, wypłynięciu daleko na ocean.

Oddalają się.

Andrea stoi w tym samym miejscu co wcześniej i widzi, jak maleją wraz z odległością. Ich twarze się rozmywają, Wygląda za nimi tak długo, aż ich ciała zdają się zlewać w jedno, które pcha łódź na środek oceanu, w środek nocy, w poszukiwaniu ryb, które pływają w głębinach i cieszą się z tego, że są. Andrea wygląda za nimi, prosi Boga, by ich strzegł, by o nich nie zapomniał. Zwleka z powrotem do chwili, gdy widzi, jak flota łodzi odplywa spod skały. Przyjemnie jest tak stać samotnie nocą tuż przy brzegu i patrzeć, jak sześćdziesiąt łodzi pojawia się w nocnej ciszy, widzieć tych mężczyzn dających z siebie wszystko, by być pierwszymi i móc wybrać najlepszą pozycję, patrzeć, jak używają wszystkich swoich sił, które i tak są niczym w porównaniu z oceanem, gniewem wiatru, wściekłością nieba. Ufamy Ci, Boże, i Synowi Twemu Jezusowi. Robi znak krzyża, odwraca się i widzi brata swojego męża, Guðmundura. Może i bracia już ze sobą nie rozmawiają, ale obserwują się uważnie. Nie jest tu sama, to tylko złudzenie. Tak skomplikowana bywa rzeczywistość, bo w myślach i świadomości była sama i wszystko zdawało się to potwierdzać, a oto kilka metrów dalej stał Guðmundur i patrzył w tym samym kierunku co ona. Wzbiera w niej nagła złość, ale równie szybko mija, na co tu się złościć, myśli Andrea i zawracając w stronę chaty, dziwi się samej sobie. Czeka tam na nią mnóstwo obowiązków i morski bohater, tak samo mocny w gębie, jak i w polityce. Wiedzieliście, że tylko niewielu ludzi potrafi obchodzić się z władzą tak, by się przy niej nie ubrudzić? Dla zabawy Andrea przechodzi obok Guðmundura bliżej, niż powinna, patrzy mu prosto w oczy, pozdrawia, wspomina krótko o pogodzie. Guðmundur to poważny i surowy człowiek, życie to nie żarty, ma w tym zresztą sporo racji. Życie traci poczucie humoru, zwłaszcza że Guðmundur właśnie się obudził. Andrea wie o tym i dlatego też tym większą sprawia jej przyjemność, by przejść koło niego niepotrzebnie blisko, niepotrzebnie radośnie, tak jakby życie



tej nocy było wyjątkowo pełne radości. Guðmundur spogląda na nią surowo, niemal z oburzeniem, i Andrea wstrzymuje wybuch śmiechu. Jest tyle zagadek na tym świecie. Jak to możliwe, że tak surowy i poważny człowiek ma tak wesołą i pogodną córkę? Tylu rzeczy nie jestem w stanie pojąć, myśli Andrea i postanawia, że gdy Guðmundur i jego ludzie już odpłyną, za jakieś dwie godziny, a ona upora się z robotą, pójdzie do dziewczyny i da jej do przeczytania wykład Bríety na temat emancypacji, który dostała zimą od Bárðura i chłopaka. Ta książeczka na pewno nie spodoba się Guðmundurowi, tym bardziej że jest oprawiona razem z *Wierszami o kowalstwie* Jóna Bernharðssona. Guðmundur bardzo lubi kowalstwo. Coś dźwięczy w Andrei, gdy wchodzi do chaty, zaczyna gwizdać melodię, którą zagrał Benedikt, a w drzwiach przypomina sobie o ciepłe i zapachu, które wydobyły się z szyi Bárðura. Zamyka drzwi, a jej myśli zaczynają wędrować.

### III

Guðmundur nie ogląda się za nią, ale słyszy, jak drzwi się zamykają. Patrzy na ocean, ciemny ocean, i wdycha uważnie powietrze, niepewny pogody. Czy za górami nie czai się zapach północnego wiatru, gwałtownego, morderczego? Stoi bez ruchu, łodzie oddalają się, zaczynają znikać w ciemnym granacie nocy, rozplýwać na głębinie, która otwiera się pomiędzy brzegami, pomiędzy stromymi pradawnymi górami. Guðmundur ma długą brodę, która zakrywa całą dolną część twarzy. Nigdy nie widać policzków tych mężczyzn. Gdyby któryś z nich się ogolił, wyglądałby, jakby miał poważny wypadek, w którym odcięto mu część osobowości i pozostał tylko półczłowiekiem. Długo stoi bez ruchu. Mija wiele minut. Zdrowo jest tak stać samotnie nocą, człowiek i cisza stają się jednością, odczuwa się jakiś rodzaj zgody, która jednak niepostrzeżenie może zamienić się w bolesną samotność. Ciągłe jeszcze jest ciemno, choć na wschodzie pojawia się już zarys słońca, tak słaby, że może też to być złudzenie. Ale to tchnienie światła, prawdziwe czy nie, rozwiewa wątpliwości Guðmundura. Czego nie mogły mu powiedzieć nos i uszy, udaje mu się odczytać z chmur nad jasnym wybrzeżem fiordu, nieczytelnych w mroku; że zbliża się wiatr z północy, zapewne gwałtowny, ale raczej nie dotrze tu przed południem.

Jeśli ruszą w ciągu godziny, zdążą wrócić, zanim ocean zechce ich skrzywdzić, zanim w kipieli obudzą się myśli o zabiciu człowieka. Wzdryga się, obraca i nagle pędzi do chaty. Jego ruchy są tak szybkie i zaskakujące, że burzą ciszę wokół chat, która zapanowała po odpłynięciu łódek, tak jakby ta cisza zamieniła się w drżenie, aż Andrea, myjąca podłogę na poddaszu, unosi wzrok. Guðmundur otwiera gwałtownie drzwi i woła: wstawać, wyplýwamy!

Ma silny, donośny głos, więc jego ludzie budzą się natychmiast. W mgnieniu oka wstają z łódek, choć niektórzy śpią jeszcze, gdy ich stopy dotykają podłogi. Tylko Guðrún zostaje w łóżku i liczy do stu, bo życie w łóżku jest przyjemniejsze niż pośród biegających w bieliźnie mężczyzn, ziewaniem wytrząsających z siebie rozespanie i sny, natychmiast gotowych do wyruszenia na ocean, ku wolności i rybom.

Ludzie Guðmundura spieszą się do wyjścia. Odwracają łódkę, która jest dobry

metr dłuższa niż łódź Pétura, załadowującą, nie zapominając o przeżegnaniu się przy każdym ruchu. Pływają razem od dwudziestu lat, zaczęli jako młodzi chłopcy przy połowach rekinów, w czasach gdy łowienie nie podlegało żadnym prawom i każdy mógł wypłynąć, kiedy chciał, nawet w najczarniejsze zimowe dni, gdy mrok był tak gęsty, że można było wyciąć w nim nożem swoje inicjały. Wtedy noc miała twoje imię aż do świtu. W niektóre noce całymi godzinami polowali na rekina, w lodowatym zimnie, daleko na oceanie, i wydawało im się, że noc się nigdy nie skończy, a na wschodzie aż gęsto było od ciemności. Rekiny są wiecznie głodne i pożrą wszystko, Guðmundurowi udało się raz znaleźć w żołądku rekina psa, pożartego dzień wcześniej w fiordzie, jakieś pięćdziesiąt kilometrów dalej. Pies płynął wesoło, z wywieszonym jęzorem, za łodzią swojego pana, nagle zapiszczał i zniknął. Tak to się kończy, gdy się umie pływać.

Andrea szoruje podłogę na poddaszu, myśli o sześciu mężczyznach na łodzi pośrodku oceanu, myśli o chwilach spędzonych wczoraj z Péturem za przepierzeniem i robi jej się nagle tak smutno, że wstaje, upija łyk kawy i siada na łóżku chłopców. Wzdycha i mimo woli zaczyna gładzić książkę, którą czytał Bárður. Czyta głośno tytuł, otwiera ją i znajduje list, który włożył tam Bárður, pewnie jako zakładkę. Andrea czyta pierwsze linijki, płonące miłością, zawstydzona się trochę, ale wystarczająco, by nie czytać dalej. Zamyka książkę, odwraca wzrok i widzi pelerynę Bárðura. Czuje, jakby przenikał ją chłód.

## IV

Płyną już długo, zaczyna świtać. Wypłynęli z nocy i wpływają w kruchy poranek. Zdjęli zydwestki. Powoli tracą z oczu pozostałe łodzie, które rozplywają się po wodach oceanu. Ocean porusza się, a oni płyną dalej niż tamci, kierują się na głębinę, którą Pétur zna, ale na której od kilku lat nie łowił. Jeśli chodzi o połów dorsza, ufają mu, bo Pétur wie więcej niż oni wszyscy razem wzięci. On myśli tak jak dorsz, powiedział kiedyś Bárður, i nie wiadomo, czy były to słowa podziwu. Czasem trudno jest rozgryźć Bárðura, ale Pétur postanowił potraktować to jako komplement. Chwytają za wiosła i oddalają się od lądu. To bywa bolesne, wydaje się, jakby człowiek płynął ku samotności. Chłopak obserwuje, jak góry maleją, zdają się wsiąkać w ocean. Góry grożą nam, gdy jesteśmy na lądzie, przynoszą niepogodę, zabijają ludzi spadającymi głazami, wyludniają wioski lawinami śnieżnymi i błotnymi, ale potrafią też chronić, uczą nas i sterują łodziami, które pływają w fiordach. Ale nic nie jest w stanie chronić rybaków, którzy wypływają daleko, aż poza modlitwę i rozsądek.

Zaczyna brakować im tchu, mimo że w oczach Einara nadal płonie radość wiosłowania. Bárður oddycha płytko obok chłopaka. My dwaj nie jesteśmy stworzeni do rybołówstwa, powiedział wczoraj w Piekarni Niemieckiej, gdy pili kawę i jedli słodkie bułeczki.

Kawa w Piekarni jest jakoś czystsza i nie ma fusów.

Można się do tego przyzwyczaić, powiedział chłopak do Bárðura, a w tej samej chwili małżeństwo piekarzy zaczęło na zapleczu kłócić się po niemiecku. Kłótnia szybko się zaostrzyła, wkrótce już na siebie wrzeszczeli, ale równie szybko wszystko ucichło, a w Piekarni zapanowała absolutna cisza. Po chwili słyhać było tylko cichy chichot i wilgotne pocałunki. Sprzedawczynie pracowały dalej i udawały, że niczego nie słyszą, ale Bárður spojrzał z uśmiechem na chłopaka i życie było cudowne. Siedzieli sobie w Piekarni i zachwycali się przyszłością. Bárður załatwił im na lato pracę w sklepie u Lea, którego ojciec przyjaźni się z Jó-nem faktorem. Jón nie potrafi ustać spokojnie, przestępuje z nogi na nogę, gdy mówi i gdy słucha, i ciągle oblizuje wargi. Jón byłby nikim, gdyby nie jego żona Tove, wyjaśnił Bárður, Dunka, którą niektórzy nazywają

Fregatą. Zrozumiesz to przezwisko, gdy zobaczysz ją idącą ulicą. Świat jest dużo łatwiejszy, gdy ma się ją po swojej stronie, ona ceni pracowitość. Wystarczy, że będziesz się przykładał do roboty, i wszystko będzie w porządku. Poza tym to wymarzona praca, żadnej harówki, człowiek nie jest potem zmachany, nie plami sobie ubrania i nawet nie musi myć rąk!

Ocean jest wielki i bardzo głęboki, a chłopak jeszcze nigdy nie wypływał tak daleko.

Tak niewiarygodnie daleko.

Tylko ławeczka do siedzenia oddziela ich od utonięcia, nigdy się do tego nie przyzwyczai, poza tym znacznie silniej tu wieje. Fale rosną, ocean robi się niespokojny. Ale to jeszcze nie burza, płyną dalej. Wytężają siły, napinają mięśnie, poczekaj na nas, dorszu, nadchodzimy. Chłopak obserwuje plecy Pétura. Nie ma żadnego porównania między nim a jego bratanicą Guðrún. Oszalałeś? To jak porównywać letnią noc z burzą śnieżną. Najgorsze, że tak trudno z nią porozmawiać. Gdy ona patrzy na niego, chłopak zaraz zapomina języka w gębie i traci rozum. Poza tym Guðmundur i tak rozdarłby go na strzępy i użył jako przynęty na ryby, gdyby odważył się na coś więcej niż tylko patrzeć na nią i wzdychać do niej. Łąd coraz bardziej tonie w mroku i oceanie, ale wkrótce ze wschodu nadejdzie świt. Widzą kilka gwiazd i przeróżne chmury, granatowe, prawie czarne, jasne i szare, a niebo jest tak zmienne jak serce. Bárður sapie i mruczy coś do siebie niewyraźnie, ze zmęczenia... a zmierzch szary... ubrał świat cały w swą liberię mroczną. Wszystkim im wałą serca. Serce to mięsień, który pompuje krew, siedlisko bólu, samotności i radości, jedyny mięsień, który potrafi nie dać nam zasnąć. To siedlisko niepewności: czy obudzimy się znowu do życia, czy deszcz zamoczy siano, czy trafi się ryba, czy ona mnie kocha, czy on przejdzie wrzosowisko, by wypowiedzieć właściwe słowa. O niepewności w sprawie Boga, o sensie życia i sensie śmierci. Wiosłują, a ich serca pompują krew i niepewność w sprawie ryb i życia, ale nie Boga. Nie, bo wtedy nie odważyliby się wypłynąć tą łódeczką, otwartą trumną, na ocean, który jest błękitny na powierzchni, ale czarny pod nią. Bóg jest wszechobecny w ich głowach. On i Pétur, jedyni na tym świecie, dla których Einar ma szacunek, czasami jeszcze Jezus, ale już nie tak bezwarunkowo.

Człowiek, który nadstawia drugi policzek, nie przetrwałby długo tu wśród gór. Árni wiosłuje, chwilami on i wysiłek stają się jednym. Przez długi czas nie myśli o niczym, ale po chwili w jego myślach pojawiają się Sesselja i dzieci, troje

żyjących i jedno martwe. Árni wiosłuje i myśli o domu, zwierzętach, gminie. Za trzy lata chciałby wejść do rady gminy, w życiu trzeba mieć cele, inaczej do niczego się nie dojdzie i tylko zgnije. W dwunastu wyćwiczonych ramionach kryje się siła, ale mimo to łódź zdaje się stać w miejscu, fale rozbijają się dookoła, nie ma w nich żadnej złości, ale i tak są ogromne i zasłaniają widok. W tych falach jest cały wielki ocean, a łódka to tylko szczapa drewna. Na tej szczapie siedzą mężczyźni i ufają Bogu. Bárður i chłopak mają jednak więcej wątpliwości niż pozostali. Są młodzi i bardzo dużo przeczytali, ich serca pompują więcej niepewności niż tamtych, nie tylko zresztą w sprawie Boga, bo chłopak jest także niepewny życia, zwłaszcza siebie w tym życiu oraz celu. Myśli o Guðrún, a to wcale nie zmniejsza jego niepewności. Guðrún ma jasne oczy, tak jasne, że wokół niej nigdy nie ma nocy, myśli chłopak, wiosłując. Podoba mu się to zdanie, powtarza je i zapisuje w pamięci, by później podzielić się nim z Bárðurem, gdy pod stopami będą już mieli stały ląd, a do najbliższego człowieka będzie znacznie dalej niż tu na łodzi. Patrzy na plecy Pétura, a za sobą słyszy powolny, mocny oddech Gvendura. Oczy tak jasne, że wokół niej nigdy nie ma nocy, powtarza sobie. Przypomina mu się wers z *Raju utraconego*, który Bárður czytał wieczorem: „blask gwiazd, bez ciebie, nie może być słodki”, ale wtedy zaczyna myśleć o jej piersiach. Stara się ze wszystkich sił myśleć o nocy, o niepewności, ale bez skutku, głowę wypełniają mu obrazy i słowa. Ma erekcję. Na początku wydaje mu się to miłe, ale potem nie. Wstydzi się strasznie. Od tej chwili już nigdy nie będzie mógł spojrzeć na Guðrun, to koniec, stracił ją. Powinienem wyskoczyć za burtę, natychmiast. Blask gwiazd, bez ciebie, nie może być słodki, szepcze Bárður, jakby chciał go ukarać. Cytuje z książki, którą pożyczył mu ślepy kapitan. W drodze z Plássið wstąpili do gospody Geirþruður; teraz idziemy do Geirþruður, powiedział Bárður, dopijając kawę. Odgłosy pocałunków ucichły, a piekarz zaczął śpiewać wysokim, miękkim głosem frywolną piosenkę po niemiecku.

Na ulicach Plássið panował spory ruch, a niektóre z domów wyrastały wysoko ponad ich głowami.

Chłopak skurczył się w sobie pod naporem zawirowań życia, domów i imienia Geirþruður. Najpierw poszli do sklepu Tryggviego, a potem do szewca Magnusa, u którego Bárður kazał sobie zmierzyć stopy i zamówił na wiosnę i lato w Plássið gumowce do kolan. Nie obawiaj się Geirþruður, powiedział Bárður,

gdy zbliżali się potem do gospody. Nie zje cię, no, co najwyżej jedną rękę. I miał rację. Nie zjadła chłopaka, głównie dlatego zapewne, że jej nie było, a w każdym razie nie na sali, w której zatrzymali się na pół godziny. To były dla chłopaka długie minuty, czuł się onieśmielony widokiem Helgi, prawej ręki Geirþruður, i jej szarych, przenikliwych oczu, zmieszany także wobec kapitana i jego szorstkiego głosu, ostrych słów i tych martwych oczu pod wysokim, zmarszczonym czołem. Kryją wiele myśli, a w każdym razie powinny, muszą kryć, bo kapitan ma przecież co najmniej czterysta książek, twierdzi Bárður. Bárður czuje się tam jak u siebie w domu i kiedyś zażartował sobie, przedstawiając chłopaka: mój przyjaciel, zbyt utalentowany na łowienie ryb. Słowo „przyjaciel” zabrzmiało tak miękko, że chłopakowi natychmiast zrobiło się trochę lepiej. Nie docierały do niego ironiczne docinki trzech marynarzy siedzących przy piwie. Zna ten sposób mówienia, w końcu sam pływa po morzu już prawie trzy zimy. Wielki pijany listonosz Jens też tam był. Właśnie wrócił z comiesięcznej wyprawy do Reykjavíku, która zajmowała mu sześć do ośmiu dni. Bárður i chłopak widzieli przed wejściem do gospody skrzynkę pocztową i worki z listami. Jens miał z pewnością jechać prosto do Sigurðura, lekarza, u którego poczta jest sortowana i przekazywana lokalnym listonoszom rozwożącym ją po okolicznych wsiach i fiordach, ale Jens ma w nosie przepisy. Sigurður nie znosi, poza tym o wiele przyjemniej jest siedzieć w gospodzie Geirþruður i pić piwo, dopóki starcza pieniędzy. Zresztą Sigurður może się sam pofatygować po pocztę. Jens rzuca okiem na chłopaka, ale poza tym nie poświęca ani jemu, ani Bárðurowi uwagi. Jest pogrążony w rozmowie ze Skulim, redaktorem „Woli Ludu”. Wcześniej chłopak widział Skuliego tylko raz, z daleka, ale długo przyglądał się temu wysokiemu, dobrze ubranemu mężczyźnie. Cudownie jest pisać do gazety, tysiąc razy lepiej niż łowić ryby. Skuli ma przed sobą kartkę i zapisuje to, co mówi listonosz. Następny numer gazety pełen będzie najnowszych wieści, bo Jens przeszedł i przejechał drogę aż z Reykjavíku i przywiózł wiadomości ze stolicy i z zagranicy, wraz z innymi mniejszymi nowinkami, które zebrał po drodze. Jens przejeżdża obok wielu gospodarstw, a tam jest mnóstwo gąb, które chcą opowiedzieć o plotkach, duchach, upiorach i odległości między dwiema gwiazdami, między życiem a śmiercią. Jesteśmy tym, o czym mówimy, i tym, o czym milczymy. Ślepy kapitan, Kolbeinn, milczy o wielu sprawach i na szczęście nie zwraca uwagi na chłopaka. Rozmawia tylko z Bárðurem. Weź dla Andrei tę książkę o Juulim, mówi, a ta tutaj jest dla ciebie.

Kolbeinn kładzie rękę na wielkiej księdze leżącej przed nim. *Raj utracony*, wydanie z roku 1828. Widzisz, że ci ufam, mówi niemal ponuro do Bárðura, milknie na chwilę, tak jakby zastanawiał się nad słowem „widzisz”, ale potem dalej opowiada o książce. Zmieni twoje życie, przyda ci się to.

Blask gwiazd, bez ciebie, nie może być słodki.

Milton był ślepy, tak samo jak kapitan. Angielski poeta, który stracił wzrok jako dorosły. Tworzył w ciemnościach, a wiersze spisywała jego córka. Dlatego błogosławimy jej ręce, ale miejmy nadzieję, że miały też jakieś życie poza wierszami, że mogły obejmować coś miłszego i bardziej miękkiego w dotyku niż pióro. Są słowa, które potrafią zmieniać świat, potrafią nas pocieszyć i otrzeć łzy. Są słowa jak pociski i słowa jak dźwięk skrzypiec. Niektóre potrafią stopić lodowiec wokół serca, czasem nawet ratują w złych czasach, gdy człowiek żyje, a jakby nie żył. Jednak słowa nie mogą zbyt wiele, a my gubimy się na wrzosowiskach życia, jeśli jedyne, czego możemy się chwycić, to pióro. Już nadszedł wieczór cichy, a zmierzch szary ubrał świat cały w swą liberię mroczną. Wersy powstałe w ciemności, które nigdy nie znikną sprzed oczu, spisane kobiecą ręką, przetłumaczone na islandzki przez księdza, który wzrok miał dobry, ale był czasem tak biedny, że nie miał papieru, na którym mogłby pisać, i dlatego jako kartek używał czasem nieba nad Hörgárdalur.

Stop! woła głośno Pétur.

Stop!

Pierwsze słowo, jakie słyhać w łodzi od prawie czterech godzin.

I w tej samej chwili przestają wiosłować.

Oddychają równie ciężko, jak ocean pod nimi.

Większość gór utonęła już całkowicie, zostały tylko dwie, na podstawie których Pétur określa położenie łodzi. Znajdują się dokładnie nad ławicą ryb, a ocean pod nimi nie jest już tak głęboki i przerażająco czarny.

Stop! i Árni i Pétur wciągają wiosła do łodzi. Jedno słowo, które właściwie nie jest słowem i nie ma znaczenia. Rzadko mówimy „stop!”, gdy marzymy o znalezieniu sensu, gdy marzymy o wargach i dotyku. Nie dyszymy „stop!”, gdy przeżywamy orgazm, nie mówimy „stop!”, gdy ktoś nas opuszcza, a serce przemienia się w twardy głaz. Ale Pétur nie musi mówić nic więcej. Na otwartym oceanie ludziom nie trzeba słów. Dorsz nie zwraca uwagi na słowa, nawet na taki przymiotnik jak „cudowny”. Dorsz nie zwraca uwagi na żadne



słowa, a mimo to pływa w oceanie niemal niezmienny od ponad stu dwudziestu milionów lat. Czy to nie mówi nam czegoś o języku? Może nie potrzebujemy słów, żeby przeżyć, ale jednak potrzebujemy ich, by żyć.

Pétur mówi „stop!”, wyrzuca boję za burtę i razem z Árnim zaczyna spuszczać pierwszą linę.

Pozostała czwórka, wiosłując, rozciąga ją w wodzie. Na tych długich linach znajduje się mnóstwo haczyków, na które poprzedniego wieczora nadziali przynętę dla ryb. Sześć lin, po jednej dla każdego z nich, lina Pétura spuszczone jako pierwsza. Wcześniej on i Árni robią na każdej znak krzyża, by z głębin nie wynurzyło się zło. Tylko co to było? Głębina oceanu wolna jest od wszelkiego zła, jest w niej tylko życie i śmierć. Gdyby chcieć spuścić te liny w głąb duszy ludzkiej, trzeba by na nich zrobić znak krzyża nie raz, ale tysiąc razy. Wschodni wiaterek staje się coraz silniejszy i zmienia się na północno-wschodni. Powoli robi się zimno, ale mężczyźni są jeszcze rozgrzani od wiosłowania. Z czwórki mężczyźni, którzy wiosłami rozprostowują liny w wodzie, ciepło nie ucieka, ale pozostała dwójka marznie. Niczego nie dają jednak po sobie poznać i pokazują siłę, która być może wcale nie jest siłą, lecz po prostu strachem przed zdaniem pozostałych. Człowiek jest czasem śmiechu wart. Liny toną jedna po drugiej w zimnobłękitnej toni oceanu, kładą się w milczącej, ciemnej głębinie i czekają na ryby. Przede wszystkim na dorsze.

Mężczyźni w łodzi czekają na ryby, które pływają w oceanie od stu dwudziestu milionów lat. Różne gatunki zwierząt pojawiały się i znikwały, a dorsz pływa swoimi ścieżkami. Człowiek w jego życiu to tylko chwila. Dorsz pływa cały czas z szeroko otwartym pyskiem, tak łapczywy, że ustępuje w tym jedynie człowiekowi, połyka wszystko, co mu stanie na drodze, i nigdy nie ma dość. Chłopak doliczył się kiedyś w żołądku średniej wielkości dorsza stu pięćdziesięciu dorosłych gromadników i został ciężko zrugany za marnowanie czasu na takie zajęcia. Dorsz jest żółtawy i uwielbia pływać, wiecznie polując na nową zdobycz. W jego życiu niewiele się dzieje, więc pływająca w wodzie lina z przyczepioną do haka przynętą to wielkie wydarzenie. Cóż to takiego, mówi dorsz do drugiego, wreszcie coś nowego, mówi jeden z nich i wgryza się bezlitośnie. Pozostałe dorsze podpływają i też się wgryzają, bo żaden nie chce okazać się gorszy. Przyjemnie tu tak sobie powisiec, mówi jeden kącikiem ust, a reszta przytakuje. Godziny mijają, potem pojawia się jakiś ruch, coś je ciągnie do góry, jakaś wielka siła, wyżej i wyżej w kierunku nieba, które się rozstępuje,

i oto zaczyna się nowy świat, pełen przedziwnych ryb.

Spuścili do wody wszystkie liny. Zaczyna się czekanie.

Długie czekanie, aż ryba chwyci. Dwie godziny pośrodku niczego. Dwie godziny w otwartej trumnie na Oceanie Arktycznym. W mrozie, przy wzmagającym się wietrze. Teraz tylko Einar i Gvendur mają co robić. Trzymają wiosła. Nie puszczą ich, dopóki nie dopłyną do brzegu i nie zostawią za sobą wolności oceanu, chyba że wiatr będzie odpowiedni, by postawić żagle. Wtedy będą mogli odpocząć, podczas gdy łódka będzie płynąć, a Pétur sterować. Ich sześćoosobowa łódka zamieni się we wspaniałą okręt. Tak, to są dobre, a nawet piękne chwile, gdy trumna zamienia się w okręt, który pruje fale, mężczyźni drzemą, a ich głowy wypełniają się snami.

Gvendur i Einar utrzymują łódź w pobliżu boi. Mrok nocy ustępuje powoli blaskowi dnia. Bardzo powoli, nad ich głowami wciąż jeszcze panuje półmrok, kilka gwiazd pojawia się w miejscu, gdzie rozstępują się chmury. Niebo z wolna zapełnia się ciężkimi chmurami. Pétur schyla się po kanekę z serwatką, wyciąga korek, pociąga porządny łyk i podaje Árniemu. Piją jeden po drugim, napełniają usta serwatką i się orzeźwiają. Jest coraz chłodniej. To będzie zimne czekanie, ale co z tego. Spuszczali już boje przy większym mrozie niż teraz i czekali przy silniejszym wietrze, tak silnym, że czterech naraz musiało utrzymywać łódź w miejscu. Czekali już w takich ciemnościach, że Pétur musiał chwycić liny przywiązane do boi, tak by nie odzepiła się od łodzi i by jej nie stracić. Trzymał liny mocno, bo obawiał się po cichu, że gdzieś w nocy czai się diabeł i ciągnie za ich drugi koniec. Mimo to nie przyszło mu do głowy, by je puścić, bo niewątpliwie najgorsze, co może się nam przytrafić w życiu, to stracić liny, zgubić je, być zmuszonym do tego, by je porzucić i uciekać w przestrachu na ląd, zanim dopadnie nas wściekłość oceanu, zanim się nad nami rozbiją fale tak ciężkie jak sama śmierć. Ale świat bywa różny, są burze i są okresy ciszy. Cudowna cisza panowała, gdy wypływali ostatnim razem, dwa tygodnie temu. Cały świat spał, a ocean był jak lustro, które unosi się i opada. Mogli dostrzec każdą szczelinę i fałdkę w górach oddalonych od łodzi o wiele kilometrów, a niebo sklepiało się nad nimi niczym dach świątyni, który nas chroni. Sześciu mężczyzn wdzięcznych, milczących i zaleknionych wobec własnego istnienia. Człowiekowi nie jest jednak pisane być stale wdzięcznym i pokornym, niektórzy zaczęli więc myśleć o tytoniu i zapomnieli o wieczności. Bárður i chłopak oparli

się wygodnie i obserwowali gwiazdziste niebo, które czyni nas potężnymi i bezsilnymi na przemiany i które czasem zdaje się do nas przemawiać. To, co do nas mówi, muska delikatnie nasze stare rany.

Tym razem jednak nie widać żadnych gwiazd. Już nie. Zniknęły wszystkie za chmurami, które gęstnieją nad nimi i ściągają złą pogodę. Zbliży się dzień, wiatr przybiera na sile i robi się coraz zimniejszy, zrodzony z lodu, który wypełnia świat za horyzontem. Nie powinniśmy płynąć w tym kierunku, mróz to piekło. Wkładają kurtki, bo mimo że swetry mają grube, to polarny wiatr z łatwością się przez nie przedziera. Na domiar złego są mokrzy od potu. Wszyscy chwytają za peleryny, poza Bárðurem. Jego ręce trafiają na próżnię, sztywnieją w pustym powietrzu, a Bárður klnie głośno.

Co jest? pyta chłopak.

Pieprzona peleryna, zapomniałem ją zabrać. Bárður klnie dalej, klnie, bo koniecznie chciał się nauczyć na pamięć wersów z *Raju utraconego*, tak że zapomniał o pelerynie. Andrea już się na pewno zorientowała i martwi się teraz o niego, że trzęsie się tu z zimna, zupełnie niechroniony przed polarnym wichrem. Tak oto poezja może zaszkodzić człowiekowi.

Ale z ciebie dureń, mówi Einar szyderczo, a Pétur nie mówi nic. Zdaje się nawet unikać patrzenia na Bárðura, który odświeża sobie wszystkie przekleństwa, jakich nauczył go życie. A jest tego sporo. Przekleństwa są jak węgielki, mogą nas trochę ogrzać, ale na niewiele się zdają wobec polarnego wichru, który przenika człowieka do szpiku kości. W takiej sytuacji każde rozsądne odzienie jest nieporównywalnie lepsze i ważniejsze od wszystkich wierszy tego świata. Bárður i chłopak okrakiem siadają naprzeciw siebie na ławce i klaszczą w dłonie. Najpierw powoli, potem zwiększają tempo, jak tylko mogą, i klaszczą tak długo, aż Bárðurowi robi się trochę cieplej, a chłopak jest cały spocony i zmęczony. Ciepło szybko ucieka z Bárðura, który sam próbuje się rozgrzać. Teraz to już na pewno się rozchoruję, myśli ze złością, i ominie mnie oczywiście następny raz, gdy wypłyniemy. Stracę zarobek, stracę ryby, do diabła. Klnie, bo źle jest tracić ryby. Ryba to nie tylko zmiennocieplny kręgowiec, żyjący w wodzie i oddychający skrzelami, ryba to znacznie więcej. Większość islandzkich wiosek powstała z ości dorsza, one są kolumnami podtrzymującymi kopułę marzeń. Pétur marzy o tym, by się wzbogacić, zburzyć starą zagrodę i zbudować na jej miejscu drewniany dom z oknami. To sprawiłoby przyjemność Andrei. Przydałoby się, bo chyba coś złego się między

nimi stało. Pétur nie ma jednak pojęcia, o co chodzi. Mówiąc szczerze, jest zupełnie bezradny. Nie zmienił się przecież, pracuje bez wytchnienia, ze wszystkich sił, nie pozwala sobie na odpoczynek. Dlaczego więc wydaje mu się, że ją traci? Czyżby życie go oszukiwało? Nie może jednak wskazać palcem niczego konkretnego, nie ma nic, co potwierdzałoby jego przypuszczenia, poza tym nieokreślonym przeczuciem, że w powietrzu wisi coś, co skierowane jest przeciwko niemu, co buduje między nimi mur, oddalenie. To podejrzenie staje się czasami nieznośne, ogarnia go smutek, który odbiera jego ręką wszelką siłę, ściąga w dół głowę. Tu na oceanie dzieje się to jednak rzadko. Tu jest szczęśliwy, jest ponad wszystkim, a obok niego siedzi Árne, najlepszy marynarz, jakiego kiedykolwiek miał. Árne także marzy o domu z drewna, o łące wokół domu, wyrwaniu chwastów i kupnie po zakończeniu połowów tego czerwonego miękkiego materiału oraz zabawek dla dzieci w sklepie Tryggviego. Ten, kto nie ma marzeń, jest w niebezpieczeństwie. Gvendur marzy o amerykańskich gumowcach i patrzy często na gumowce Árnego. Einar marzy, by po zakończeniu połowów kupić sobie kurtkę i czapkę w kratkę, a chłopak marzy o książkach, lepszym życiu i czasem o Guðrún. Może uda im się zdobyć małą zagrodę, nie, do cholery, nie jest przecież rolnikiem, ani myśli zostawać rolnikiem, nawet przy niej, mimo że dzięki niej wszystko byłoby na pewno jasne i dobre, jak w bajce. Nie, chłopak zostanie na początek pomocnikiem w sklepie Lea. Będzie mógł wtedy czytać wieczorami, coś z tego będzie, to daje mnóstwo możliwości.

Wicher przybiera na sile.

Bárður zabija ręce dla rozgrzewki. Klnie na siebie głośno i po cichu. Marzy, by stać się niezależnym od ojca, by wyjechać, żyć razem z Sigriður, z jej śmiechem i uwagami, które potrafią wszystko postawić na głowie. Marzy, by więcej się nauczyć, o Kopenhadze, tam są wieże i niezliczone ulice, wśród których można zabłądzić. Marzy, by dokonać czegoś wielkiego, bo czy nie po to właśnie żyjemy? To pytanie, z którym należy się zmierzyć. Ale w tej chwili jest jeszcze jedno, ważniejsze: jak utrzymać zimno z dala od siebie? Pétur podaje mu tytoń, który Bárður zaczyna żuć, mimo że nie jest do tego przyzwyczajony, i krzywi się od jego cierpkiego smaku. Tytoń trochę rozgrzewa, ale tylko na chwilę. Chłopak i Bárður znowu klaszczą w dłonie, szybko i mocno, wiatr i mróz robią się jeszcze większe, a chmury ciemniejsze. Nie widać lądu, horyzont

zakryty przez śnieżycę. Dopadnie ich za jakąś godzinę, o ile wtedy czas będzie jeszcze płynął. Teraz wlecze się tylko, mija tak powoli, że prawie stoi w miejscu. Árni i Pétur trzęsą się z zimna. Marzną, mimo że mają na sobie peleryny. Pétur zaczyna nucić, cicho i nieskładnie, ale ma silne struny głosowe, a gdy są już rozgrzane, zaczyna układać piosenki. Pozostali słuchają. Najpierw piosenki o koniach, o podróżach morskich, bohaterstwie i odwadze na morzu. Ale bohaterstwo i odwaga na niewiele się zdają przy takim mrozie, więc zmienia tematykę na bardziej dwuznaczną, a piosenki szybko stają się nieprzyzwoite. Pétur zna mnóstwo takich piosenek, dziesiątki albo i setki. Przesunął się o jedną ławkę do przodu i siedzi teraz na dziobie łodzi, w ubraniu z foczej skóry, w grubych wełnianych rękawicach, włóczkowej czapce pod zydwestką, która zakrywa mu oczy. Widać tylko nos, część policzków i usta. Resztę zakrywa broda, także wyraz twarzy, i może właśnie dlatego Pétur wydaje się taki niepokonany, bujając się w przód i tył i żując tytoń. Piosenki wylewają się z niego, tak jakby chciał nimi zalać polarny chłód. Stają się coraz ostrzejsze, gwałtowniejsze, sam Pétur też się zmienia. Nie jest już tym milczącym, poważnym kapitanem, tytanem pracy. Budzi się w nim coś pradawnego, mrocznego i nie bucha już z niego poezja. Poezja to coś dla mięczaków i uczonych, a to jest prymitywna siła, język zakorzeniony głęboko w nim samym, wyrosły z Nielitościwości życia i wszechobecności śmierci. Pétur rozgrzewa się, kołysze rytmicznie na ławie w przód i tył, uderza od czasu do czasu dłońmi o uda, gdy słowa robią się tak ciężkie, że ciało ludzkie nie może sobie z nimi poradzić. Ciało ludzkie jest bardzo wrażliwe i nie radzi sobie z ciężkimi kamieniami, nie znosi lawin, trzaskającego mrozu, nie znosi samotności i słów obciążonych pradawnym brzemieniem i przesyconych żądzą. Dlatego właśnie Pétur uderza dłońmi o uda, by w ogóle móc te słowa z siebie wydobyć. Pozostałą piątkę przechodzi dreszcz, wszyscy znajdują się we władzy tej pradawnej mocy, która wydobywa się z ich sternika. Oczy Einara rozbłyskują mroczną radością, Gvendur oddycha przez otwarte usta, a Árni nie spuszcza z Pétura wzroku. Bárður ma półprzymknięte oczy, nie słucha samych słów, ale ich brzmienia, brzmienia głosu, i myśli: do diabła, skąd w tym starym dziadzie bierze się ta moc? Chłopak waha się między podziwem a obrzydzeniem, patrzy na pięćdziesięcioletniego mężczyznę wyśpiewującego obleśne piosenki. Kim jest Pétur, jeśli nie staruchem, a jego piosenki jednym wielkim nieokrzesianiem? Ale w następnej chwili Pétur znowu staje się kimś pradawnym, a dźwięk jego słów

porywa chłopaka. Przeklina siebie i Pétura, siedzi teraz z pięcioma innymi mężczyznami w łodzi na Oceanie Arktycznym, mróz dookoła, i waha się między podziwem a obrzydzeniem. Pétur zdejmuje zydwestkę, spocił się cały, ściąga jedną rękawicę, wielka dłoń wydaje się zaciskać na niektórych słowach. Patrzy skupiony przed siebie i stara się nie myśleć o Andrei. Nie wyjmuj jeszcze, prosi go czasem za przepięrzeniem, na rosnącej stercie suszących się ryb. Wkrótce będzie tak wysoka, że nie da już rady na stojąco. Rób to powoli, mówi Andrea, tak jest dobrze, rozkłada nogi szerzej, zarówno żeby lepiej go czuć, jak i po to, żeby jej nie bolało. Podniecenie w jej słowach i szeroko rozłożone nogi to dla niego za dużo, wszystko w Péturze wybucha, przechodzi go dreszcz, zaciska zęby, a Andrea mimowolnie odwraca głowę, jakby chciała ukryć rozczarowanie, a nawet smutek, który pojawia się na jej twarzy. Potem następuje cisza, a Andrea próbuje nie patrzeć na męża. I właśnie w magicznej chwili pradawnej siły układania pieśni dopada Pétura to wspomnienie. I wtedy strach, że może ją stracić, wypełnia każdą komórkę ciała, a moc, magia i pożądanie znikają nagle, coś je z niego wysysa. Dokąd mogłaby pójść, tego nie wie, nigdy się nad tym nie zastanawiał. A co takiego jest w nim? I czymże jest życie? Życie to ta łódź, ziemia z budynkami i zwierzętami i wreszcie Andrea. Trzydzieści lat razem. On nie zna innego życia. Gdy ona odejdzie, on straci równowagę. Właśnie to sobie uświadomił, niespodziewanie staje mu to przed oczami, piosenka zamiera na jego ustach, a Pétur sprawia wrażenie, jakby zapadł się w siebie.

Einar klnie cicho. Zna tę piosenkę, która właśnie ucichła, i czeka niecierpliwie na jej ostatnią zwrotkę. Wraz z nagłym milczeniem wraca do nich świat. Wraca z mrozem, wichurą, rosnącymi falami i płatkami śniegu, bo zbliża się śnieżycy. Bárður pociera mocno dłonie, a chłopak odwraca się, tak by móc natrzeć jednocześnie piersi i plecy przyjaciela. Einar i Gvendur wiosłują, Árni unika wzroku Pétura, który nie przypomina już siebie i siedzi tam, jakby czekał, aż ktoś wyrzuci go za burtę jak zbędny balast. Łódź unosi się i opada. Choroba morska, która dotąd nie dokuczała chłopakowi zbyt, za co wdzięczny był w myślach chińskiemu eliksirowi, powraca, na razie znośnie, w formie mdłości, których na pewno się pozbędzie, jak tylko zaczną wyciągać liny. Jeśli kiedyś zaczną je wyciągać, jeśli czas ich nie opuści, nie zostawi na środku oceanu. Pétur otrząsa się, otrząsa się niczym zwierzę, wyrzywa się z otępienia, rezygnacji, lęku i mówi: podpłynmy do boi.

Árni, Bárður i chłopak prostują się, a Einar i Gvendur odwracają łódź i płyną szybko w kierunku boi, bo nadszedł czas wyciągania ryb, wyciągania z głębiny tego, co trzyma nas przy życiu, pomaga nam ulepszać domy i powiększa marzenia. Bárður wkłada wiosło do dulki, jego zadaniem jest ciągnąć liny. To wymaga siły i wytrzymałości, a Bárður ma mnóstwo i jednego, i drugiego. Pétur lekko się wychyla i obserwuje wodę. W prawej ręce trzyma bosak, zaczynają od wyciągnięcia jego liny, liny sternika. Drżą z niecierpliwości. Bárður ciągnie, zanurzona w głębiny lina zaczyna się poruszać, dorsze zostają wydobyte na powierzchnię i przyjęte bez cienia delikatności. Pétur wciąga ryby swoim kijem do łodzi, a zaraz potem Árni jednym ruchem je zabija. Nigdy już nie będą z otwartym pyskiem pływać w granatowej głębiny i połykać wszystkiego, co jest mniejsze od nich. Te cudowne chwile już nie wrócą, zabiera je śmierć, ale nie wiemy dokąd. Być może gdzieś, poza czasem, istnieje wieczny ocean, pełen martwych ryb, a niektóre z nich już dawno wymarły tu na ziemi? Ryba jest zimnokrwista i nieszczególnie wrażliwa na życie i śmierć, myśli chłopak, chwytając linę i ciągnie ją w tym samym tempie co Bárður. Lina jest ciężka od ryb, zwijają ją ostrożnie, tak by się nie splątała, odrywają z haków resztki przynęty. Nie zawsze jest to łatwe, trzeba się spieszyć, a jedyne, co czasem pozostaje, to pomóc sobie zębami, odgryźć przynętę i wypluć ją, słoną i lodowatą. Mnóstwo ryb. Bárður zaczął już wyciągać linę Árniego, Pétur celuje swoim kijem. Uśmiecha się, to dla niego piękna chwila. Gvendur i Einar wiosłują, obaj się uśmiechają. Gvendur przypomina zadowolonego wielkiego psa. Nadszedł ranek. Jednak gdy Bárður wyciąga czwartą linę, linę chłopaka, powraca mrok, tak jakby noc wróciła do nich, mówiąc: przepraszam, zapomniałam czegoś. Ale to nie noc wróciła po swoją czapkę. Pétur spogląda w górę, rozgląda się dookoła. Świat zniknął, a tam, gdzie był horyzont, widać tylko czarną ścianę.

Nadchodzi burza, dopadnie ich w jednej chwili.

Árni, mówi Pétur. Nie musi mówić nic więcej, bo Árni widzi, w którą stronę patrzy sternik. Odkłada nóż i zaczyna pomagać Bárðurowi przy wyciąganiu liny. Ocean robi się niespokojny, kończy się jego wyrozumiałość dla tej łódki i jej załogi. Fale rosną, wiatr się zbliża. Ruchy Bárðura stają się coraz wolniejsze, mróz odebrał mu siły, radość z dobrego połowu grzeje, ale tylko trochę, na pewno niewystarczająco. Radość, szczęście i płomienna miłość to trójca, która czyni nas ludźmi, która usprawiedliwia życie i sprawia, że jest większe od

śmierci. Mimo to nie daje zbytnej ochrony przed polarnym wiatrem. Miłość w zamian za pelerynę, radość i szczęście w zamian za drugi sweter. Polarny wiatr oceaniczny wieje, wzmaga się z każdą minutą i wyrzuca z siebie płaty śniegu. Gvendur i Einar muszą użyć całej siły, by utrzymać łódź we względnym spokoju, dookoła nich rosną fale, ląd zniknął dawno temu, podobnie jak horyzont. Na tym świecie nie ma już nic, tylko sześciu mężczyzn w łupinie łodzi, wyciągających ryby i marzenia z lodowatej głębin. Pétur trzyma się mocno, wciąga kijem ryby na pokład, obserwuje na zmianę Bárðura i burzę. On i Árni wyciągają właśnie piątą linę, linę Gvendura, który mocno trzyma wiosło. Jest przy Einarze tak ogromny, a jednocześnie tak mały i przestraszony w sobie samym, bo to okropne utonąć. Ocean Arktyczny nie troszczy się już o tę łódź, tę szczapę drewna i ludzi na niej. Burza szaleje na całego. Śnieżyca robi się coraz gęstsza. Mimo wszystko trudno nazwać ją śnieżycą. Wiatr wydmuchuje płaty śniegu wprost na ludzi, tak że muszą mrużyć oczy, a najlepiej odwracać głowę. Fale łamią się o łódź, pokrywa je piana, nie trzeba wiele więcej, by przemoczyć do suchej nitki tego, kto tak jak Bárður zapomniał peleryny. Bárður dyszy z wysiłku. I niemal w tej samej chwili Árni patrzy w stronę Pétura, a ten kiwa głową i odrzuca bosak na stertę ryb, niemal dwieście ryb. Árni schyla się po nóż i przecina linę Gvendura, której sporą część zdążyli wyciągnąć, pochylony, ni to stoi, ni siedzi. Najwyższy czas, jęczy chłopak, który dwa razy już zwymiotował, zwymiotował serwatkę i żytni chleb zjedzony nocą. Część tego wylądowała w łodzi, część w morzu, a część porwał wicher. Śnieżyca gęstnieje i zmniejsza świat dookoła nich, widzą teraz tylko na odległość kilku metrów, a jedyne, co widzą, to rosnące fale, coraz głębsze doliny fal. Łódź idzie do góry i spada, sweter Bárðura zamienił się już w skorupę lodu. Siada na ławce, właściwie opada na nią, i zaczyna się uderzać, by się rozgrzać. Chłopak próbuje pozbyć się choroby morskiej, która go dopadła mimo chińskiego eliksiru życia, znanego na całym świecie i bardzo wyrafinowanego. Bardziej wisi, niż siedzi na ławie, naciera ostatkiem sił przyjaciela, proponuje mu swoją pelerynę, ale Bárður kręci głową. Peleryna chłopaka jest na niego o wiele za mała, poza tym nie byłoby dobrze, gdyby i ona się przemoczyła. A niech to wszyscy diabli, mamrocze Bárður.

Co z moją liną, wrzeszczy Einar i patrzy wściekły na Pétura i Árniego.

Nie możemy dłużej czekać, odkrzykuje w jego stronę Pétur. Dzieli ich tylko trzy metry, ale żeby być słyszany tu, na Oceanie Arktycznym, trzeba krzyczeć,



wrzeszczyć, a i tak nie wiadomo, czy to wystarczy. Więc Einar krzyczy, potrząsa głową, jakby cierpiał katusze, jakby chciał zmniejszyć wściekłość, która wypełnia mu głowę, ze wszystkich sił zagryza zęby i udaje mu się powstrzymać słowa, które szaleją w jego wnętrzu. Pétur jest sternikiem, jego słowa to prawo, a ci, którym się ono nie podoba, mogą się zabierać. Mimo wszystko to okropne, Einar jest tak wściekły, dosłownie widzi krew przed oczami, że wszystkie liny, poza jego, są wciągnięte, ciężkie od ryb. To najczarniejsza niesprawiedliwość, czarna jak czeluście piekielne. Ponad trzy godziny ciężkiego wiosłowania, tyleż, by utrzymać łódź w miejscu, i co dostaje człowiek w zamian? Nic, ryby porzucone w wodzie, przyczepione do haczyków. Einar spogląda morderczym wzrokiem na Bárður, który próbuje stłuc w sobie zimno, i bladego jak kreda chłopaka, który klepie przyjaciela. To nie sztorm zabrał Einarowi ryby, tylko Bárður.

Żagiel, wrzeszczy Pétur przez wiatr i śnieżycę, która właśnie ustaje. Jedno słowo, a Einar i Gvendur wciągają wiosła, Bárður i chłopak zaś wyprostowują się. Mężczyźni poruszają się szybko, ale ostrożnie, jeden nierozsądny, bezmyślny ruch, a łódź może stracić równowagę, która oddziela życie od śmierci. Oba maszty stoją, żagiel rozciągnięty między nimi. Pétur mocuje koło sterowe, musiał w tym celu przeczołgać się do niego. Z pewnością wiatr uderzy teraz w żagiel z całą wściekłością, nareszcie jakiś opór, coś innego niż pusta przestrzeń. Łódź prawie przewraca się na bok. Patrzą wprost na pochłaniający wszystko ocean. Niebo nad nimi dawno zniknęło, tu już nie ma nieba, nie ma horyzontu. Łódź odzyskuje równowagę, Pétur steruje nią pewną ręką. Ocean zaczyna kipieć, piana i woda rozpryskują się nad nimi, wszyscy z trudem łapią oddech, poza Bárðurem, który w milczeniu próbuje wylać wodę z łódki, ale z powodu mrozu, który przenika przez lodową skorupę, z trudem może utrzymać w rękach czerpak. Wichura nadal się wzmacza, płyną, a po piętach depta im polarny wiatr, ściga ich śnieżycy, przykleja się do łodzi i żagli i zamarza na nich. Mężczyźni próbują strząsnąć śnieg, ich zadanie to przeżyć, więc starają się ze wszystkich sił. Wszyscy poza Péturem, który skostniały od zimna i ze zmrożoną twarzą steruje łodzią. Przed nimi tylko wściekły ocean i śnieżycy, ale Péturowi niepotrzebna widoczność. Ma w swoim wnętrzu strony świata i próbuje sterować łodzią we właściwym kierunku, tak jak wichur pozwala. Walczą. Strzepują śnieg i mróz z łodzi. Starają się strzepać z siebie

śmierć, muszą do tego użyć wszystkich sił, mimo to nie jest pewne, czy to wystarczy. Stan Bárðura zmniejsza prawdopodobieństwo powodzenia, ale gdyby któryś z nich pożyczył mu swój sweter, nawet na chwilę, byłby to wyrok śmierci. Wtedy odpadłoby dwóch zamiast jednego. Człowiek bez peleryny w krótkim czasie przemaka na oceanie do suchej nitki, mróz trzyma go w żelaznym uścisku i już nie puszcza, nie tu, nie na otwartym oceanie.

Próbuj się rozgrzać, krzyczy chłopak do Bárðura, który bez sił strząsa śnieg i zmarzlinę z żagla przed sobą, ale nagle przestaje i patrzy na przyjaciela. Wydawać się może, że Bárður się uśmiecha, zbliża się do chłopaka, tak że dzielą ich centymetry. Jeden blady i wymęczony chorobą morską, drugi siny od mrozu. Bárður przystawia głowę do głowy chłopaka, jego brązowe oczy wypełnia coś, czego chłopak nie rozumie. Usta Bárðura wydymają się, próbuje uformować słowa, pokonać zimno, i udaje mu się to. Słowa pojawiają się, urywane, rzecz jasna, ale zrozumiałe dla tych, którzy wiedzą, skąd pochodzą. A chłopak wie. Słodkie jest świtu tchnienie, słodki też poranek z czarownym śpiewem najwcześniejszych ptaków, miłe i słońce, gdy pierwsze promienie, gdy pierwsze promienie wschodu spływają na ten kraj uroczy. Chłopak próbuje przebić się uśmiechem przez chorobę morską i chłód, przez strach. Bárður zbliża się jeszcze bardziej, runda zydwestek gną się, a ich czoła dotykają.

Blask gwiazd, bez ciebie, nie może być słodki. Linijka wiersza zapisana wczoraj wieczorem w liście do Sigriður, która teraz pewnie gdzieś w wiosce stoi nad maselnicą, poza tym sztormem, jeśli coś poza tym sztormem jeszcze istnieje, poza tą łodzią i śnieżycą, którą wichher rozkłada i rzuca w ich stronę. Chłopak strząsa dalej zmarzlinę z żagla i łodzi, oddycha mu się łatwiej. Świadomość, że Bárður walczy, dodaje mu siły, słodkie jest świtu tchnienie. W jednej chwili wszystko zostaje zapomniane. Liczy się tylko wysiłek przy strzepywaniu śniegu i zmarzliny z żagla, tylko walka o życie. Gdy jednak po chwili spogląda na bok, widzi, że Bárður skulił się na dziobie łodzi. Chłopak chwieje się, na czworakach próbuje dostać się do Bárðura, odpychając przy tym Einara, który wrzeszczy mu do ucha: chcesz nas wszystkich pozabijać, pieprzony szczeniaku? Bo kto porzuca powierzone mu na pokładzie zadanie, naraża pozostałych na niebezpieczeństwo. Ale teraz jest mu to obojętne. Tam leży Bárður, podciągnął nogi do piersi i objął je rękoma. Chłopak przypada do niego i woła: Bárður! Wzywa imienia, które znaczy więcej niż wszystkie inne imiona na tym świecie, więcej niż łódź z dwustu rybami. Podczołguje się tak blisko, że jego oddech

dotyka brązowych oczu Bárðura. Bárður patrzy na niego, z całkiem pustą twarzą, bo mróz sparaliżował mięśnie. Ale patrzy. Ktoś chwyta chłopaka za kołnierz. To Einar podnosi go wysoko w górę. Chłopak toczy niewidzącym wzrokiem po pokładzie, Pétur i Árni wołają coś w jego stronę, ale on nic nie słyszy. Jedyne, co słyszy, to jęk wiatru. Chłopak spogląda na Einara i uderza go ze wściekłością, trafiając w policzek. Einar uchyla się przed ciosem, ale również przed gniewem, który sprawia, że chłopaka nie można rozpoznać. Chłopak pada na kolana, zrywa z siebie pelerynę i próbuje bezskutecznie założyć ją Bárðurowi. Naciera twarz Bárðura, potrząsa jego ramionami i chucha mu w oczy, bo właśnie w nich tkwi życie. Woła, potrząsa coraz mocniej, trze szybciej, ale to na nic. To nie ma znaczenia, Bárður przestał patrzeć, w jego oczach nie ma już nic. Chłopak zdejmuje rękawiczki i pociera twarz przyjaciela, wpatruje się w jego oczy, chucha na nie, szepcze, mówi coś, głaszcze policzki, bije po nich, krzyczy i czeka, i szepcze, ale nic się nie dzieje. Więż między nimi się rozerwała, mróz wziął Bárðura w posiadanie. Chłopak ogląda się za siebie, widzi czterech mężczyzn walczących o życie, walczących wspólnie. Patrzy ponownie na Bárðura, który jest sam, nikt już do niego nie dotrze, tylko mróz. Blask gwiazd, bez ciebie, nie może być słodki.

Nie da się opisać, jak dobrze mieć znowu pod nogami stały ląd. To znaczy, że człowiek nie utonął i że może wreszcie coś zjeść po dwunastu godzinach na Oceanie Arktycznym, w sztormie i gęstej śnieżycy. Można zjeść wiele kromek żytniego chleba grubo posmarowanych masłem i obłożonych kielbasą. Można napić się czarnej kawy z cukrem pudrem. Chyba nie ma nic lepszego. Głód podgryza ich od środka, mięśnie drżą ze zmęczenia. W takiej chwili kawa i żytni chleb to istny raj. A później, gdy już się obrobi złowione ryby, gotowana rybka w topionym łożu. Jak miło się najeść, uciec przed burzą, przedrzeć się przez kipiela, która dociera aż na ląd, utrafić w odpowiedni moment, by przez nią przepłynąć, zanim przewróci łódź albo zaleje ją wodą. Wtedy do oceanu wpadnie sześciu mężczyzn, którzy nie potrafią pływać, i dwieście ryb. Cały połów na nic, i liczne trupy, bo mężczyźni utoną. Ale Pétur to geniusz, umie wybrać właściwy moment. Prześlizgują się i uchodzą cało.

Gvendur i Einar wskakują do wody, która sięga im do kolan, Guðmundur i jeden z jego załogi idą w ich stronę. Nie wypłynęli, Guðmundur zrezygnował w ostatniej chwili, w absolutnie ostatniej, dwóch ubranych w skórę mężczyzn siedziało już w łodzi, reszta zaczęła pchać i wtedy Guðmundur zrezygnował, zaniepokoił go jakiś szczegół dostrzeżony na horyzoncie. A ci, którzy są na lądzie, nie patrzą beczynnym, jak łodzie przybijają do brzegu, tylko pomagają. To prawo ważniejsze od tych ustanawianych przez władzę, bo chodzi tu o życie i śmierć, a większość wybiera to pierwsze. Życie ma tę przewagę nad śmiercią, że wiesz mniej więcej, z czym masz do czynienia. Śmierć jest o wiele bardziej niepokojąca, a mało czego ludzie tak nie lubią, jak niepewności. Niepewność jest najgorsza ze wszystkiego.

Czterech mężczyzn z załogi Guðmundura stoi przy wciągarni razem z Gvendurem i Einarem i wywlekają łódź na ląd. Pozostali pchają, za nimi szaleje oceaniczna kipiela, a jeszcze dalej hula sztorm. Tu jest dużo spokojniej, ale pośród gór ponad domami wieje oczywiście, a wiatr jest tak silny, że Andrea musi stać w rozkroku. Kawa w domu już gotowa, a Andrea stoi tam i nie rozumie samej siebie. Powinna zejść do nich, pchać razem z nimi na ostatnich metrach,

wybrać spośród złowionych ryb ze dwie do ugotowania, a potem pójść razem z mężczyznami do domu, gdzie zadowoleni usiądą nad aromatyczną kawą i wyjmą z pudełek czerstwy chleb. Radość nie zawsze jest czymś wielkim. Dobre chwile to takie, kiedy można siedzieć wśród mężczyzn, zapytać ich o połów, poczuć, jak zapach oceanu wypełnia poddasze. A jednak stoi tu bez ruchu. Mruży oczy, próbuje osłonić je przed gęstym śniegiem. Coś się stało. Czuje to. Nieprzyjemne uczucie z rana, gdy zobaczyła pelerynę Bárðura, się nasila. To tak jakby nie miała odwagi się ruszyć, jakby nawet najmniejszy gest miał potwierdzić złe przypuszczenia.

Żywe ludzkie ciało to prawdziwy cud. Ale gdy tylko serce przestaje bić, pompować krew i wspomnienia, a myśli nie krążą już pod czaszką, wtedy przestaje być cudem i zamienia się w coś, dla czego chcielibyśmy nie znajdować określenia. Lepiej zostawić to nauce. I ziemi. Andrea mruży oczy, odwraca głowę przed śniegiem, w końcu wpada na myśl, by policzyć mężczyzn. Tam są Gvendur i Einar, Pétur trzyma łódź za dziób, tam jest Árni, a tam chłopak. Teraz dostrzega, że ich ruchy są ociężałe, nie ze zmęczenia, ale z jakiegoś innego powodu. I nigdzie nie widać Bárðura.

Gdzie jest Bárður, mówi mimowolnie, pyta wiatr i płatki śniegu, ale nikt nie odpowiada. Nie muszą zresztą, wiatr jest od wiania, pojawia się i równie szybko znika, a płatki śniegu mają spadać z nieba, dlatego właśnie są białe i przypominają skrzydła aniołów. Niebo nigdy nie musiało niczego wyjaśniać, sklepia się ponad naszymi głowami, ponad naszym życiem i zawsze jest tak samo dalekie. Nigdy go nie osiągniemy, obojętnie, czy staniemy na dachu domu, czy na szczycie góry, czy próbujemy go osiągnąć słowami, czy pojazdami. Andreę przechodzi dreszcz, tak jakby miała zrobić pierwszy krok, potem drugi, ruszyć się z miejsca, podbiec do łodzi, do mężczyzn, którzy wciągnęli łódź na ląd. Pogoda nie jest najlepsza, ale nie na tyle zła, żeby musieli łódź jakoś specjalnie mocować. Jeszcze nie, choć na oceanie dalej szaleje sztorm. Dwa potwory, które utopia każdego, kto ośmieli się wyruszyć w ich stronę. Teraz powinni już iść do chaty, cieszyć się kawą, smakiem żytniego chleba, kiełbasy, masła, rozkoszą krótkiego odpoczynku, a Guðmundur powinien zmierzać do swojej chaty, by ani chwili dłużej, niż to konieczne, nie spędzić pod jednym niebem ze swoim bratem. Do cholery, niech chociaż jeden z nich się ruszy, a nie tylko wicher i płatki śniegu. Mężczyźni przy wciąganiu prostują się i zaglądają do wnętrza łodzi. Ci, którzy pchali albo ciągnęli, stoją bez ruchu, zakłopotani, ręce

spuszczone. Stoją długo, Andrei wydaje się, że wiele minut albo i godzinę, choć w rzeczywistości nie dłużej niż kilka sekund. Czas bywa różny, a zegary rzadko odmierzają to, co płynie w naszych wnętrzach, prawdziwy czas życia. Wiele dni potrafi upłynąć w ciągu zaledwie kilku godzin i odwrotnie. Liczba lat to dla życia ludzkiego bardzo niedokładna jednostka miary. Ktoś, kto umiera w wieku czterdziestu lat, mógł w rzeczywistości żyć znacznie dłużej niż ktoś, kto umiera jako osiemdziesięciolatek. Kilka sekund albo godzin; chłopak wszedł z powrotem do łodzi. Podnosi się wolno i trzyma coś dużego w ramionach, coś, co jest większe niż dorsz, większe nawet niż największy wąłusz. To nie dorsz, to człowiek. Chłopak krzyczy coś i wreszcie z pozostałych opada niemoc. Árni jednym susem wskakuje do łodzi, Gvendur i Einar schodzą na nabrzeże, chwytają Bárðura i zacierają w stronę chaty. Wydaje się, że ziemia ugina się pod ich ciężarem, mimo że jest twarda od mrozu, kamieni i milionów lat. Martwy człowiek jest jednak dużo cięższy od żywego, iskielki jego wspomnień zamieniają się w ciemne, ciężkie grudy. Wszyscy milczą. Guðmundur i jego ludzie stoją bez ruchu, ściągnęli czapki i trzymają je w dłoniach. Guðrún wychodzi przed drzwi, patrzy, wygląda, jakby ktoś uderzył ją z całej siły. Andrea wchodzi do chaty, wbiega na górę, schodzi z butelką wódki i wyciera stół. Wchodzą, kładą Bárðura na stole, a pośród gór wokół chaty słyszą jęk. Bárður leży z otwartymi oczami, wpatruje się przed siebie, skostniały, ale mimo to nie chce wódki. Nie chce niczego, bo sam jest niczym. Poza niepewnością. Zimno dotarło do jego serca, wdarło się do środka i sprawiło, że wszystko, co czyniło go tym, kim był, przepadło. Ciało, które było silne, delikatne i niepokonane w swej młodości, jest teraz lodowate i, mówiąc szczerze, stanowi problem. Trzeba się go teraz pozbyć, wysłać do domu, o ile zmarli, albo ich ciała, mają jakiś dom. Śmierć zmienia wszystko. Egoizm to ostatnia rzecz, jaka przychodziła na myśl, gdy się patrzyło na Bárðura, jeszcze żywego, w jego brązowe oczy, a teraz jego ciało leży na stole i żąda, by się nim zajęto, by niesiono je tu i tam, a ponadto zdaje się mieć za złe swoim dawnym kompanom i Andrei, że żyją.

Jedzą na górze w milczeniu. Niemal w pośpiechu, tak jakby popełniali zbrodnię, i mniej, niż domaga się żołądek.

Chłopak nie tknął swojego pudełka z jedzeniem, nie spojrzął na kawę. Siedzi na łóżku, wspólnym łóżku jego i Bárðura, ciasnym, ale teraz nagle bardzo szerokim i zdecydowanie za dużym. Siedzi sam, z peleryną i książką. Po chwili

Andrea siada obok niego. Po prostu siada i patrzy przed siebie. Pozostała czwórka kończy jeść chleb, dopija kawę, nawet Einar stara się nie mlaskać i nie marudzi, mimo że od uderzenia boli go szczeka. Gvendur nie ma specjalnie ochoty na swój chleb, zmusza się, by zjeść połowę, a resztę odsuwa od siebie, jakby była nieczysta. Pétur wstaje, inni też, idą na górę. Po drodze Einar chwytając jeszcze chleb Gvendura. Pétur ociąga się trochę, patrzy na chłopaka i zamierza coś powiedzieć, coś na temat Bárðura, coś miłego. Prosi chłopaka, żeby zszedł, prosi, nie nakazuje, ale trzeba sprawić ryby, obciąć łby, rozkroić, wypatroszyć, ściągnąć skórę, nasolić. Chłopak ma swoje obowiązki, obcina głowy i rozcina ryby, oddziela wątrobę i wrzuca do wiadra. Praca jest dobra, lecz wszystkie rany. Ale Pétur nie mówi nic o pracy, że pomogłaby, że bez niej jesteśmy niczym, bo Andrea patrzy na niego, a jej oczy mówią: zostaw go w spokoju i zejź na dół. I Pétur schodzi, z nieoczekiwaną kluchą w gardle. Tracę ją, myśli, nie, nie myśli, czuje, podejrzewa, ponieważ między ludźmi zawieszono są liny i łatwo wyczuć, kiedy się zerwą. Wychodzą, by zająć się rybami. Wszystkimi, poza rybami Einara, bo jego lina została w oceanie. Tam na hakach wiszą teraz ryby, parę metrów pod powierzchnią sztormu, i nie pamiętają, że miały kiedyś inne życie. Einar nie może się z tym pogodzić, to niesprawiedliwe, że tamci dostaną swój udział, a on nic. Nawet Bárður, mimo że nic więcej mu już nie trzeba. Martwe ryby dla martwego człowieka. Wychodzą, przechodzą obok stołu i ciała, które kiedyś nosiło imię Bárður.

Martwy człowiek leży pomiędzy tymi, którzy zmierzają ku swoim obowiązkom, do pracy, by zarobić na życie, a tymi, którzy siedzą na poddaszu. Zamarznięty, z otwartymi, ale pozbawionymi koloru, niewidzącymi oczami. Martwe ciało nie przydaje się na nic, możemy je równie dobrze wyrzucić. Chłopak patrzy w dół, kłapa jest otwarta, wejście do śmierci. Piekło to martwy człowiek. Chłopak sięga prawą ręką, głaszczkę, przez którą Bárður zapomniał peleryny. Śmiertelnie niebezpiecznie jest czytać wiersze. Książka ukazała się w Kopenhadze w roku 1828, to zbiór wierszy przełożonych przez wielebnego Jóna. Zabrało mu to piętnaście lat. Wiersze zostały napisane w Anglii przez niewidomego poetę, napisane, by znaleźć się bliżej Boga, który jest jak niebo, tęcza i sedno wszystkiego, które usuwa się, gdy tylko zaczynamy go szukać.

*Raj utracony.*

Czy ma to znaczyć, że raj utracony umrze?

Andrea myśli o zapachu ciała Bárðura. O połączeniu ciepła i zapachu. Sięga

ręką za siebie i głaszcząc delikatnie miejsce, na którym w nocy leżała głowa Bárðura. Chłopak siedzi nadal otępiały. Pewnego razu żyła sobie kobieta, która napisała list o Księżycu, pewnego razu była sobie dziewczynka, dumna z tego, że ma starszych braci, pewnego razu był sobie człowiek, któremu można było o wszystkim opowiedzieć i liczyć na to samo. A teraz wszyscy oni nie żyją, poza Księżycem, a i on jest tylko bezkształtną bryłą we wszechświecie, bryłą z martwych skał i meteorytów, rozrzuconych po jej powierzchni.

Czy to możliwe, że u kobiet uczucia znajdują się wyżej niż u mężczyzn i dlatego są bliżej powierzchni skóry? Że kobieta, skoro może dać życie, jest w pewnym sensie wrażliwsza na ból, który daje się zmierzyć tylko łzami, tęsknotą i żalem?

Andrea zdejmuje rękę z miejsca, gdzie leżała głowa Bárðura, i kładzie ją na prawym ramieniu chłopaka. Robi to zupełnie odruchowo. To gest, który pochodzi z wnętrza, współczucie i żal zjednoczone w jednej ręce. Chwilę później chłopak zaczyna płakać. Łzy pojawiają się tam, gdzie słowa zmieniają się z bezrozumne głązy. Leży zwinięty w kłębek, częściowo na łóżku, a częściowo na jej kolanach, które szybko mokną od łez. Łzy łagodzą ból i są dobre, ale jednak niewystarczająco dobre. Nie da się nawlec ich razem i niczym błyszczący sznur zanurzyć w głębinie, żeby wyciągnąć z niej tych, którzy umarli, a mieli żyć.

Chłopakowi nie trzeba wiele czasu, by zebrać to, co ma ze sobą wziąć. Pomaga mu Andrea, zmusza, żeby coś zjadł, pakuje dla niego kawałek solonego suszonego mięsa, ostatni, przeznaczony na niedzielną zupę. Przeżyją bez niego, myśli Andrea i nagle ogarnia ją ogromna wściekłość na tych, którzy teraz na dworze oprawiają ryby. Odczuwa niemal nienawiść, że żyją, cała czwórka. Jej fartuch jest jeszcze ciemniejszy od łez. Plamy pewnie już nigdy nie zejdą, oby nie, myśli. *Raj utracony* zawijają w kilka warstw papieru, chłopak zamierza zabrać go ze sobą. Jeszcze podpłomyk, kiełbasa i garść kostek cukru. Najpierw jednak chłopak otwiera książkę, a na jego twarzy pojawia się wyraz smutku, gdy odnajduje list do Sigriður. Blask gwiazd, bez ciebie, nie może być słodki. Słowa skierowane do niej, która oddycha teraz gdzieś tam za górami i lasami i nie zdaje sobie sprawy, że jej życiowe możliwości znacznie się zmniejszyły, która wzdryga się za każdym razem, gdy widzi kogoś zbliżającego się do wioski, i ma nadzieję, że to listonosz z pocztą dla niej. Słowa, które połączą mostem



przestrzeń między nimi, które złagodzą tęsknotę, ale jednocześnie powiększą ją i uczynią bliższą. Następny list, jaki dostanie, będzie długi, pełen gorących słów od nieżyjącego człowieka. Chłopak podaje list Andrei i mówi, zadbaj, żeby trafił razem z Bárðurem.

Andrea mówi, nieszczęsna dziewczyna, i oboje zgadzają się, bo mróz i poezja zabrały jej to, co najcenniejsze.

Potem chłopak jest już gotowy do drogi.

Oczywiście, że pójdiesz, powiedziała Andrea, bo chłopak nawet nie mógł sobie wyobrazić, by się położyć i zasnąć na łóżku, w którym nie ma Bárðura, usiąść na ławce, na której nie siedzi Bárður. Bárður zniknął, a jedyne, co zostało, to zmarznięte ciało. To byłaby zdrada, nie zniósłbym jej.

Dwa powody, dwa usprawiedliwienia, wszystko ma co najmniej dwie strony.

Spiesz się, bo wiedzą, że Péturowi się to nie spodoba. Mężczyzna nie powinien opuszczać swojego miejsca, tak się nie robi. Zajmę się Péturem, mówi Andrea, a ty ruszaj, tu nie jest twój dom. I chłopak rusza w drogę, tę, w którą wiosną mieli ruszyć razem z Bárðurem, do Plássið, do centrum, do środka świata.

Uważaj nad cholerną rzeką Ófæra, nurt w niej na pewno też jest teraz gwałtowny, mówi Andrea, a chłopak odpowiada: tak, będę uważał. Nie zdradza, że zamierza pójść inną drogą, doliną, która wcina się w grzbiet, a stamtąd w górę przez wrzosowisko i płaskowyż. Chce uciec jak najdalej od oceanu, choćby tylko na jedną czy dwie noce. Droga jest długa i niebezpieczna, przy takiej pogodzie i o tej porze roku, ale co z tego, skoro wszyscy inni już nie żyją. Jakie ma znaczenie, czy ja żyję, myśli chłopak, ale nic nie mówi, obiecuje uważać na nurt rzeki. Andrea nigdy nie puściłaby go, gdyby wiedziała, dokąd się wybiera. A co potem? pyta.

Głaszcz rękoma jego twarz, całuje czoło i powieki. Nie zapomnij o mnie, chłopcze, prosi.

Nigdy, odpowiada chłopak i znika w śnieżycy.

## VI

Ci, którzy mieszkają w tej dolinie, widzą tylko fragment świata. Ich horyzont to góry i marzenia.

Chłopak zna dobrze tę dolinę i wie, że jeśli się jej trzymać i znaleźć właściwą drogę między pełnymi wąwozów górami i przejść przez dwie hale, trafi się do doliny, którą Bárður nazywał swoją, a jedną z wiosek w niej swoim domem. Chłopak nie zmierza w stronę domu, bo jak iść do miejsca, którego nie ma, nawet w głowie? Mimo że większość życia budził się tu i zasypiał, nie nazywa doliny swoją i żadnej wioski swoim domem. Niektórzy muszą żyć bardzo długo, żeby dorobić się miejsca, które uwolni z lochów języka to wielkie słowo, „dom”. Jeszcze więcej umiera, zanim takie miejsce odkryje. Chłopak nie zamierza już nigdy wrócić do okolicy, która kryje większość jego dzieciństwa, marzeń, które nigdy się nie spełniły, i tęsknoty za życiem, którego nie dane mu było przeżyć. Okolica kryje ludzi, u których mieszkał od czasu, gdy jego ojciec utonął i znalazł swój mroczny dom w oceanie, ludzi, wśród których dorastał, zasypiał i budził się, właściwie dobrych ludzi. Mimo to jednak nigdy nie pozbył się wrażenia, że wioska i dolina były dla niego tylko sypialnią. Gdzieś przecież trzeba się położyć, odetchnąć, podczas gdy ciało rośnie, a umysł dorasta na tyle, by móc samodzielnie poradzić sobie z otaczającym światem. To jest poza tym bardzo ładna okolica, porośnięta wyjątkowo gęsto trawą, rozległa, z niektórych zagród jest spory kawałek do oceanu, a z niektórych podwórz w ogóle go nie widać, co tu jest dość niezwykle. Bo jak żyć bez oceanu przed oczami? Ocean to źródło życia, ale tkwi w nim też dźwięk śmierci i chłopak kieruje się jak najdalej od niego, nawet jeśli tylko na jedną czy dwie noce. Byleby dojść tak daleko, żeby nie czuć oceanu.

Maszeruje w stronę doliny, a Bárður nie żyje.

Czytał wiersze i dlatego zamarzył na śmierć.

Niektóre wiersze zabierają nas tam, gdzie nie sięgają żadne słowa, żadne myśli, zabierają nas do samego sedna. Życie zatrzymuje się na chwilę i robi piękne, wolne od tęsknoty i szczęścia. Niektóre wiersze zmieniają dzień, noc, twoje życie. Niektóre sprawiają, że zapominasz, zapominasz o smutku, braku

nadziei, zapominasz o pelerynie, dopada cię mróz, mówi pstryk i nie żyjesz. Ci, którzy umierają, zamieniają się natychmiast w przeszłość. Nie ma znaczenia, jak ważnym się było człowiekiem, ile miało się w sobie dobroci i siły woli i jak niewyobrażalne staje się życie bez niego: śmierć mówi pstryk, życie ginie w ułamku sekundy, a człowiek zamienia się w przeszłość. Wszystko, co było z człowiekiem związane, staje się wspomnieniem, które z całych sił starasz się utrzymać, bo zapomnieć byłoby zdradą. Zdradą byłoby zapomnieć, jak pił kawę. Jak się śmiał. Jak spoglądał na ciebie. A mimo to zapominasz. Życie tego wymaga. Zapominasz krok po kroku i bywa to tak bolesne, że rozdziera ci serce.

Wędrówka przez śnieg wymaga wielkiego wysiłku.

Chłopak idzie wprost przed siebie.

Idzie, idzie, idzie, śnieżycą jest gęsta i wiruje, widoczność zaledwie na kilka metrów. Zatrzymuje się raz, żeby coś zjeść, a potem rusza dalej. Nadchodzi zmierzch, chłopak widzi i czuje, jak światło dnia gaśnie wśród płatków śniegu, jak ciemnieje wiatr. Jedyłą rozsądną rzeczą byłoby podejść teraz do jakiejś zagrody i poprosić o nocleg, ale on maszeruje dalej, nierozsądnie, nie interesuje go też to, czy przeżyje noc, czy nie. A jednak. Ma w plecaku tę książkę, *Raj utracony*, a książki trzeba oddawać. Pewnie właśnie dlatego Andrea kazała mu ją wziąć, wie o jego dziwnej miłości do książek. Chłopakowi robi się nagle ciepło wewnątrz, gdy myśli o Andrei, ale to ciepło szybko się schładza, bo Bárður zamarł na śmierć, i to tuż obok niego. Potem robi się ciemniej. Przez wieczór, śnieżycę i zamieć.

Widoczność nie zmniejsza się oczywiście znacząco wraz z nadejściem wieczoru. Ale ciemność to jednak zawsze ciemność, a wieczór to wieczór. A wieczór przechodzi w noc, która kładzie się na oczach, przesiana z nieba, przenika nerwy oczu. Noc przenika stopniowo wędrującego chłopaka. Najchętniej położyłby się teraz, tu gdzie jest, zrzucił z siebie ciężar, z otwartymi oczami położył na plecach, świat czarny z wyjątkiem najbliższych płatków śniegu. Są białe, przypominają skrzydła aniołów. Zasypałby go śnieg, umarłby wśród bieli. To bardzo kuszące, mówi chłopak do siebie, cicho lub głośno, już dawno przestał widzieć różnicę między jednym a drugim. Ten, kto wędruje długo i samotnie pośród śnieżycy, nabiera stopniowo przeświadczenia, że opuszcza świat, że wędruje po ziemi niczyjej, traci poczucie odpowiedzialności za życie. A potem wszystko znika. Brzmi to może nieprawdopodobnie, ale prędzej czy

później wszystko to mija, a on stoi nagle przed jakąś zagrodą, burza i noc zerwały wszelkie więzi między ludźmi. Bardzo kuszące, mówi chłopak do siebie, skończyć tę męczącą wędrówkę, położyć się, zasnąć, tak, a potem umrzeć. Dobrze jest umrzeć, koniec kłopotów, żal pokonany, tęsknota też. Niewiele dzieli życie od śmierci, właściwie tylko jedna szmata, jedna peleryna.

Najpierw życie, potem śmierć:

Życie, o życiu, od życia, do śmierci.

Ale jeśli tu umrę, to zniszczy się książka, którą muszę oddać, a wtedy rozczaruję starego kapitana, który w końcu nic mnie nie obchodzi, Andreę i Bárðura. Bárður oczywiście nie żyje, ale jego obecność nie umarła, nigdy nie była tak silna. Tak, najpierw oddam książkę, a potem pójdę na jakieś pustkowie, gdzie zasypie mnie śnieg, myśli chłopak i wie, że musi starannie wybrać to miejsce. Łatwo pozwolić, by śnieg cię zasypał, łatwo umrzeć, ale nie zapominajmy, że noc i śnieżycy mylą. Chłopak wyobraża sobie, jak kładzie się z dala od wszystkich zagród, na pustkowi, a naprawdę u podnóża góry, tuż nad jakąś zagrodą, po kilku dniach albo tygodniach śnieg stopnieje, odsłoni jego martwe ciało, a mała dziewczynka albo mały chłopiec znajdą go, nadgryzionego przez sztorm i robaki, oczy wydłubane przez kruka. Mogliby nie przeżyć tego widoku. Umrzeć to wielka odpowiedzialność. Do diaska, lepiej ruszać, myśli chłopak albo mówi do siebie zawiedziony i wędruje dalej, przedziera się przez śnieg, sprawdza nogami, czy ziemia wznosi się, czy opada, kieruje się w dół, i w ten sposób udaje mu się utrzymać mniej lub bardziej w środku doliny. Ale noc gęstnieje, coraz trudniej przedzierać się przez śnieg. W końcu nie wie już, czy się wspina, czy schodzi, ale idzie nadal na południe, czuje to po wietrze, który bez przerwy wieje mu w plecy. Gdzieś będzie musiał skrócić na wschód, by dojść do wrzosowiska, a stamtąd na płaskowyż. To jest takie trudne. Nogi jęczą ze zmęczenia, najlepiej byłoby teraz odpocząć. Chłopak maca drogę przed sobą, szuka skały albo większych kamieni, na tyle dużych, by osłoniły go przed północnym wiatrem, który jest tak lodowaty, że bez trudu zamieniłby go w kostkę lodu. Znajduje miejsce osłonięte przed wiatrem i zaczyna ubijać śnieg dookoła, aż udaje mu się zbudować coś w rodzaju ściany i prowizorycznego dachu. Oczywiście jest to bardziej jaskinia śnieżna niż dom, ale mimo to jest teraz osłonięty przed wiatrem i śnieżycą, a poza tym jest już zmordowany. Ogarnia go wielkie zmęczenie. Wypełnia każdą komórkę, każdą myśl. W końcu

minęły już dwadzieścia cztery godziny, odkąd otworzył oczy, obudził się na głos Pétura, w świecie, w którym Bárður jeszcze żył. Ile lat już właściwie od tego czasu minęło, myśli, a wiatr wieje dookoła. Twarz chłopaka jest bez czucia z powodu mrozu, skorupa lodu na jego grubym swetrze zaczyna topnieć i chłopak robi się mokry, także na twarzy. Trudno powiedzieć, czy płacze we śnie, czy na jawie, nawet w snach nie zawsze można znaleźć schronienie, czasami nic. Ale uważaj, chłopcze, aby nie spać zbyt długo i głęboko, bo ten, kto przy tak okropnej pogodzie zasypia w jaskini śnieżnej, nie zawsze budzi się z powrotem do życia. A gdy nadejdzie wiosna, mała dziewczynka będzie chciała zerwać kwiatki ponad swoją zagrodą i znajdzie ciebie. A ty nie jesteś kwiatkiem, tylko gnijącym truchłem i źródłem koszmarów.

# Piekło to nie wiedzieć, czy jest się żywym, czy martwym

*Piekło to nie wiedzieć, czy jest się żywym, czy martwym.*

*Życie, o życiu, od życia, do śmierci.*

*Ta straszna odmiana uderza nas jak maczuga, bo opowieść o chłopaku, oceanie i chatach sprawiła, że prawie zapomnieliśmy o własnej śmierci. Już nie żyjemy: pomiędzy tobą a nami jest coś nienazwanego. Obszar, którego nie przebędzie nikt, nie tracąc przy tym życia, a nie ma przecież większej straty. A mimo to, jak wiesz, jest wiele historii o tym, jak zmarli pokonują niezmiernie przestrzenie i pojawiają się wśród żywych, ale nigdy nie przynoszą, żadnego posłania, żadnych nowin o wieczności. Dlaczego tak jest?*

*Umrzeć to zrobić śnieżnobiały ruch, napisał ktoś w wierszu.*

*Przyznajmy, że baliśmy się śmierci do ostatnich chwil życia i walczyliśmy z nią tak długo, jak mogliśmy, aż pojawiło się coś, co zgasiło wszystkie światła. Ale strach mieszał się z ciekawością i niepewnym, lęklwym pytaniem, bo oto na wszystkie pytania mamy dostać odpowiedź. Później umarliśmy i nic się nie stało. Oczy zamknęły się i otworzyły dokładnie w tym samym miejscu, widzieliśmy wszystko, ale nikt nie widział nas. Byliśmy w ciele, ale jednocześnie bez ciała, mieliśmy głos, ale byliśmy bezgłośni. Mijały tygodnie, miesiące, lata, a ci, którzy nadal żyli, oddalali się od nas, a w końcu też umarli. Nie wiemy jednak, dokąd poszli. Dziesięć lat, dwadzieścia lat, trzydzieści lat, czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, jak długo jeszcze mamy liczyć, jak daleko można dojść? Oto jesteśmy, na ziemi, nie pod nią, niespokojni, przestraszeni i zgorzkniali, nasze kości spoczywają spokojnie w ziemi, a nad nimi krzyż z naszym imieniem. Bezczyność staje się absolutna, wszechobecna i pewnie już dawno postradalibyśmy rozum, gdybyśmy tylko mogli. Jedyne, co możemy zrobić, poza obserwowaniem siebie i innych, którzy żyją, to ciągle stawiać pytanie: Dlaczego tu jesteśmy? I gdzie poszli inni? Co jest w stanie złagodzić ten piekący żar? Gdzie jest Bóg? Pytamy i pytamy, ale wydaje się, że*

odpowiedzi nie istnieją. Chyba tylko duchowni, politycy i ludzie reklamy mają jakieś gotowe.

Czasem jest tu tak cicho, że jedyne, co słyszeć, to bicie naszych serc, co jest tym smutniejsze, że umieramy, zamykamy oczy i zostawiamy wszystko, co było dla nas ważne, a potem otwieramy oczy, a serce nadal bije, jedyny organ w naszym ciele, świadom swego zadania. Czy sensem jest błękit, do którego nigdy nie docieramy? Włączymy się tutaj, a między nami i wami, którzy żyjecie, jest coś niewidzialnego. Przechodzimy przez ściany, zarówno betonowe, jak i te stare, drewniane, siedzimy beczynnym w waszym salonie i gapimy się z wami w telewizję, zaglądamy wam przez ramię, gdy czytacie gazetę albo książkę. Siedzimy całymi nocami na cmentarzu, oparci o nagrobek, nogi, podciągnięte pod piersi, obejmujemy rękami, tak jak Bárður, gdy mróz dotarł do jego serca. Czasem dobiega nas przez ciszę nocy jakiś słaby dźwięk, prosty, urywany dźwięk, dochodzący jakby z wielkiej odległości. To Bóg, mówimy wtedy z nadzieją, to dźwięk, który słyszeć, gdy nadchodzi Bóg i odwiedza tych, którzy modlili się wystarczająco długo i nigdy nie zwątpili. Tak mówimy i jesteśmy ufni, choć nie do końca. A może to nie Bóg? Może w ziemi leży ktoś, kto ma ze sobą pozytywkę i nakręca ją, gdy mu się nudzi?

Piekło to być martwym i zorientować się, że nie żyło się pełnią życia, gdy była ku temu okazja. Człowiek to dziwne stworzenie, żywy czy martwy. Gdy wpada w poważne kłopoty, tak że jego egzystencja rozpada się na kawałki, to zaczyna mimowolnie rozgrzebywać własne życie, szpera we wspomnieniach niczym małe zwierzątko, które szuka schronienia w swojej norze. Tak też jest z nami. Obserwacja twojego życia łagodzi trochę nasze położenie, jest to dla nas jakaś odmiana, która jednak nabiera gorzkiego posmaku, gdy widzimy, jak źle obchodzisz się z życiem, robisz coś, co będzie dręczyć cię przez całą wieczność. Przede wszystkim jednak zagłębiamy się w naszych własnych wspomnieniach, to one są liną, która łączy nas z życiem. Wspomnienia o czasach, gdy prawdziwie żyliśmy, gdy na nasze życie padał śnieg i deszcz, były chwile gorące od słońca, były ciemne noce.

Ale po co opowiadać ci te historie?

Jaka inna siła niż zwątpienie pcha nas przez nienazwane po to, by opowiedzieć ci historie o życiu, które zgasło?

Nasze słowa to zagubieni ratownicy z nieprzydatnymi mapami i śpiewem ptaków zamiast kompasów. Wątpiący i zagubieni, ale mimo to muszą ratować

*świat, ratować życie, które zgasło, ratować ciebie i miejmy nadzieję, że nas też.  
Ale zostawmy w spokoju nasze spekulacje i trudne pytania, bo oto powinniśmy  
wrócić w noc i burzę, odszukać chłopaka i na czas uratować go przed snem  
i śmiercią.*



# Chłopak, Plássið i nieświęta trójca

Chłopak nie zasnął w śnieżnej kryjówce. Mimo to sen zaoferował mu, że weźmie go w swoje puchowe objęcia, złagodzi zmęczenie, które było tak wielkie, że powieki wydawały się przynajmniej o pół kilograma cięższe. Sen był ofertą, której nie mógł odrzucić, a jednak wyrwał się z jego objęć, próbował nie spać, myśląc o Bárðurze, bo żał już niejednemu odebrał sen. Myślał też o Andrei, która pozwoliła mu wyjść w taką śnieżycę. Jeśli tu zaśnie, ulegnie obezwładniającemu głosowi snu, to już się nie obudzi, a w każdym razie nie w tym życiu.

Poczucie obowiązku trzymało sen i śmierć z dala od chłopaka. Musi oddać książkę, nie wolno mu zawieść Andrei i Bárðura, wspomnienia o nim. Nie wolno mu zawieść matki i siostry, która nie zdążyła dorosnąć i zmarła, a jego dziecięce uwielbienie dla starszego brata wyblakło gdzieś za górami. Jeśli tu zaśnie, to zawiedzie ich wszystkich, i właśnie dlatego wyrwał się z kryjówki.

Wstał szybko. Znalazł się w gęstej śnieżycy, nocy i zmarzniętym świecie.

Zrobił głęboki wdech i ruszył z miejsca.

Opuszcza dolinę. Wchodzi na wrzosowisko i wyżynę, pozbawioną roślin i niemal płaską. Lodowiec spłaszczył góry przed tysiącami lat. Chłopak czuje wiatr polarny na plecach, a noc dookoła siebie. Noc jest w śnieżycy, wewnątrz białych płatków. Chłopak jeszcze nigdy nie był tak wysoko, tak blisko nieba, a jednocześnie tak daleko od niego. Wędruje dalej, porzucony przez wszystkich poza Bogiem, a Boga nie ma. Jest bardzo zimno. Głowa zmarznięta, a mózg zmienił się w wielkie zamrożone bagno, pokrytą lodem i zmrożoną ziemię, jak okiem sięgnąć. Na wierzchu całkiem martwa, a pod spodem tli się jeszcze słaby żar, wspomnienia, twarze, zdania, blask gwiazd, bez ciebie, nie może być słodki. Ten żar może pewnie stopić mróz, wezwać ptaki, obudzić zapach kwiatów. Ale tu na górze nic nie pachnie, tu jest tylko mróz i noc. Chłopak idzie dalej, czas płynie, jest już ranek. I ranek też mija. Nie towarzyszy mu teraz żadna myśl, nogi idą dalej jak maszyna, i to dobrze, ale mimo to musi uważać, bo wszystko się kiedyś kończy, nawet wyżyny. Czasami kończą się bardzo szybko, po prostu nagle przestają istnieć, a ich miejsce zajmuje przepaść, od której kręci się

w głowie.

Właściwie to dziwne, że nie spadł z jakiegoś urwiska prosto w ramiona śmierci. Taki bezmyślny, otępiały od mrozu i zmęczenia, przybity żalem. A może stwierdził lekki ruch wokół siebie, niektórzy potrafią wyczuć, gdzie kończy się ziemia, a zaczyna powietrze. Waha się, idzie ostrożnie, maca rękami drogę przed sobą. Trwa to długo, ale znajduje w końcu zejście. Najwyraźniej nie najlepsze, bo rozwała sobie kolano o skałę, upada, kaleczy się, ale żyje, a rzadko można osiągnąć coś więcej. Dochodzi do doliny Tungudalur. Tam jeździmy latem, gdy słońce rozgrzewa niebo, trawa jest zielona i można spotkać coś takiego jak kwiaty. Jeździmy nawet w dużych grupach, zabieramy ze sobą prowiant, uśmiech i szczęście. Nazywamy to wyprawą do lasu, bo w Tungudalur znaleźć można pokaźną liczbę drzew, skupisko pokrzywionych brzoź. Najgrubsze ich gałęzie uniosą z łatwością ptaka, ale nie ludzi, rzecz jasna. Chłopak opiera się na chwilę o jedno z drzew, wyżyna jest już za nim, tak jak i dzień i noc, sen i śmierć. Potem schodzi w dolinę i zmierza ku nam, ku Plássið. Jest pierwszy dzień kwietnia.

Istnieją różne słowa.

Niektóre są jasne, inne ciemne, kwiecień to na przykład jasne słowo. Dni robią się dłuższe, ich blask przecina ciemność niczym miecz. Budzimy się pewnego ranka i widzimy, że wróciły siewki złote, słońce podeszło bliżej, spod śniegu wyłania się i zielenieje trawa, a łodzie zostają spuszczone na wodę, po tym jak przez całą długą zimę były zacumowane do nabrzeża i marzyły o oceanie. Słowo kwiecień składa się z blasku, śpiewu ptaków i radosnego oczekiwania. Kwiecień ze wszystkich miesięcy daje najwięcej nadziei.

Niech Bóg jednak będzie z nami. Jak daleko jeszcze do zieleni od miejsca, w którym chłopak schodzi do Tungudalur. Zjadł już dawno cały prowiant, w głowie ma rozległe, skute lodem bagnisko, a członki zeszywniałe. Na plecach dźwiga ciężar, książkę, która zabiła jego najlepszego, nie, jedyne przyjaciela. Tak niedawno opuścili razem Plássið, ramię w ramię. Chłopak wzdycha, mimo że ledwie starcza mu siły. Jest już popołudnie, śnieg przestał lecieć z nieba. Tam, gdzie się da, chłopak trzyma się brzegu, poza tym jednak idzie głównie wśród niewysokich krzaków, które rozciągają się dobrych kilka metrów między górą a brzegiem. Zatrzymuje się nad małą rzeczką i przygląda żelaznej rurze, którą Friðrik, sprzedawca w sklepie Tryggviego, największym sklepie w Plássið, tu umieścił. Długa rura i solidna izbica, zakopana do połowy w ziemi na

przeciwległym końcu. Woda, która przez nią przepływa, jest zawsze czysta i nigdy nie zamarza. Ludzie Friðrika pływają codziennie do małego fiordu po wodę dla sklepu i statków, gdy te znowu mają wypłynąć. Tu w Plássið nie brakuje oczywiście studni, ale woda z nich nie jest szczególnie dobra, mieszanka oceanu i ścieków. Niektórym wydaje się zabawne wrzucać do niej śmieci, a nawet sikać do studni. Zachowują się tak dziwnie, jakby diabeł ugryzł ich w tyłek. Chłopak łapczywie pije lodowatą wodę. Patrzy ponad fiordem i widzi stare duńskie budynki, najstarsze w Plássið, z pierwszej połowy osiemnastego wieku. Dwa składy, używane jako spichlerze, oraz magazyny sklepu Tryggviego, a także dom, który ostatnio jest mieszkaniem głównego buchaltera sklepu. W domu tym straszy, a buchalter i jego żona to jedyni ludzie, którzy wytrzymali tam dłużej niż rok. Niektórzy powiadają, że dzieje się tak tylko dlatego, że małżonkowie nie mają dość wyobraźni, by wyczuć obecność duchów. Chłopak mruży oczy, by lepiej dostrzec budynki. Są ciemne, pewnie z powodu wiszącego w powietrzu pyłu, bo mimo że jest jeszcze jasno, to ledwie można rozróżnić szczegóły. Potem chłopak rusza dalej. Woda dobrze mu zrobiła, przywróciła siły, by ruszać nogami. Dobrze też, że nie musi przedzierać się przez śnieg, brzeg jest pusty i dość łatwy do marszu, nie tak skalisty jak wokół jego chaty. Ale oto nagle uświadamia sobie, że nie minęło więcej niż dwa dni, odkąd siedzieli razem na łóżku, czytali i czekali na Árniego. Dotyka to chłopaka tak bardzo, że siada pomiędzy wielkimi kamieniami i patrzy niewidzącym wzrokiem przed siebie, podczas gdy popołudnie dookoła niego zamienia się powoli w wieczór.

Po co iść dalej?

Co on tu robi?

Czy nie powinien być nadal w chacie, czuwać przy zwłokach i zadbać, by znalazły się w domu? Po co są przyjaciele i czy przyjaźń nie powinna sięgać dalej niż po grób i śmierć? Pojękuje, bo zawiódł wszystkich. Siedzi długo, a śnieg zaczyna znowu padać. Czy nad doliną też pada, tam gdzie wielu myśli o Bárðurze, a może świeci tam Księżyc, wędruje wśród chmur, a ukochana Bárðura wychodzi i go obserwuje? Zawsze o ósmej Bárður wychodził z chaty, by patrzeć na Księżyc, a w tym czasie ona także stała przed swoją chatą i patrzyła. Dzielili ich góry i odległość, a mimo to ich oczy się spotykały, tak właśnie jak oczy kochanków od początku świata. Dlatego Księżyc został umieszczony na niebie.

Chłopak rusza dalej. Idzie wzdłuż brzegu, aż dociera do kościoła. Tam skręca i znowu musi przedzierać się przez śnieg. Na chwilę opiera się o mur i ogląda padający śnieg, który okrywa to miejsce. Może zajrzeć do budynków obok kościoła, w niektórych oknach widać światło, wielu poszło już oczywiście spać, ale nie śpią tak głęboko jak ci, których ma za sobą. Między kościołem a ulicą widać jeszcze ślady wielebnego Þorvaldura. Chłopak idzie jego tropem, nie ułatwia mu to za bardzo wędrówki, ale jednak trochę tak. Nawet ulica, przy której stoi gospoda, tonie w śniegu, ślady Þorvaldura stają się tu coraz mniej wyraźne i giną. Chłopak stoi na środku ulicy, śnieg pada na niego, lewa noga waży sto kilogramów, a prawa trzysta. Śniegu między nim a gospodą jest za dużo. Mógłby tu stać do samego rana i czekać w nadziei, że Lúlli i Oddur tu przyjdą, gdy odgarną śnieg łopatami. Ale nie robi tego, nie wie nawet, że Lúlli i Oddur istnieją, a już na pewno, że pracują zimą przy odśnieżaniu ulic Plássið, szczęśliwi, że od września do maja mają stałą pracę. Pieprzone psy, dlaczego szczęście trzyma się tylko niektórych, a innych nie? Przy ulicy stoi osiem domów, wszystkie ogromne. Chłopak przedziera się przez śnieg i zbliża do domów i do gospody Geirþrúður. Życie, które znał do tej pory, minęło, przed nim wyłącznie nieznanne, pewne jest jedynie to, że musi oddać książkę i ogłosić śmierć Bárðura. Ogłosić, że to, co miało największe znaczenie, przepadło i już nigdy nie wróci. Po co dalej żyć, po co, mruczy do płatków śniegu, które nie odpowiadają, są tylko białe i spadają w milczeniu na ziemię. Teraz wejdę i oddam książkę, dziękuję za pożyczenie, to wielka poezja, blask gwiazd, bez ciebie, nie może być słodki, zabiła mojego najlepszego przyjaciela, jedyne dobro w moim pieprzonym życiu, ale dziękuję za pożyczenie. Potem się pożegna, albo nie, zostawi ją, odwróci się na pięcie i wyjdzie, pójdzie do hotelu Koniec Świata, wynajmie tam izbę w suterenie, zapłaci za nią później albo, jeszcze lepiej, nigdy, bo rankiem, albo najbliższego wieczoru, zabije się. Widzi to nagle przed sobą, znajduje rozwiązanie, tak po prostu. Zabije się i pozbędzie wszystkiego, co nieznanne. Dobrze byłoby podziękować Bogu, ale mimo to nie potrafi. Bárður opowiedział mu o Skale Samobójców. Tam pójdzie. Skoczyć stamtąd to dziecinnie łatwe, a ocean zadba o resztę, już on potrafi topić ludzi, ma w tym wprawę. Chłopak poszedłby od razu, gdyby nie był tak cholernie zmęczony i głodny jak wilk. Poza tym musi oddać książkę. Przemierza ostatnie metry w śniegu, powoli, z trudem.

W Plássið nie widać żywej duszy, poza chłopakiem, który jest zbyt zmęczony i zbyt głodny, żeby umrzeć.

## II

Ile lat zmieści się w jednym dniu, ile dób? Drzwi do gospody Geirþrúður nie otwiera dwudziestoletni chłopak, ale dojrzały mężczyzna, który przez te same drzwi dwa dni temu pierwszy raz przechodził ze swoim przyjacielem Bárðurem. Chłopak tęskni za nim tak bardzo, że musi dłuższą chwilę opierać głowę o ścianę w sieni, jakkolwiek nazwalibyśmy to małe pomieszczenie, w którym listonosz Jens chowa skrzynkę i torby z listami, do czasu, aż odbierze je lekarz Sigurður albo kogoś po nie przyśle. W tym czasie Jens utopi troski swego życia w piwie. Chłopak długo patrzy szeroko otwartymi oczami na ścianę i ustawione pod nią kilka par butów ze skóry łupacza. Tutaj goście muszą zdjąć swoje ubłocone gumowce i włożyć zamiast nich buty z rybiej skóry. Niektórym wydaje się to zbędną fatygą, sprzeciwiają się jej z uporem, ale w końcu ustępują, jeśli chcą zostać obsłużeni. A kto w nadziei na piwo nie zdejmie butów?

Niczego nie zdejmę, mówi chłopak cicho do siebie, ale żeby naprawdę wejść do środka, musi otworzyć jeszcze jedne drzwi. Pilnują one, by razem z gośćmi do środka nie dostawało się zimno. Życie to walka, by trzymać zimno jak najdalej. Trzydzieści lat, mruczy chłopak, trzydzieści lat minęło, odkąd byłem tu z Bárðurem. Spogląda na drzwi, tak właśnie wyglądają, a tak klamka, myśli, i wszystko staje się coraz bardziej niewyraźne. W kącikach oczu pojawiają się łzy i rozmazują widok. Chłopak nie płacze długo, to tylko kilka łez, kilka malutkich łódeczek, które spływają po policzkach wyładowane żalem.

Chłopak robi głęboki wdech, otwiera drzwi i wzdryga się na dźwięk wiszącego nad nimi dzwonka.

W najdalszym kącie dostrzega od razu trzech mężczyzn, oczywiście, że ich widzi, skoro nie ma tu nikogo innego, tylko oni i osiem czy dziesięć pustych stolików. Mężczyźni podnoszą wzrok, patrzą na niego, i wtedy następuje coś nieznośnego, coś, za co chłopak sam sobą pogardza: nieśmiałość wymazuje z niego żal i boleść, pozbawia go zdolności myślenia, a chłopak zamienia się w żywą niepewność, nie ma pojęcia, co robić. Przychodzi mu jedynie do głowy, by usiąść, co też robi. Siada przy stole najdalej, jak to możliwe, od mężczyzn, odwraca się i siada do nich plecami, cały biały od śniegu. Wewnątrz panuje

półmrok, na ścianach palą się dwie lampy naftowe, jedna świeca na stole trójki mężczyzn, a pośrodku sali wisi ciężki żyrandol. Za poprzedniej bytności wpatrywał się w niego, lecz teraz patrzy tylko bezmyślnie przed siebie, a po chwili śnieg zaczyna na nim topnieć. Chłopak wygląda przez okno, tak jakby wędrował półtora dnia w burzy i ciemnościach tylko po to, żeby usiąść i patrzeć przez okno. Mógłby mieć zajęcie na następną godzinę, bo w gospodzie jest sześć okien ciemnych od świateł wewnątrz. To ciemne lustro. Tego wieczoru widzi tylko niewielką część świata, lepiej widzi półgłówek, który siedzi tu samotnie przy stole, a śnieg topnieje na nim. Jestem nikim, więc roztopię się razem ze śniegiem, zamienię w kałużę, która wyschnie i stanie się ciemną plamą, a w końcu zniknie. Niechętnie patrzy na własne odbicie w oknie, karze się tym widokiem, ale w końcu spuszcza wzrok na blat stołu. A więc tak wygląda blat, długo można mu się tak przyglądać. Kątem oka widzi też jednak trzech mężczyzn, rozpoznaje Kolbeina i jego ślepe oczy. Ponury jak łupacz, mawiał o nim szydyczko Bárður, który przy tym bardzo go lubił. Chłopakowi wydaje się zupełnie nieprawdopodobne, by mógł polubić Kolbeina. Po pierwsze, to kąśliwy kundel, po drugie, pieprzona bestia, a po trzecie, jutro już nie będę żył. Ale on ma dużo książek, poważnych książek, nie tylko rymowanek, psalmów i tym podobnego śmiecia, ale także powieści i książki naukowe. Po co złemu człowiekowi tyle książek, książki powinny naprawiać ludzi, myśli chłopak.

Jest jeszcze taki młody.

Mężczyźni rozmawiają ze sobą, pewnie naśmiewają się z niego, ale chłopak nie rozróżnia niestety zbyt wiele z tego, co mówią. Docierają do niego właściwie tylko niezrozumiałe dźwięki. Początkowo nasłuchuje ze zdziwieniem, ale po chwili staje się dla niego jasne, że to musi być mowa dorszy. Dziwne, że wcześniej jej nie słyszał. Podnosi lekko głowę i zerka na bok, ale nie musi już wywracać oczami, tak jakby ktoś go dusił. Dwóch pozostałych nigdy wcześniej nie widział. Obaj są wysocy, wyglądają na rybaków z jakiegoś dużego statku, myśli, bo inaczej byliby przy chatach rybackich. Mam nadzieję, że jeszcze tej nocy porwie ich diabeł i wetknie im w dupy rozżarzone żelazo. Jak przyjemnie tak myśleć, jak przyjemnie być złym. Nie trzeba wtedy być nieśmiałym, nie jest się już mięczakiem, który topnieje razem ze śniegiem. Oto siedzi i patrzy przed siebie, obojętny na wszystko i wszystkich. Czy ten dialekt naprawdę nazywa się mową dorszy? Zauważa, że śnieg bardzo szybko się roztopił i utworzył na podłodze wielką kałużę. Do diabła. Trzeba go było strzepać przed wejściem.



A niech to. Ta Helga nie lubi, jak się wnosi do środka brud i wilgoć. Nie chciałbym mieć z nią do czynienia, mawiał Bárður, a niech mnie, jeśli nie zdarza mi się czasem trząść przed nią portkami.

Skoro nawet Bárður trzął przed nią portkami, to ja na pewno narobię w nie ze strachu, myśli chłopak na swoim mokrym krześle.

Mężczyźni śmieją się po dorszowemu, z całą pewnością z niego. Rybakom mowa dorszy musi się bardzo przydawać. Wystarczy wetknąć głowę do oceanu, zawołać coś, a łodzie same się zapełnią. Jak po dorszowemu jest „śmierć”? Oczywiście, że *omaúnu*, i to wielką literą: *Omaúnu*. Oczy bardzo się męczą od tego zerkania w bok. Ci dwaj to pewnie starzy kompani Kolbeina ze statku, tak jak on zaczynający się starzeć. Jeden z nich jest szeroki w barach, łysy, ale za to z krzaczastymi brwiami. Drugi ma krótkie siwe włosy i uderzająco wielki nochal jak kartofel, który akurat wypełniłby dłoń dorosłego mężczyzny. Obaj mają długie, gęste brody, przez które wydają się jeszcze więksi, niż są w rzeczywistości. Też powinienem zapuścić brodę, myśli chłopak, ale zajęłoby pewnie z miesiąc, żeby zarost przykrył mi policzki. Przypomina sobie jednak, że postanowił jutro umrzeć, więc porzuca pomysł zapuszczenia brody. Nagle się podnosi. Robi to niemal bezwiednie. Stoi bezradnie między stolikami.

Mężczyźni przerywają rozmowę i, z wyjątkiem Kolbeina, ślepcy, który wysuwa szczękę i nadstawia lewe ucho niczym zdeformowane oko, patrzą na niego. Na stoliku stoją butelki carlsberga, jedna z nich prawie pełna. Chłopak robi trzy kroki, schyla się po butelkę, wlewa w siebie piwo i zauważa Helgę, która stoi przy barze i wpatruje się w niego. Ile zainteresowania nagle budzi. Chłopak odwraca się na pięcie, podchodzi do swojej torby, wyjmuje z niej książkę, odwija ją i podnosi nad głowę. Trzyma ją niczym obwieszczenie albo znak i mówi do Kolbeina: Bárður prosił mnie, żebym podziękował za pożyczenie książki.

Stary łupacz nie wykazuje zainteresowania. Podobnie jak trzej pozostali. Patrzą tylko i zdają się czekać na coś z jego strony.

Ale nad głową chłopaka rozciąga się jakaś pieprzona zasłona, która sprawia, że nie jest pewien, co myśli i co mówi. Być może nic przed chwilą nie powiedział, trzymał tylko książkę nad sobą i nic nie mówił. Chrząka głośno, bierze głęboki oddech i z całych sił wyrzuca z siebie wiadomość:

**BÁRÐUR PROSIŁ MNIE, ŻEBYM PODZIĘKOWAŁ ZA POŻYCZENIE KSIĄŻKI.**

CHĘTNIE POCZYTAŁBY JĄ JESZCZE DŁUŻEJ I NAUCZYŁ SIĘ DALSZYCH WERSÓW NA PAMIĘĆ, ALE NIESTETY NIE MOŻE, BO ZAPOMNIAŁ SWOJEJ PELERYNY I ZAMARZŁ NA ŚMIERĆ. POŁOŻYLIŚMY GO NA STOLE. LEŻAŁ NA NIM, GDY WIDZIAŁEM GO OSTATNI RAZ.

DZIĘKUJĘ ZA UWAGĘ.

Kończy nagle swoją przemowę, ostrożnie kładzie książkę na najbliższym stoliku obok mężczyzn, schyla się po rękawiczki i wkłada je. Za co właściwie dziękowałem, myśli, zawsze wychodzę na głupka. Zarzuca jakoś torbę i podchodzi do drzwi, ale ani kroku dalej, bo coś ciężkiego kładzie mu się na lewym ramieniu, ręka albo niebo. Załamuje się, nogi odmawiają posłuszeństwa, ot tak, po prostu, nie stoi już na nogach, tylko przewraca się na ziemię i leży na niej jak tobołek. Nadchodzi nieświadomość i go zabiera.

### III

W Plássið jest około ośmiuset dusz.

Wiele może się zmieścić w ośmiuset duszach.

Wiele światów, wiele marzeń. Gmatwanina zdarzeń, bohaterstwa i tchórzostwa, oszustwa i zaufania, dobrych i złych chwil.

Wielu żyje w taki sposób, by ich zauważyć, a ich istnienie coś zmienia, inni zaś trzymają się życia przez wiele lat, czasem nawet osiemdziesiąt, ale niczego nie zmieniają, czas przenika przez nich, potem umierają, zostają pogrzebani, zapomniani. Żyją osiemdziesiąt lat, a mimo to nie żyją, można to nazwać oszustwem wobec życia, bo przecież nie brakuje też takich, którzy rodzą się i umierają, zanim jeszcze zdążą powiedzieć pierwsze słowo, zanim dostaną kolki albo ciężkiego kataru, a wtedy stolarz Jón musi zbić małą trumienkę, małą skrzyneczkę, do której trafi życie, co z wyjątkiem kilku nieprzespanych nocy nigdy się życiem nie stało. Oczka, którym nie można się oprzeć, łezki tak malutkie, że przypominają klejnocik. Trwały tak krótko jak rosa. Zniknęły, gdy się obudziliśmy, a jedyne, co nam zostaje, to mieć głęboko, tam gdzie bije serce i mieszkają marzenia, nadzieję, że żadne życie nie przemija na próżno, bez celu.

Liczby nie mają wyobraźni i nie trzeba zwracać na nie szczególnej uwagi. Według mapy góry wznoszą się tu na wysokość dziewięciuset metrów, a jest to jak najbardziej zgodne z prawdą, bo w niektóre dni rzeczywiście tak robią. Ale budzimy się pewnego ranka z nocnych snów, wyglądamy na zewnątrz i widzimy, że góry powiększyły się wyraźnie i mają co najmniej trzy tysiące metrów, drapią niebo, a nasze serce się kurczy. W takie dni trudno jest skupić się na opracowaniu solonej ryby. Góry nie są częścią krajobrazu. One są krajobrazem.

Cypel, na którym stoi Plássið, wchodzi niczym zgięte ramię w środek wąskiego fiordu, nad którym wiedzie droga. Wody fiordu są osłonięte i zamarzają, zamieniając się w lodowisko. Gwiżdżemy wtedy na księżyc i wychodzimy z domu w płozach założonych na buty. Na ogół jest tu bardzo spokojnie, bo góry powstrzymują wiatr. Nie myśl sobie jednak, że u nas zawsze jest flauta i że pióra, które anioły gubią w locie, szybują w dół ku nam. Tak też się oczywiście zdarza, ale czekaj tylko, tutaj potrafi nieźle zawiać! Góry zapewniają flautę, ale

nasilają też wiatr, który wpada wściekle do fiordu. To wichur polarny, pełen żądzy mordy, i wszystko, co nie jest umocowane, zostaje porwane i znika. Deski, łopaty, wozy, dachówki, a nawet całe dachy, gumowce z prawej nogi, wizje, chłodne wyznania miłości. Wichur wrzeszczy pośród gór, podrywa ocean, sól osiada na domach, woda zalewa piwnice. Gdy się uspokaja, a my możemy wyjść z domu bez obawy śmierci, na ulicach zalegają wodorosty, tak jakby ocean nasmarkał na nas. Ale flauta zawsze wraca, anielskie pióra opadają, a my stoimy na brzegu i słuchamy, jak powolne, drobne fale rozbijają się z cichym plaśnięciem. Niepokój opada, krew spowalnia, a ocean zamienia się w kuszące łóżko, na którym chętnie byśmy się położyli, przekonani, że ukołysze nas do snu, kwaczące edredony unoszą się i opadają na wodzie, i nie boli już tak bardzo, gdy myślimy o tych, których ocean porwał ze sobą.

## IV

Chłopak śpi głęboko i mocno.

Śni o życiu i śmierci.

Niektórzy ze zmarłych żyją w snach, dlatego tak bolesna jest niekiedy pobudka. Chłopak budzi się po ciemku i dużo czasu zajmuje mu dojście do siebie, odróżnienie rzeczywistości od snu, życia od śmierci. Leży w łóżku, wyje jak zranione zwierzę. Zasypia ponownie, wpada jak kamień w ocean snów.

Czasem najlepiej jest spać, nic ci nie grozi, świat cię nie dostanie. Śnią ci się cukierki i blask słońca.

Geirþrúður nie pochodzi stąd. Nikt chyba nie wie, skąd jest i gdzie dorastała. Pojawiła się tu pewnego dnia razem ze starym, bogatym Guðjónem. Młodsza od niego o trzydzieści lat, a może nawet trzydzieści pięć, z krótkimi kruczoczarnymi włosami, wysoka, o oczach ciemnych jak grudki węgla. Kilka piegów na nosie nadawało jej wyraz niewinności i jak sądzili niektórzy, właśnie dlatego stary się w niej zakochał, mimo że tymczasem zdążył już się zmęczyć życiem. Nigdy nie ufaj piegom. Znamy albo znaleźliśmy za to dobrze Guðjóna, który się tu urodził i dorastał. Pochodził z bogatej chłopskiej rodziny, zajął się połowem ryb na większych statkach, kupił udziały w norweskiej stacji wielorybniczej w sąsiednim fiordzie i tak się wzbogacił, że nawet tak wielcy kupcy jak Leó i Tryggvi nie mogli mu czegokolwiek nakazać, mimo że poza tym to oni decydowali o wszystkim, co ich dotyczyło. Jakie domy budować, jakie drogi kłaść, które z nich mają prowadzić w głąb kraju, które do piekła, a które do nieba. Majątek Guðjóna nie był oczywiście tak wielki jak ich, oni byli jak Niemcy i Anglia, a on jak Szwecja, ale my pozostali nie mogliśmy nawet być jak gmina na Islandii.

Guðjón dość wcześnie się ożenił, co tutaj jest raczej powszechne. Pobieramy się młodo po to, by móc leżeć blisko siebie, gdy na świecie panują ciemność i chłód. Jego żona pochodziła z dobrej mieszczańskiej rodziny, była wiotka jak trzcina, miała włosy w kolorze popiołu i lubiła się śmiać. On z kolei był wielki jak dom, bystry, od początku na nią czyhał. Zgniecie dziewczynę, mówiliśmy, ale jednak jej nie zgniótł. Guðjón był delikatny i urodziło im się troje dzieci. Mieszkali razem prawie trzydzieści lat, aż ona umarła. W mieszkaniu było pianino, ciężkie meble, dywany, obraz Jóna Sigurðssona, lekarz Sigurður mieszkał niedaleko, a mimo to umarła. Guðjón nigdy nie pogodził się z jej śmiercią, usunął mu się fundament życia. Zaczął pić na umór i razem z księdzem nie raz szalał w długie noce. Jego synowie pojechali na studia do uczonych szkół, jeden z nich aż do Kopenhagi, gdzie zajął się jakimiś interesami. Drugi jest urzędnikiem w Reykjavíku i pupilem gubernatora kraju. Nigdy tu nie przyjeżdżają. Córka nauczyła się oczywiście grać na pianinie, dygać i prowadzić

rozmowy podczas przyjęć. Zna trzy języki, chętnie czyta długie powieści i gra Chopina. Usłyszał ją kiedyś przez otwarte okno norweski kapitan statku wielorybniczego. Rok później przeprowadziła się do Norwegii i od tego czasu jej nie widzieliśmy. Stary Guðjón został sam, nieszczęśliwy, zniszczony przez bezsenność i pijaństwo. Od angielskiego kapitana kupił rewolwer i w ciągu trzech lat trzy razy przykładał go do skroni, ale nie miał dość siły, by pociągnąć za spust i przenieść się do królestwa śmierci.

A potem spotkał Geirþrúður.

W tym czasie miał w zwyczaju wyruszać w dalekie podróże, głównie za granicę, bo na Islandii nie było nic, tylko góry, wodospady, górskie łąki i ten blask, który cię przenika i przemienia w poetę. Guðjón oglądał świat, miasta, obrazy, pałace, uciekał przed sobą samym, samotnością i rewolwerem schowanym w szufladzie biurka. Uciekł raz aż do Egiptu, gdzie gołymi pięściami pobił z wielkiej wściekłości trzech złodziei. Jego przyjaciel Jóhann zajmował się w tym czasie buchalterią i dbał o interesy. Ach, to był złoty człowiek, powiedział o nim zasmucony Guðjón, po śmierci na pewno od razu trafił do nieba. Ale gdy Guðjón wrócił z jednej ze swoich podróży, najdłuższej ze wszystkich, bo trwającej pięć miesięcy, podczas której objechał Anglię, Niemcy, Włochy, widział papieża i miał okazję wysłuchać odczytu Charlesa Dickensa w Londynie, to towarzyszyła mu Geirþrúður.

Geirþrúður ma wysokie czoło i w wyrazie twarzy coś takiego, co trudno określić. Surowość albo chłód, arogancję albo dystans, wyniosłość albo drwinę, a może po prostu po trochu wszystkiego. Piegi są tu jeszcze dodatkowo mylące. Pracowała w hotelu Reykjavík, powiedział Guðjón swoim znajomym. Byłem samotny i zapytałem ją, czy nie chciałaby zobaczyć świata. A jest co oglądać? spytała. Papieża w Rzymie, odpowiedziałem. To tylko żądny pieniędzy i pełen przesądów diabeł, powiedziała.

To jest bluźnierstwo, zdenerwował się wielebny Þorvaldur.

Guðjón wzruszył ramionami.

Ale mimo to pojechała z tobą? zapytał starosta okręgu, Lárus. Stało się to pewnego wieczoru, w pokoju było tak gęsto od dymu papierosów, że z trudem widzieli się nawzajem, gdy ktoś wpadł na pomysł, by otworzyć okno. Jesienne niebo zakaszlało, wciągając uwolniony dym.

Guðjón spojrzał na żarzącego się papierosa i zapytał ją, co chciałaby robić, musi być coś, co chciałaby przeżyć. Zjeść śniadanie w starej niemieckiej wsi

w górach, odpowiedziała. I tak się też stało. Dlatego właśnie objechaliśmy Niemcy, jadaliliśmy śniadania w górskich wioskach i pobraliśmy się po południu, w trzechsetletnim kościele w górach.

Jej chodzi tylko o twój majątek, stary, powiedział Lárus, smutny i wściekły jednocześnie. Nie masz szacunku dla samego siebie, dodał Þorvaldur, zaciskając mimowolnie pięści. Ale Guðjón tylko się drwiąco uśmiechnął: zazdrościcie mi, że mogę spać z młodą kobietą, tak młodą i ładną, z jasną cerą. Poza tym jest ode mnie dużo mądrzejsza i sprawia, że inaczej patrzę na otaczający mnie świat.

Mogłeś przecież z nią sypiać, ale się nie żenić i nie sprowadzać jej tutaj. Nawet nie wiesz, jak ludzie się z ciebie śmieją. Nie wiesz, że ona tylko czeka, żeby się od ciebie uwolnić, rzucić to wszystko i wyjechać?

Guðjón spojrzał na Lárusa swymi błękitnymi oczami, które bywały przedziwnie smutne, jak u starego psa, ale mogły także wściekle miotać sztyletami. Lárus schylił głowę i już miał prosić o wybaczenie, gdy Guðjón chrząknął, splunął do spluwaczki i powiedział: jej i moje życie nie miało sensu, dlatego logiczne było, że się pobraliśmy. Różnica wieku nie ma tu żadnego znaczenia.

Przez pierwszy rok mieszkali w jego starym domu przy Miðgata. Ładny dom, najlepiej położony, ale Guðjón już nie czuł się w nim dobrze i kilka tygodni po rozmowie ze starymi kumplami z Norwegii przyplłynął wielki żaglowiec, wiozący pocięte drewno na budowę domu. Domu, w którym teraz znajduje się gospoda i w którym chłopak śpi jak kamień. Dwa obszerne piętra i wysoki dach, prezent ślubny Guðjóna dla Geirþrúður. Kazali postawić dom tuż obok plebanii, na najwyższej położonej ulicy Plássið, na której mieszkają tylko bogacze: starosta, lekarz, majątni kapitanowie statków.

Wielebny Þorvaldur był wniebowzięty, że ma Guðjóna za sąsiada. Ich przyjaźń sięgała zamierzchłej przeszłości, między oboma domami istniały ścisłe związki, gdy żyła jeszcze pierwsza żona Guðjóna. Ona oraz żona wielebnego znakomicie się dogadywały. Pastorostwo byli pierwszym małżeństwem, które się tu pobudowało. Przeprowadzili się ze starej zagrody, torfowej chaty, która groziła zawaleniem. Niektóre ściany zaczęły się pochylać, a chata zapadać. Znajdowała się tuż pod kościołem, który stoi ponad wszystkimi innymi budynkami. To tak, jakbyśmy chcieli przemówić do gór z domu Boga. Na szczycie wieży jest biały krzyż, jednak o świcie na kalenicy siedzą często dwa kruki, kracząc ochryple, jakby chciały nam przypomnieć o wiecznej nocy. Każdego ranka Þorvaldur idzie



do kościoła po to, by prosić o przebaczenie, ale także, żeby pobyćsam ze sobą, zanim nastanie dzień z całą swoją natarczywością, wszystkimi swoimi pokusami i brudem. Swego czasu Þorvaldur pił tyle co cała załoga statku, spłodził troje dzieci z różnymi kobietami, ale teraz jest rycerzem Boga. Budzi się wcześnie rano, idzie do kościoła, patrzy ze złością na kruki, które odpowiadają mu ironicznym spojrzeniem, klęka przed ołtarzem i prosi Boga, by trzymał wino z dala od niego. Bo wraz z winem przychodzi grzech i znikają hamulce. Prosi Boga, by przebaczył mu wszystko, co zrobił, a potem wraca do domu, na śniadanie, do żony i dzieci. Tych, które jeszcze nie są na swoim, nie umarły, nie pożeniły się i nie studiują. Guðrún powiedziała mu kiedyś, że jeśli Bóg mu przebaczy, to ona też spróbuje. I ciągle próbuje. Mieli siedmioro dzieci, jedno umarło w dzieciństwie, dwoje najmłodszych nadal z nimi mieszka, ale już niedługo się wyprowadzą i wtedy zostaną sami. Ona, jej mąż i służąca. Þorvaldur boi się tej chwili i tęskni za czasem, gdy budziły go głosy dzieci. Nie zawsze łatwo jest myśleć o przeszłości bez uczucia żalu i bólu w sercu. Za to, że nie wykorzystało się jej dobrze, że się nie słuchało, że miało się za mało czasu. Musiał przecież przygotowywać kazania, zbierać składki. Zasiadał długo w radzie miasta, zajmował się teatrem i pił. To zajmowało mu czas, niewiele już go zostawało dla dzieci i ich dziecinnych pytań, które mogą nas przybliżyć do źródeł. Tatusiu, dlaczego słońce nie spada, dlaczego nie widać wiatru, dlaczego kwiatki nie potrafią mówić, dokąd idzie ciemność latem, a jasność zimą, dlaczego ludzie umierają, dlaczego musimy jeść zwierzęta, czy nie jest im wtedy smutno, i kiedy umrze świat?

Dom Geirþrúður, jej prezent ślubny, to jeden z najokazalszych budynków w Plássið, znacznie wyższy niż plebania. Na podłogach leżą dywany, w salonie wisi ciężki żyrandol i stoi pianino, w które Guðjón walił w chwilach największej rozpacz, nazywając to graniem. Þorvaldur jest bardzo zadowolony z tego, że w domu obok ma przyjaciela.

Niewiarygodnie dobrze mieć przyjaciela na tym świecie, nie jest się wtedy tak bezbronnym, można z kimś porozmawiać i kogoś wysłuchać, nie trzeba się wtedy pilnować. Zimowe wieczory są tu także bardzo długie, rozpinają ciemność między szczytami gór. Dzieci idą spać, a wtedy cichną hałasy, mamy czas, żeby czytać, żeby myśleć. Ale gdy dzieci idą spać, to zasypia też niewinność, a my przypominamy sobie o śmierci, samotności. Dobrze jest wtedy mieć przyjaciela w domu obok, a jeszcze lepiej z papierosem w dłoni siedzieć w biurze

parafialnym albo gabinecie, patrzeć na tłący się żar, patrzeć, jak pożera papierosa. Þorvaldur i Guðjón mogliby tak siedzieć razem godzinami. Rozmawiać o rządzie, Duńczykach, połowie ryb, o tym, czy powinno się zakazać wykorzystywania skorupiaków jako przynęty, czy miasto ma zainwestować w kupno parowca. O miejscowych sprawach. Dla Guðjóna wielką ulgą jest móc rozmawiać o sprawach świata zewnętrznego, w którym jasne są podziały, a słowa nie ranią serca, nie ranią naszych wnętrz. Dla nich obu to dobre wieczory, miła odmiana i wesołe kroki od plebanii do domu Guðjóna. Wesołe dwadzieścia osiem kroków. Wobec Geirþrúður jednak Þorvaldur ciągle był niepewny. Była uprzejma, nawet bardzo, przynosiła im coś do jedzenia, uśmiechała się do niego, zadawała pytania, na które łatwo było odpowiedzieć, a mimo to zawsze przeczuwał, że coś się za tym kryje, może drwina, bezwstyd, a może po prostu brak szacunku. Nie podobało mu się, jak mało wdzięczności okazywała ta niedawna pokojówka z hotelu w Reykjavíku za to, że tak nieoczekiwanie trafiła do grupy szacownych mieszczan. Została na przykład bardzo szybko zaproszona, jako żona bogatego Guðjóna, do kobiecego klubu Eva. Klub liczył dwadzieścia—trzydzieści kobiet, które spotykały się regularnie i rozmawiały o Bogu i świecie, o trudach utrzymania domu i skokach w bok. Organizowały zabawy bożonarodzeniowe dla dzieci, zbierały pieniądze dla kobiet, które straciły mężów na oceanie i musiały teraz samotnie wychowywać gromadkę dzieci. Czasem zapraszały też uczonych mężczyzn na pogadanki. Geirþrúður pojawiła się tam dwa razy.

Nie umiem niestety siedzieć cały wieczór nad słodyczami i słuchać kobiet opowiadających o sprawach oczywistych, wyjaśniła Guðrún, gdy ta przyszła w odwiedziny i zapytała, dlaczego Geirþrúður przestała przychodzić.

Jesteś pewnie lepsza od nas, powiedziała wtedy Guðrún z chłodnej uprzejmości.

Dlaczego miałabym być?

Guðrún patrzyła długo na Geirþrúður, a ta na nią, pytająco, niemal niewinnie.

To była moja dobra wola, że cię zaprosiliśmy, dobra wola, że tu przyszedłam, a dobra wola nie leży na ulicy.

Nie przepadam za towarzystwem, przerwała młodsza.

Czyżbyś chciała mi pokazać drzwi?

Nie, ale nie przepadam zbyt za towarzystwem.

Nie jesteś szczególnie miła, muszę przyznać.

Nie chciałam być niemiła, jestem po prostu szczerą.

Siedziały w pięknym salonie, który później był salą w gospodzie, gruby dywan tłumił wszelkie dźwięki, duży, stary stojący zegar oddychał w rogu. Poza tym panowała cisza. Guðrún wpatrywała się w błękitną porcelanową filiżankę z herbatą, Geirþrúður piła kawę z dużego kubka. Helga doniosła jeszcze kawy, a Geirþrúður wypila ją niczym wodę. Guðrún odczekała, aż Helga sobie pójdzie, ta milcząca służąca, po którą Geirþrúður posłała aż do Reykjavíku, równie zrędliva i nietowarzyska jak pani domu. Czy nie jesteś wdzięczna? zapytała Guðrún, gdy drzwi zamknęły się za Helgą, a one były znowu sam na sam ze sobą i czasem w dużym salonie.

Za co, zapytała Geirþrúður wyraźnie zdziwiona.

Czy mam ci to przeliterować?

Tak, obawiam się, że niestety będziesz musiała.

A więc dobrze, powiedziała Guðrún i poprawiła się na krześle, wyprostowała jak świeca i spojrzała stanowczo w oczy młodszej kobiety. Znamy to spojrzenie, przenika przez ściany, Þorvaldur obawia się go bardziej niż czegokolwiek innego. Czy myślisz, powiedziała powoli, że to naturalne, iż ktoś taki jak Guðjón, daleki od przeciętności, a na dodatek naprawdę bogaty, bierze cię w ramiona i prostą dziewczynę, służącą, czyni równą sobie, żeniąc się z nią? I czy wydaje ci się, że to zwyczajne i naturalne, że my witamy cię serdecznie w swoim kółku, a nawet okazujemy matczyną opiekę i pobłażliwość?

Nie jestem niestety zwyczajna i nie jestem niestety dziewczyną.

Ależ tak, jesteś, mówi Guðrún zdecydowanie, bo nie znosi, gdy ktoś podaje w wątpliwość to, co oczywiste. Jesteś dziewczyną, zwyczajną albo nie, nieważne, która co prawda wkrótce zostanie żoną majątnego mężczyzny, ale za którą wlecze się jej niskie pochodzenie. To nie jest zarzut. Jesteśmy tym, kim jesteśmy, ale przy odrobinie chęci i właściwym nastawieniu można się wiele nauczyć. Powinnaś przyswoić sobie obyczaje, które być może nie leżą w twojej naturze, ale musisz w tym celu obracać się wśród właściwych ludzi. Na przykład kobieta z twojej sfery nie żłopie kawy z kubka, niczym żona marynarza, a nawet niczym marynarz, rzekłabym. Kobieta z twojej sfery siedzi prosto, a nie buja się jak nieznośny bachor.

Geirþrúður spojrzała na siebie, tak jakby chciała się sobie przyjrzeć. Siedziała

krzywo w zielonym, miękkim jak puch szerokim fotelu, z nogą przełożoną przez oparcie, i obiema rękami trzymała kubek z kawą, tak jakby marzła. Zdawała się przemyśliwać to wszystko, a potem odpowiedziała, nie patrząc na Guðrún: zgodziłam się wyjść za Guðjóna, bo jest dobrym człowiekiem, bo dobrze nam razem i dlatego że uważam, iż jest taki jak ja.

Guðrún zbliżyła spokojnie filiżankę do ust, a następnie odstawiła pustą na stół.

Nie jesteś taka jak Guðjón i nigdy nie będziesz, powiedziała. Wstała od stołu i spojrzała na Geirþrúður. Mam nadzieję, że nie przyjdiesz już więcej na zebranie klubu Eva.

Nie przepadam za słodyczami.

I towarzystwem, dodała żona pastora.

Geirþrúður uśmiechnęła się po raz pierwszy i powiedziała: prawie mogłybyśmy się porozumieć.

Tak, prawie, odpowiedziała Guðrún.

Wielu uważało, że złapawszy starszego, dojrzałego mężczyznę, zabierze mu spokój jesieni życia. Rzeczywiście, pewnego dnia Guðjón chwycił się za serce, na środku ulicy i w blasku słońca, rozejrzał się ze zdziwieniem dookoła i chwilę potem już nie żył. Geirþrúður odziedziczyła połowę majątku, co wcale nie było mało, a na pogrzebie nie uroniła ani jednej łzy. Trzeba jej jednak oddać, że nie oszczędzała na stypie, która zamieniła się w wielkie pijaństwo i radość, zupełnie jakby stał za tym sam szatan. Þorvaldur upił się straszliwie i wylądował w obcym łóżku z wesołą służącą Gunnhildur, która fakt, że jest on księdzem, uznała zarówno za zabawny, jak i podniecający. Kazała mu zostać w sutannie i było to nawet śmieszne, ale tylko do czasu, gdy alkohol z niego wyparował. Wtedy przestało to być zabawne i dwa dni później siedział już na spotkaniu w klubie alkoholików Jutrzenka.

Geirþrúður nie brała udziału w stypie.

Ktoś powiedział, że siedzi oczywiście na górze i liczy pieniądze.

Zdaje mi się, że widziałem ją, jak spacerowała po wsi, powiedział inny.

Tak, z pewnością po to, żeby spotkać diabła, swojego pana, rzekł trzeci.

Większość obudziła się ze strasznym bólem głowy, Guðjón znalazł się w ziemi i czeka na Sąd Ostateczny. Później Geirþrúður otworzyła w pięknym salonie gospodę, którą właśnie tak po prostu nazwała. A my nazywaliśmy ją czasem speluną, azylem albo przedsiönkiem piekła.

## VI

Chłopak nadal śpi głęboko i bez czucia. Sny uwalniają nas czasem od życia. Są blaskiem słońca na tyłach świata. Idziemy spać na dnie styczniowego wieczoru, domem wstrząsa północny wicher, cienkie szyby drżą, zamykamy oczy, a słońce zaczyna na nas świecić. Ci, którzy mieszkają u stóp stromych gór i blisko końca świata, są specjalistami od snów. Chłopak śpi. Potem się budzi, wypływa powoli na powierzchnię.

Gdy się budzi, jest nadal ciemno.

Czuje jednak, że noc ma za sobą, a za chwilę z głębin wynurzy się słońce.

Otwiera powoli oczy, ostrożnie, ze smutkiem, a sny, które wypełniały jego istnienie, rozrywają się na kawałki i znikają. Są co najwyżej niczym opary mgły, które wiszą kilka sekund nad pamięcią, a potem się rozplývają. Chłopak zamyka znowu oczy, nie śpi już, ale nie do końca. To bardzo przyjemny stan, w którym często próbował się utrzymać. W samym środku istnienia, po jednej stronie sen, a po drugiej jawa. Udaje mu się utrzymać jawę tak daleko od siebie, jak to tylko możliwe. Wyobraża sobie, że budzi się w domu z pianinem, katarynką, wśród ścian pełnych półek z książkami. Ludzie w tym domu są mądrzy, wiedzą wiele, a na stole są nawet jabłka. Ale rzeczywistość nigdy cię nie wypuści, nie umkniesz jej na dłużej niż tylko na chwilę. Żywi i martwi temu podlegają oraz pytaniu o zbawienie duszy, o piekło i niebo, o uczynienie rzeczywistości lepszą. Sny na jawie rozplývają się, tak samo jak jabłka, mądrzy ludzie, pianino, książki. Wtedy chłopak próbuje sobie wyobrazić, że jest w chacie, mają wypłynąć, a Bárður żyje. Wącha z nadzieją, że poczuje woń stóp swojego przyjaciela, ale powietrze w pokoju jest zbyt czyste, nie tak gęste jak po nocy na poddaszu chaty. Siedmiu śpiących mężczyzn, nie można otworzyć okna, siedmiu mężczyzn, którzy oddychają i wydzielają zapach.

Otwiera oczy. Bárður nie żyje i wszystko robi się zimne.

Zamyka oczy ponownie.

Życie potrafi być bezlitosne.

Przygniata go smutek, boli go serce, ale przede wszystkim czuje, że musi się wysikać. To ważniejsze niż wszystko inne. Potrzeba tak wielka, że boi się

kaszlnąć, boi się zapłakać, bo nawet przy najmniejszym wysiłku może tak nacisnąć pęcherz, że się z niego uleje. To tylko kolejny dowód na to, jaki ze mnie mięczak, myśli i udaje mu się na chwilę zapomnieć o pogardzie dla samego siebie. Ale ten, który musi się wysikać, musi się, rzecz jasna, wysikać, a jeśli zwleka zbyt długo, to potrzeba staje się przeogromna. Wstaje powoli z łóżka, jest nagi. Kto mnie rozebrał, myśli zaniepokojony, gdy klęka i zagląda pod łóżko w poszukiwaniu nocnika. Oddycha z ulgą, gdy wyczuwa go ręką. Sika na kolanach, żeby nic się nie wylało. Jest przyjemnie, jest tak przyjemnie, że jęczy zadowolony i po raz trzeci w krótkim czasie oszukuje w ten sposób smutek. Ale z niego głupek. Siada na brzegu łóżka, patrzy bez nadziei przed siebie i czuje słaby zapach moczu. Dookoła niego panuje cisza, nie słyhać nawet oceanu. Oczy dopiero co zaczęły się przyzwyczajać do ciemności. Za ciężkimi zasłonami widzi dwa okna, na dworze na pewno jest flauta, a tamci wypłynęli. Pétur poświęcił wczorajszy dzień na znalezienie dwóch bezrobotnych rybaków, którzy siedzą teraz w łodzi na środkowej ławie zamiast niego i Bárðura. Andrea na pewno martwi się o niego. Muszę do niej napisać, tak, oczywiście, ale co jej powiem? Dreszcz przenika jego wątłe ciało. Niezbyt silne, ale zahartowane ciężką pracą. W pokoju jest chłodno, naciąga kołdrę pod szyję i rozgląda się dookoła. Wiele kryje się jeszcze albo jest niewyraźne w ciemności, a on nigdy nie spał sam w tak wielkiej przestrzeni, oczywiście wyłączając chwile, gdy spał na dworze, pod gołym niebem. Łóżko ma wysokie wezglowie i nogi, dalej dostrzega komodę z sześcioma, nie, siedmioma szufladami, a na ścianach obrazy. Tam jest fotel, pewnie dobrze się na nim siedzi. Chłopak rozgląda się za swoimi rzeczami. Jest bardzo smutny, ale jednocześnie bardzo chce wypróbować fotel. Czyżby to też była zdrada? I kto go rozebrał? Helga oczywiście. Niezbyt to miła świadomość. Pierwsza kobieta, która zobaczyła go nagiego. To powinien być ktoś inny, na przykład Guðrún. Próbuje o niej myśleć, próbuje za nią tęsknić, ale nie czuje nic, prawie tak, jakby zupełnie go nie obchodziła. Wstaje, podchodzi do okna, odsuwa ciężką zasłonę i opływa go przytłumiony blask kwietniowego słońca, który rozmywa ciemność i odsłania pokój. Ubrania chłopaka leżą na niebieskim drewnianym krześle obok łóżka. Ubiera się, obwąchuje ubrania jak pies, jeszcze nigdy tak ładnie nie pachniały. Stoi długo nad ciężkim bujanym fotelem, głaszcze go po szerokich oparciach, mruczy coś, a potem siada ostrożnie. Fotel jest niewiarygodnie miękki i tak dobrze jest na nim siedzieć, że chłopak uśmiecha się mimowolnie, ale zaraz

gryzie się mocno w usta.

Na zewnątrz jest jasno, noc zniknęła.

Kwietniowa noc nie jest oczywiście zbyt ciemna, przepełnia ją wiele miłych dźwięków. Słysząc szum wody, śpiew ptaków, bzyczenie much, widać wyłazące z ziemi dżdżownice, a życie staje się łatwiejsze. Kwiecień przychodzi do nas z apteczką i stara się uleczyć zimowe rany.

Chłopak siedzi w najmniejszym fotelu na świecie i rozgląda się dookoła. Przez okno patrzy na błękitne kwietniowe chmury, próbuje myśleć o Bogu, ale szybko się poddaje. Zamiast tego przygląda się nocnikowi, do połowy pełnemu, białemu i tak czystemu, że może się wydawać, że nigdy nie był używany. Chłopak nie widział nigdy wcześniej tak ładnego nocnika. Całe szczęście, że nie przyglądał się mu zbyt dokładnie, gdy sikał, bo pewnie nie odważyłby się lać do tak szlachetnego naczynia. Na ścianie wiszą dwa całkiem spore obrazy. Chłopak mruży oczy, żeby dostrzec, co przedstawiają. Na jednym widać miasto, zagraniczne, mruczy. Pomyśleć, żyjemy w kraju, w którym nie ma miast, nie ma kolei żelaznej, zamków. Żyjemy tak daleko od świata, że wielu nie wie o naszym istnieniu. A jest o czym wiedzieć? Drugi obraz jest mniej wyraźny, musiałby wstać i podejść bliżej, ale to oczywiście nie wchodzi w rachubę. O wiele przyjemniej jest siedzieć sobie po prostu i się rozglądać. Spałem chyba dobrą dobę, myśli chłopak. Mówi mu to ciało, ciężkie i prawie bez czucia. Coś trzeszczy niedaleko niego, chłopak wzdryga się i przez bardzo krótki moment lęka się, że w rogu pokoju stoi Bárður i patrzy na niego. Ktoś przechodzi obok drzwi i śmieje się, mężczyzna, ale na pewno nie stary kapitan. To młodszy śmiech, głęboki, niemal radosny. Poza tym stary prawie nigdy się nie śmieje, co najwyżej warczy. Ku własnej radości chłopak czuje, jak niechęć wobec Kolbeina rozplywa się po ciele. Staruch, mruczy. Mężczyzna znowu się śmieje, a chłopak słyszy kobiecy głos. Niespotykane, są ludzie, którzy śmieją się od samego rana. Chłopak wstaje z fotela, odsuwa ciężką zasłonę z drugiego okna. Są to dość duże okna, zamykane na haczyk. Otwiera je i łyka chłodne, ale spokojne poranne powietrze. Śnieg nie padał, odkąd chłopak tu przyszedł albo, lepiej, doczłapał się. Spogląda w górę, widzi szczyt ponad Plássið. Blask poranka nie jest całkiem czysty, wydaje się, że są w nim fusy. Czy u stóp takiej góry kiedykolwiek będzie zupełnie jasno? Chłopak mimowolnie odsuwa się od okna i zamyka je. W pokoju szybko zrobiło się chłodno, najchętniej wsunąłby się z powrotem do łóżka

i naciągnął kołdrę na głowę. Bo co czeka go jeszcze w życiu, jak nie oddychanie, jedzenie, regularne wizyty w wychodku, czytanie książek i odpowiadanie, gdy ktoś go zaczepi? Po co właściwie człowiek żyje? Próbuje powiedzieć te słowa głośno, tak jakby zadawał to pytanie Bogu albo temu ładnemu fotelowi. Ale skoro ani Bóg, ani fotel nie zamierzają odpowiedzieć, chłopak zaczyna myśleć o książkach Kolbeina. Jest ich pewnie ze czterysta, a on nigdy nie widział w jednym miejscu więcej niż dwadzieścia. Poza apteką oczywiście, gdy był tam z Bárðurem, to doliczył się siedemdziesięciu dwóch. Czterysta książek. Patrzy rozmarzony przed siebie. Mężczyzna znowu się śmieje, ale tym razem gdzieś w oddali, ledwie go słysząc. Chłopak otrząsa się, wstaje i podchodzi wolno do drzwi. Otwiera je, wygląda ostrożnie, widzi długi korytarz. Dość już spał za ciężkimi zasłonami. Teraz nie śpi i musi dojść do tego, po co żyje człowiek i czy w ogóle jest dla niego miejsce w tym życiu.

Stojąc w drzwiach, waha się. Patrzy na duży pokój, żegna się z nim, a potem ostrożnie zamyka za sobą drzwi i idzie powoli do końca korytarza. Poza tymi, które zamknął, dolicza się jeszcze pięciorga innych, a także czterech lamp na ścianach. Palą się tylko dwie z nich, więc na korytarzu panuje półmrok. Ogląda obrazy, które wiszą obok palących się lamp. Wszędzie tylko zagranica, mruć, obce wody, lasy, zamki, miasta. Chłopak schodzi bardzo powoli, z dołu dobiegają go dwa głosy. Zatrzymuje się w połowie schodów, zamyka oczy, bierze głęboki oddech i się przygotowuje. Łatwo siebie oszukać, gdy jest się samemu, można niemal stworzyć samego siebie, być mądrym, zmyślnym, znać odpowiedź na wszystkie pytania. Wśród ludzi jest już całkiem inaczej. Wtedy trzeba się wysilać, nie jesteś już tak zmyślny, nie jesteś nawet blisko mądrości. Wtedy jesteś czasami zwykłym cholernym durniem i gadasz przeróżne głupoty. Ośmieszę się całkiem, myśli chłopak i dalej schodzi po stopniach. Naliczył ich szesnaście. Gdy jest już na dole, po prawej stronie natrafia na zamknięte drzwi, a na lewo na dość długi korytarz, prowadzący do drzwi wyjściowych. Są uchylone i stoi w nim mężczyzna, to bez wątpienia ten, który się śmiał. Całkiem wysoki, silny, o szerokich barach, w niebieskiej kurtce z wieloma połączanymi guzikami. Zagraniczny kapitan, myśli chłopak. Widać to po tym, jak stoi, widać, że to człowiek mocny i pewny siebie. Nie jest skazany na soloną rybę, nie musi żyć wśród ciemności gór. Kapitan zauważa chłopaka, który nadal trzyma się poręczy, bo często trzeba mieć się czego trzymać, żeby się nie zgubić albo nie spaść. Może to być poręcz albo jeszcze lepiej czyjaś ręka. Ich spojrzenia się



spotykają. Kapitan mruży oczy, z zaciekawienia albo po prostu po to, by lepiej zobaczyć. Helga wchodzi na korytarz, stała w drzwiach obok kapitana, patrzy na chłopaka i mówi: dzień dobry, spałeś.

Chłopak puszcza poręcz, ale po chwili chwyta ją znowu, przytakuje i skinieniem głowy odpowiada: dzień dobry. Bardzo wiele da się wyrazić drobnym skinieniem głowy. Przecenia się słowa, większość z nich powinno się wyrzucić i tylko pochylać głowę, gwizdać i chrząkać. Helga spogląda na kapitana i mówi coś w obcym języku, powoli, ale płynnie. Wyjaśnia, kim jestem, myśli chłopak. Kapitan patrzy na niego, tym razem już nie z ciekawości, na jego twarzy maluje się litość, może nawet współczucie. Pływa po morzach i zna śmierć, myśli chłopak, jakby po to, by usprawiedliwić przed samym sobą falę gorąca, jaką budzi w nim wzrok obcokrajowca. Potem kapitan kiwa ku niemu głową, podnosi rękę z otwartą i wysuniętą do przodu dłońią, rzuca wzrokiem w górę, tak jakby się wahał i czekał na coś, a potem wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

No tak, mówi Helga.

„No tak” to niewątpliwie najmocniejsze islandzkie słowa, które w mgnieniu oka mogą połączyć dwoje obcych ludzi.

Chłopak podchodzi do Helgi, która mówi: zjedz coś teraz, a chłopak odpowiada: tak.

## VII

Trudno zrozumieć Helgę, powiedział Bárður, gdy wyruszali z Plássið trzystaście tysięcy lat temu, dźwigając na plecach tom ze śmiertelnie niebezpieczną poezją. Nie wiesz, czy ledwie cię znosi, czy cię lubi, czy jest zadowolona z życia, czy nie. Niech mnie, chętnie rzuciłbym się na nią z wrzaskiem tylko po to, by wytrącić ją z równowagi i sprawdzić, czy da się zajrzeć w jej wnętrze, zobaczyć, kim naprawdę jest.

Ale teraz Bárður nie podbiegnie do nikogo i nie huknie „bu!”. Właściwie to nawet lepiej, bo przecież nie żyje, zamarzył na śmierć, a życie oddała się od niego z każdą upływającą minutą. Za trzydzieści lat będzie co najwyżej blednącym wspomnieniem, ale wtedy o mnie też już całkiem zapomną. Na szczęście. Tak myśli sobie chłopak, albo inaczej, takie myśli przenikają go w chwili, gdy idzie za Helgą i próbuje ukryć niepokój i onieśmielenie. Dlaczego miałbym się przed nią wstydzić? Helga to tylko człowiek, ma wrażliwe ciało, które nie znosi spadających kamieni i upływu czasu. Czas mrugnie okiem, a Helga już zamieni się w przygarbioną staruchę, która stoi w kącie i przeżuwa pozbawione smaku wspomnienia i imiona, których nikt nie pamięta.

Droga przez korytarz do kuchni to nie więcej niż dziesięć kroków, ale mimo to wszystko wiruje chłopakowi w głowie.

W umyśle człowieka istnieją wiekie przestrzenie, ogromne możliwości, większość z nich jednak jest niewykorzystana, bo życie szybko kosztuje w codziennej rutynie, a liczba możliwości zmniejsza się z każdym rokiem. Ogromny obszar umysłu przepada albo zamienia się w pustynię.

Heiga jest średniego wzrostu, a jej ruchy są szybkie i zdecydowane. Czasownik „wahać się” zna pewnie tylko ze słyszenia. Jasne włosy upięte z tyłu w twardy kok, nadający jej twarzy surowy wyraz, które podkreślają wąskie wargi i nieco zadarty nos. Ma na sobie obszerną błękitną sukienkę. Chłopak nie umie ocenić jej figury, ale też wcale go ona nie interesuje. Heiga ma co najmniej trzydzieści lat.

Wchodzą do kuchni i wszystkie niespokojne myśli oraz domysły chłopaka opadają niczym zestrzeżone ptaki, bo siedzi tam stary Koibeinn. Żuje kromkę

chieba, grubo posmarowanego masłem i pasztetówką, a jego martwy wzrok obejmuje chłopaka niczym zimne dłonie. Przypomina mu się to, co się wydarzyło w gospodzie, jego głupie zachowanie, a słowa z języka dorszów, *Omaunu*, drwią z niego.

Chłopak się obudził, mówi Heiga do kapitana, który odburkuje coś jak stary baran.

Rankiem rzadko jest w humorze, wyjaśnia Heiga chłopakowi, który nie ma pojęcia, czy się uśmiechnąć, czy nie. Koibeinn jest mądrym człowiekiem, już dawno temu uświadomił sobie, że właściwie nie ma powodu do zadowolenia.

Chłopak chce usiąść, ale rezygnuje, stoi tam po prostu i ma wieką ochotę pokazać ponuremu kapitanowi język, nie zdobywa się jednak na odwagę. Tyko obserwuje Heigę, która szybkimi ruchami kroi chleb. Chwile potem gotuje się kawa. Chłopak nie może oderwać wzroku od pieca na masywnych żelaznych nogach, z piekarnikiem i czterema fajerkami dla garnków różnej wielkości. Nigdy wcześniej nie widział tak wielkiego pieca i dłuższą chwilę przygląda się uważnie wszystkim zdobieniom.

Siadaj, mówi Helga, nie odwracając się do niego, i chłopak natychmiast siada. Kolbeinn jest z natury pogodny, a rankami nawet mi śpiewa. Żujący kapitan znowu coś mruczy. Helga stawia na stole przed chłopakiem chleb i kawę. Chłopak czuje ciepłą woń jej ciała i z trudem powstrzymuje się od uśmiechu. Brodata twarz kapitana naprzeciwko niego przypomina ciemne chmury, ale w spracowanych dłoniach, które leżą na stole niczym śpiące psy i w porównaniu z resztą ciała wydają się wielkie, jest przedziwny spokój. Chłopak sączy gorącą kawę i zagryza ją chlebem, a wtedy wybucha w nim tak wielki głód, że musi ze wszystkich sił powstrzymać się, by nie wepchnąć w siebie całego tego świeżego chleba. Zmusza się, by jeść powoli, otoczenie wymaga od niego większej elegancji i bardziej stosownego zachowania przy jedzeniu niż to, do którego przywykł. Helga przynosi w niebieskiej misce owsiankę, a chłopak bez namysłu mówi „dziękuję” z taką szczerością, że Helga uśmiecha się nagle, a uśmiech dociera aż do jej oczu. To ośmiela chłopaka, by zapytać o mężczyznę, który wyszedł. Czy jest obcokrajowcem?

Tak, odpowiada Helga, nalewa sobie kawy do niebieskiego kubka i siada w końcu stołu. Jest kapitanem jednego ze statków tu w fiordzie. Niedługo odpływają. Jest Anglikiem, dodaje i upija łyk kawy.

Znasz angielski? pyta chłopak ostrożnie i z podziwem. Ci, co znają języki obce,

widzą dalej i wiedzą więcej niż inni.

Trochę, mieszkałam przez sześć lat na zachodzie, w Ameryce. Ale on nie przychodzi tu w odwiedziny albo żeby podziwiać mój angielski.

Więc po co? pyta chłopak niewinnie, ale natychmiast dostrzega swoją niewinność albo głupotę i robi się czerwony ze wstydu. Helga zaciska wargi, albo żeby pokazać niezadowolenie, albo żeby ukryć uśmiech. Kolbeinn nie reaguje. Chłopak pochłania owsiankę i nie mówi już nic więcej.

Trzeba się spieszyć.

Oddałem książkę, sprawa załatwiona, dziękuję. Następny punkt programu to zdecydować, czy ma żyć, czy umrzeć. Dobrze, kiedy trzeba wybierać tylko pomiędzy dwiema możliwościami. Oczywiście o wiele łatwiej jest umrzeć, jedna decyzja, i po wszystkim. Trzeba tylko znaleźć sznur, przywiązać do niego kamień, skoczyć ze skały do wody i nigdy nie wypłynąć. Nikt się wtedy nie natknie na wyrzucone przez ocean ciało.

Życie jest znacznie bardziej skomplikowane.

Nie wystarczy tylko znaleźć sznur, nawet jeśli będzie to bardzo dobry sznur. Żeby żyć, trzeba znacznie więcej. Życie to długi i skomplikowany proces, żyć to zadawać pytania. Gdzie na przykład znaleźć nocleg na najbliższą noc, najbliższe noce, najbliższe dziesięć tysięcy nocy? I trzeba jeszcze znaleźć pracę, na ocean już nie wypłynie, do cholery, o nie! Nie zamierza też pracować w sklepie Lea, nie bez Bárðura, mowy nie ma. Ale co w takim razie? Musi coś jeść, a to kosztuje. Pewnie dałoby się porozumieć co do przyzwoitej płacy w sklepie Magnusa albo Tryggviego. Duże statki rybackie wkrótce odpływają, każda ręka do pomocy jest na wagę złota. Tak, na pewno brałoby się przez kilka dni najpotrzebniejsze rzeczy na krechę, dałoby się jakoś przeżyć. O wiele trudniej dotrzeć do sedna, czy w ogóle ma jeszcze na tym świecie jakiś cel.

Tak myśli chłopak po zjedzeniu owsianki. Trzyma w dłoni pustą łyżkę i patrzy niewidzącym wzrokiem przed siebie. Na jego twarzy nie widać współczucia dla samego siebie, lecz raczej bezradność, bo gdzie znaleźć sznur? Sznury nie leżą na ulicy. Życie cały czas rzuca nam kłody pod nogi, nie jest łatwo. Bárður nigdy z niczym nie miał problemu, a mimo to umarł i już nigdy nie zaśmieje się tym swoim zaraźliwym śmiechem.

Chłopak otrząsa się, Helga coś mówi. Co? pyta chłopak, ale Helga tylko kręci głową i mruczy: siedzę tu z jednym głuchym i jednym ślepym.

Chłopak spogląda szybko na Kolbeina, ale nie ma go, zniknął. Ja tylko... mówi chłopak, milknie i szuka dalszych słów, ale ich nie znajduje. Zgubił wszystkie.

Najpierw tracisz słuch, potem go odzyskujesz, ale tracisz mowę. Z tobą naprawdę jest ciekawie, mówi Helga, a on oczywiście nie ma pojęcia, czy mówi to dobrodusznie, czy ironicznie. Znowu czuje się niepewny i onieśmielony wobec tej kobiety i dlatego też zgadza się bez słowa, skinieniem głowy, by pójść z nią do sklepu Tryggviego.

Brakuje nam mleka, piwa, kaszy i chleba. Potrzebne mi zwierzę juczne, głuche czy nieme, nieważne. Mam nadzieję, że nie stracisz zbyt szybko siły w rękach.

## VIII

Nad światem nie rozciąga się już lodowate niebo, śnieg na ulicach topnieje, jest kwiecień. Oto idzie chłopak.

Helga na szczęście nic nie mówi, tak jakby zostawiła wszystkie słowa w domu. Ostatnie, co powiedziała, gdy się ubierali, to że Geirþruður będzie chciała z nim potem porozmawiać. Potem? zapytał chłopak, jakby to słowo, „potem”, było zupełnie niezrozumiałe.

Ona nie lubi zbyt wcześnie wstawać, odpowiedziała Helga, jakby nie widząc zdziwienia na jego twarzy. Dlaczego chce ze mną rozmawiać? myśli chłopak, idąc ulicą. Może chce mi zarzucić, że nie uratowałem Bárðura przed mrozem?

Helga idzie tak szybko, że chłopak musi się sprężyć i ciągle gubi wątek. Ta ulica to Mánagata, myśli. Pójdziemy nią do końca, a potem skęcimy w Sjávargata i dojdziemy aż do Tangi. Tam jest cmentarz, może powinienem zagwizdać na zmarłych i zaproponować im spacer? Na ulicy odśnieżono spory pas, a na Sjávargata jest jeszcze lepiej. Poza tym śnieg jest porządnie ubity i łatwo się po nim idzie. Jest całkiem jasno, mimo ciężkich chmur. Zbliża się siódma. Ocean jest błękitny, a wody fiordu lekko wzburzone. Temperatura około zera. Chłopak rozgrzał się w czasie spaceru, nieważne, jak duże stawia kroki, i tak jest pół kroku za Helgą. Z kominów domów przy przetwórni ryb Magnusa wydobywa się dym. Przed sklepem stoją trzej mężczyźni i palą fajki, pewnie obcy marynarze. Maszty dwóch statków wznoszą się ponad Neðribryggja przy Tangi, samych statków zaś nie widać zza domów. Jeden z nich nazywa się „St. Lovisa” i przyplłynął z Anglii. Jego kapitan to J. Andersen, którego ciało ciągle jeszcze nie ostygło po nocach i dniach spędzonych z Geirþruður. Niebieskawy dymek wzbija się z fajek trzech mężczyzn w powietrze i szybko rozplywa w nim, znika. Chłopak patrzy na maszty wznoszące się ponad domami na tle porannego nieba. Muszę popłynąć do Ameryki, wpada mu do głowy, no jasne, właśnie tak. Albo do Kanady, to wielki kraj. Tam uda mi się uciec od oceanu i ryb. Nauczę się angielskiego i będę czytał wspaniałe książki. Zamierza pomyśleć nad tym dłużej, ale myśl ta wzbija się w powietrze i rozplywa niczym dym. Przed nimi rozwidlenie dróg: Sjávargata wiedzie dalej aż do oceanu, podczas gdy Miðgata

skręca przy sklepie Magnusa i wślizguje się pomiędzy gęste rzędy domów. Porządnie tu odśnieżono, na ulicy prawie nie ma śniegu, za to po obu jej stronach zalegają wysokie zasy. Wzdłuż Miðgata, po jej obu stronach, stoi osiem, nie, dziewięć różnej wielkości domów, a przed jednym z lepszych wystają ze śniegu dwa małe świerki, tak niewiarygodnie zielone, że chłopak aż się zatrzymuje. Marzy o tym, by przedrzeć się przez zasy na poboczu i dotknąć tej zieleni, poczuć zapach drzewek. Spogląda w górę i w oknie nad świerkami widzi kobietę. Jest młoda, chyba coś czyści, pewnie świecznik, myśli chłopak. Kobieta patrzy na niego i uśmiecha się tak pięknie, że chłopak natychmiast czuje się szczęśliwy, mimo że dwa dni temu Bárður zamarzył tuż obok niego na śmierć. Zmieszany odrywa wzrok od okna z dwojgiem żywych uśmiechniętych oczu i pędzi za Helgą, która właśnie znika za rogiem. Biegnie i biegnie, szybko, tak szybko, jak potrafi, tak jakby chciał uciec od samego siebie. Wygląda oczywiście jak głupek, ale w porządku, przecież właśnie jest głupkiem.

Miðgata prowadzi w sam środek Plássið, do rynku, który wolimy nazywać centrum, gdy marzy nam się życie bez suszonych ryb, gdy marzą nam się drzewa, ławki i pomnik. Czyj pomnik? Nie wiadomo, bo kto był tak wierny życiu, że zasłużył na pomnik?

Centrum jest przysypane kwietniowym śniegiem i tak będzie przez najbliższe dni, bo przy tych chmurach na pewno spadnie śnieg, a słońca dziś prawie nie widać. Spotkać można bardzo niewielu ludzi, właściwie tylko ich dwoje, zdyszanego chłopaka i Helgę obok niego. Nie udało mu się uciec od samego siebie. W jednym z domów w oknie nad nimi porusza się franka i wygląda zza niej jakaś twarz. Tutaj nic się nie dzieje, a ludzie doskakują do okien, gdy tylko wyczują jakiś ruch. Męczysz się już w chwili, gdy się budzisz i myślisz o czekającym cię dniu. Helga kieruje się w stronę sklepu Tryggviego, dużego budynku z wielkim, starannie wymalowanym szyldem i głęboką wystawą, latem i jesienią pełną towarów, a dziś pustą. Ze sklepu wychodzi mężczyzna z torebką ryżu pod pachą, patrzy na Helgę, ale się z nią nie wita. Ona zaś zdaje się go nie dostrzegać, otwiera drzwi, razem z chłopakiem wchodzi do środka, słysząc dzwonek.

## IX

Chłopak mruży oczy, by przyzwyczaiły się do różnicy w sile światła. Na tle blasku śniegu na zewnątrz tu wydaje się panować półmrok. Trochę ludzi w sklepie, zarówno pracowników, jak i klientów. Wszyscy milkną w chwili, gdy Helga i chłopak wchodzą do środka. Niezliczone pary oczu, które patrzą najpierw na nią, a potem na niego. Ciekawskie, badawcze spojrzenia, niektóre nawet wrogie. Nic przyjemnego, gdy ktoś się tak na ciebie gapi. Dobra ziemi, zechciej mnie pochłonąć, myśli chłopak, ale bez specjalnej nadziei, bo ziemia jeszcze nikogo nie pochłonęła. Ziemia nie potrafi w gruncie rzeczy nic innego niż tylko być płaską i pozwalać po sobie chodzić. Lepiej będzie, jak rozejrzy się dookoła, przypatrzy się towarom w największym sklepie w Plássið, największym w tej części kraju. Żeby znaleźć większy, trzeba by pojechać na południe, do Reykjavíku, albo może nawet aż do Kopenhagi, przez niebezpiecznie głęboki ocean, pełen zatopionych statków, topielców i straconych nadziei. Był tu już oczywiście wcześniej, trzy razy w ciągu dwóch lat. Ale wtedy wszystko wyglądało zupełnie inaczej, bo pewni ludzie jeszcze żyli. Kwietniowe słońce wpada przez okno, ani jaskrawe, ani wystarczająco silne. Pali się kilka lamp naftowych, ale sklep jest wielki, podzielony przez cztery wysokie i szerokie regały, które rzucają cień i utrudniają światłu zadanie. Lada jest długa na kilka metrów, a za nią na półkach wyłożone są towary. Niektóre półki są puste, czekają jeszcze na kolejną wiosenną dostawę. Te dwa statki, które są przycumowane przy Neðribryggja, przywiozły tylko węgiel, sól i kapitana dla Geirþruður. Chłopak naliczył dziewięciu ludzi w sklepie, gdy nagle dziesiąty, wysoki mężczyzna, podnosi się znad niższej półki. Oglądał tam coś, ale też chciałby się dowiedzieć, kim są nowo przybyli, więc długą chwilę przygląda się chłopakowi. To Brynjólfur, kapitan ze szpakowatą brodą, ze statku należącego do Snor-riego. Chłopak ucieka przed jego prawie czarnymi oczami i patrzy przez otwarte drzwi do działu z alkoholem. Był tam razem z Bárðurem jakieś pięćdziesiąt tysięcy lat temu, gdy po ziemi biegały jeszcze mamuty. Wtedy półki świeciły pustkami. Skończył się koniak, whisky i sherry, zostało tylko pięć butelek porto, dziesięć wódki, dwie szwedzkiego rumu Branco i dziewięć



butelek czerwonego wina. Do tego ograniczały się jego możliwości. Ale były jeszcze gęsto ustawione rzędy różnych gatunków piwa, a także całe mnóstwo w magazynie, o czym zapewnił ich sprzedawca. Spojrzał jakby z oddalenia na Bárðura i chłopaka, przechylił się do tyłu, po to by podkreślić różnicę między sobą a nimi, i uśmiechnął się wyniośle zza najbardziej wypielegnowanej brody, jaką chłopak kiedykolwiek widział. Bárður poprosił o butelkę wódki. Aha, tak, a nie czerwone wino? zapytał sprzedawca, wydając się zdziwiony. Bárður kazał to sobie dopisać do rachunku, nie ma sprawy, jego rachunek był w porządku. Brodacz także powiedział „tak, w porządku”, zajrzawszy do zeszytu z kontem Bárðura, a odległość między nimi zaczęła się zmniejszać, z siedmiuset kilometrów do dwustu. Duma wypełniła chłopaka, wyprostował się, ale Bárður tylko wyciągnął swoją silną rękę i powiedział: proszę nie pakować. Wyszli ze sklepu, Bárður trzymający butelkę za szyjkę. Popijali z niej w drodze do domu. Niczego więcej w tym życiu Bárður już się nie napił. Teraz czai się nad butelką ten pieprzony Einar, myśli chłopak. Siedzi przy niej jak żarłoczna mewa.

Myśl o Einarze, jego chciwości i braku zainteresowania śmiercią Bárðura wzbudza w chłopaku taką wściekłość, że na chwilę niknie cała jego wstydlivość i podchodzi do lady, przy której Helga zamawia towary. Mówi cicho, ale zdecydowanie, w jej zachowaniu nie ma ani śladu wahania, nie mówiąc już o słabości.

Ach, ile to różnych rzeczy jest na tym świecie.

Niektórzy potrafią stać w ten sposób przy ladzie i mówić bez wahania, poproszę to i to, a sprzedawca posłusznie realizuje zamówienie. My zaś musimy zapytać, czy będzie dobrze, jeśli weźmiemy jeszcze to i tamto, i że byłoby cudownie dostać garść rodzynek i, daj Boże, duńskich cukierków! Uśmiechamy się potem do człowieka za ladą, przerażeni, że zaraz wyciągnie dużą czarną księgę z czerwonym grzbietem, w której zanotowane jest wszystko, co wzięliśmy, wszystkie nasze długi wobec społeczeństwa i pojedynczych ludzi, zapisane w jednoznacznych liczbach, z którymi nie sposób dyskutować. Zginasz się w pokłonie. Większość z nas ma wiecznie długi wobec dużych sklepów i, rzecz jasna, wobec życia, ale ten dług da się spłacić śmiercią. W przypadku sklepu Tryggviego sprawa nie jest prosta.

Tu grzechy przodków obciążają kolejne pokolenia, bo nawet jeśli śmierć to wielki sukinsyn, to jej władza nie sięga ksiąg rachunkowych. Jeśli umrze mąż, płaci jego żona, dzieci, rodzice. To nie ma nic wspólnego z grozą, to po prostu

interes, taka jest rzeczywistość. Sklepy Lea i Tryggvie-go są tak potężne, że całe Plássið żyje dzięki nim i razem z nimi może upaść. Porządne i sumienne prowadzenie tego interesu utrzymuje tu wszystko w ruchu, nie pozwala nam utonąć. Zaniedbania w rachunkach, ustępliwość, i już po nas, Plássið i jego mieszkańcy idą na żebry. Friðrik mówił o tym wiele razy i nie sprzeciwiliśmy się mu, chyba że po cichu, tak jak zanosimy nasze modlitwy. Większość przedstawicieli lokalnej władzy jest u niego na garnuszku, a raczej w jego cieniu, i rzadko podejmuje decyzje bez uprzedniego porozumienia z nim. Ale Helga nie musi się kłaniać i uśmiechać niepewnie. Po prostu sięga do kieszeni i płaci gotówką. Ci, co są w sklepie, niektórzy, żeby zrobić zakupy, inni, żeby po prostu zabić czas, czekali na ten moment od chwili, gdy Helga weszła. Pieniądze wypłacane od ręki to wymarzona ośłoda chwili. Dodaj jeszcze dwie skrzynki piwa, mówi Helga do sprzedawczynie, która odwraca się do kolegi, samego brodacza. Ten kłania się nisko i mówi: oczywiście, musimy tylko znaleźć je w magazynie. Zajmiemy się dostarczeniem ich do gospody. Patrzy najpierw na sprzedawczynię, Ragnheiður, która jest, ni mniej, ni więcej, tylko córką Friðrika, potem na Helgę i uśmiecha się uprzejmie. Więc je znajdźcie, mówi niemal chłodno Helga, nawet nie patrząc na brodacza. Uśmiech znika z jego twarzy, mówi: oczywiście, znajdziemy je, i patrzy na dwóch stojących z boku i przyglądających się sprzedawców. Otrząsają się i znikają w magazynie.

Ponownie odzywa się dzwonek, a do środka wchodzi wysoka, szczupła kobieta. Ma brązowe oczy, dokładnie takie jak ten, który zamarzył na śmierć z powodu wiersza.

Witaj, Þórunn, mówi Helga i uśmiecha się. Þórunn odwzajemnia uśmiech, podchodzi do Helgi i obejmuje ją. Chłopak jest zaskoczony widokiem Helgi tak radosnej, ale szybko znowu staje się niepewny i zagubiony, bo obie kobiety podchodzą do okna, żeby porozmawiać, a on zostaje sam przy ladzie. Ragnheiður i brodacza, który nazywa się Gunnar, patrzą na niego, a potem Ragnheiður schyla się po szklankę z wodą. Gunnar i chłopak patrzą, jak podnosi szklankę do ust i ją opróżnia.

Pije powoli. Przelyk porusza się w jej bladej szyi niczym senne zwierzątko.

Cichy dźwięk dzwonka dobiega do nich z działu z alkoholem. Gunnar klunie po cichu, otwiera usta i chyba chce coś powiedzieć do Ragnheiður, ale rezygnuje. Ona z kolei nie spuszcza wzroku z chłopaka, tak jakby z ciekawości nie mogła

tego zrobić. Gunnar rzuca na niego okiem z ponurym, wrogim wyrazem twarzy i posłuszny dzwonkowi idzie do działu z alkoholem.

To kapitan Brynjólfur postanowił skorzystać z okazji, gdy oczy wszystkich skupiły się na Þórunn i Heldze, i wślizgnąć się do działu z alkoholem. Nieostrożnie poruszył jednak dzwonkiem i teraz pod ciężkim spojrzeniem Gunnara przestępuje niespokojnie z nogi na nogę. Deski w podłodze skrzypią pod stopami kapitana. Tylko Bóg może powalić Brynjólfura, mówimy czasem, bo przetrwał już wszystkie sztormy na oceanie, gdy zdawało się, że niebo rozerwie się za chwilę na kawałki, a fale wznosiły się dziesiątki metrów ponad statkiem, gdy powietrze przepełniały jęki i huk, gdy z pokładu znikало wszystko, co nie było przytwierdzone, ludzie w kajutach rzucaani byli z jednej strony na drugą, a statek napemniał się wodą i wszystko przemakało. Wtedy to Brynjólfur stoi pewnie na nogach, z uśmiechem na twarzy trzyma ster i śmieje się w otwartą paszczę oceanu. Wrzeszcząc z radości, z szalonego szczęścia. Ale w czasie takiego sztormu, zwiastującego koniec świata, nie słycać nic, poza wściekłym wyciem wiatru i dźwiękiem rozbijających się fal, które opadają na statek trzęsący się każdą deską. Nawet najbardziej doświadczeni marynarze załamują się wraz z falami, płaczą ze strachu i poczucia bezbronności w swych kajutach, ale Brynjólfur z lodowatym spojrzeniem stoi przy sterze. Ci, którzy odważyli się w takiej chwili wyjść na pokład i widzieli go wśród przyboju, potwierdzają, że jego twarz wyrażała szczęście, niemal pogańskie szczęście, powiedział kiedyś stary marynarz. Ale, rzecz jasna, czym innym jest stawić czoła groźbom sił natury, a czym innym mieć ochotę na piwo. Mieć na piwo tak piekielnie wielką ochotę, że czuje się prawie ból, ale mieć też takie długi wobec sklepu, że jest się całkowicie zależnym od humorów Gunnara. Ten Gunnar jest nieobliczalny. Brynjólfur postanawia użyć uprzejmości: miło byłoby dostać u ciebie ze cztery albo pięć butelek piwa, drogi Gunnarze, mówi. Jego twarz przybiera łagodny, niemal pobożny wyraz, by ukryć, że zazwyczaj niewiele ma wspólnego z uprzejmością.

A co chcesz zrobić z piwem, pyta krótko Gunnar i patrzy ironicznie na kapitana. Brynjólfur śmieje się ostrożnie, tak jakby trzymał w rękach ładunek wybuchowy. No właśnie, odpowiada, starając się brzmieć po kumpelsku, co można zrobić z piwem!

Co można zrobić z piwem; tak jakby świat kręcił się tylko wokół picia albo niepicia piwa, jakby to było takie proste.

Ragnheiður przygląda się chłopakowi bezwstydnie, jakby obmacywała go wzrokiem, a on zupełnie nie wie, co ze sobą zrobić.

Co miałyby na przykład zrobić ze swoimi rękami, długimi i brzydkimi, które bez przerwy stają mu na drodze?

Co miałyby zrobić ze swoimi głupimi oczami?

Albo z tymi groteskowymi stopami?

Coś ty za jeden? pyta Ragnheiður, po tym jak chłopak cierpi przez kilka sekund, a każda z nich wydaje mu się długa jak stulecie. W jej głosie słychać zaciekawienie, ale i poczucie wyższości. Chłopak musi zebrać siły, żeby móc spojrzeć na Ragnheiður, i robi to, zbiera siły i patrzy na dziewczynę. Dwa kasztanowobrązowe kosmyki włosów opadły jej wzdłuż skroni. Oczy ma szare jak skały w niektórych miejscach. Trudno w nie patrzeć, ale równie trudno nie patrzeć. Jest ładna, myśli chłopak zaskoczony.

I ma najświętszą rację.

Ragnheiður pracuje w sklepie od trzech lat. Najpierw mówiliśmy, no tak, córka Friðrika, oczko w głowie, księżniczka. Szybko jednak przestaliśmy, bo okazało się, że w pewien sposób nie jest niczyją córką, chyba że swoją, a decyzje podejmuje bez uzgadniania ich z ojcem. Niektórzy boją się jej nawet bardziej niż Friðrika. Odmawiała ludziom zakupów na krechę nawet w środku zimy, gdy chłód przenikał ich domy i zamarzało wszystko, co mogło zamarznąć, rzeczy płynne i ulotne jak nadzieja, a wszystko, co dało się zjeść, zostało zjedzone. Ragnheiður wskazywała wtedy po prostu na znaczne zadłużenie i nadmierne zaległości w płaceniu za słodycze, tytoń, znowu tytoń, wódkę, suszone figi, i przewiercała nieszczęśnika wzrokiem. Jej głos potrafi być ostry jak miecz i rozcina głowy zahartowanych na oceanie dorosłych mężczyzn, aż do ramion. A ma przecież tylko dwadzieścia jeden lat i życie pulsuje w niej czasami.

Chłopak wyczuwa w niej jakąś twardość i chłód, ale pociąga go to straszliwie i niewytłumaczalnie. Królowa śniegu, myśli i zatracą się całkiem w jej oczach, zapomina o wszystkim, poza szarymi jak skała oczami w drobnej twarzy, otoczonej kasztanowobrązowymi włosami. Ragnheiður pochyla się lekko i pyta: a może jesteś niemową? Czyżby Geirþrúður przygarnęła niemowę, bo do tej pory miała tylko ślepcę? Chłopak czuje, że czerwienieją mu policzki. Powiedz coś, głupku, nakazuje sobie, nie można wyjść na półgłówka, nawet jeśli się nim jest. Jest na dobrej drodze, by stać się czerwony jak burak. Odwraca wzrok

i kieruje go na „Wolę Ludu”, naszą gazetę, która leży złożona na ladzie. „Bałtyk nadal skutny lodem”, czyta na pierwszej stronie, „«Laura» z towarami i przesyłkami na Islandię nadal trzymana przez lód”. Trzymana przez lód ze wszystkimi listami od studentów z Kopenhagi, niektórymi tak gorącymi od tęsknoty za domem i od wyznań miłosnych, że wystarczyłoby tylko wywiesić je na dziobie statku, by stopić pokrywę lodową i utorować statkowi drogę. Coś w chłopaku się budzi. Spogląda ponownie na Ragnheiður i mówi tak cicho, że ta musi się pochylić, by to usłyszeć: ja po prostu nie wiem, kim jestem. Nie wiem, po co jestem. I nie jestem wcale przekonany, że starczy mi czasu, by się tego dowiedzieć.

Dlaczego, do cholery, to powiedziałem, myśli ogłupiały i chciałby nie patrzeć zbyt na białe piersi, lekko odsłonięte w chwili, gdy Ragnheiður się pochyliła. Ragnheiður wyprostowuje się, jej twarz przybiera wyraz niepewności, ale po chwili, niespodziewanie, między jej wargami ukazuje się koniuszek języka, czerwony i błyszczący od wilgoci.

Koniuszek języka, który ukazuje się w ten sposób, musi nieść jakieś przesłanie z wewnątrz, z wnętrza mroku ciała.

Do diabła, myśli chłopak.

Szare jak skała oczy przesuwają się powoli, bardzo powoli, wzdłuż jego ciała. Są jak niewidzialne ręce, które głaszczą, sprawdzają, dotykają, znajdują. Potem dziewczyna uśmiecha się. To przemyślany, protekcyjny uśmiech, ale wydaje się, że niemal niewidocznie drży, gdy dziewczyna mówi: powinieneś sprawić sobie porządne ubranie. I powinieneś stać prosto, wtedy łatwiej byłoby mi z tobą rozmawiać. Ale ani się waż zaczepiać mnie na ulicy!

I oto nie ma między nimi nic, poza ladą.

Chłopak nieświadomie podszedł bliżej, chciał poczuć jej zapach. Gdy nie myślimy, stajemy się odważniejsi. Wahanie i nieśmiałość pojawiają się wraz z myśleniem. Chłopak jest jak zwierzę, podchodzi do niej tak blisko, że słyszy jej oddech. Koniuszek języka ukazuje się ponownie, bardzo szybko, z przesłaniem z mroku dla chłopaka. Potem Ragnheiður robi krok do tyłu, oczy stają się zimne i protekcyjne, a między nią i chłopakiem wyrastają góry lodowe.

Þórunn to dobry człowiek i odpowiednie towarzystwo dla naszej Geirþrúður, mówi Helga do chłopaka po wyjściu ze sklepu. Helga ma tylko jedną torbę, on cały ładunek, wdzięczny za ciężar, jaki niesie. Ten, kto dźwiga ciężary, może się zapomnieć w wysiłku, uspokoić myśli, a niepewność nie rozerwie go w tym czasie na strzępy. Niepewność co do życia, tego, co będzie dalej, co do siebie samego, a teraz także Ragnheiður, dziewczyny z szarymi jak skała oczami, koniuszkiem języka, piersiami, w niepojęty sposób pociągającej w swojej arogancji i chłodzie, chłodzie Oceanu Arktycznego. Dlaczego dałem się porwać lodowej po krywie?

Dobry człowiek i odpowiednie towarzystwo, mówi Helga o Þórunn i chyba chce dodać coś jeszcze, być może opowiedzieć chłopakowi coś o tej Þórunn, a chłopak nie może wyjść ze zdumienia, jak otwarta i nieomal gadatliwa się zrobiła.

W tym momencie słyszą jednak zbliżające się ciężkie kroki. Dobrze jest dźwigać coś ciężkiego, mówi niski, dźwięczny głos i Brynjólfur, wyprzedzając chłopaka, klepie go mocno po ramieniu. Kapitan ma w kieszeniach trzy butelki piwa, życie jest piękne. Cztery albo pięć butelek uczyniłoby je jeszcze piękniejszym, ale Gunnar był tak cholernie nieobecny i małowówny, że nie udało się poprosić go o więcej. Brynjólfur kłania się Heldze wesoło i chce przejść obok niej, ale ta zatrzymuje go gestem ręki. Wybija go to z rytmu, sięga mimowolnie do kieszeni po butelkę, otwiera ją i pociąga łyk.

Czy nie powinieneś już być na statku i doprowadzać go do ładunku? Helga bardziej stwierdza, niż pyta. Inni kapitanowie wypłynęli swoimi statkami dużo dalej, a twój stoi nadal przy nabrzeżu, a ty włóczysz się po sklepach i pijesz piwo. Nieładnie wobec Snorriego.

Brynjólfur podnosi rękę, jest w niej wielka, ogromna siła, ale można też unieść ją łagodnie, a otwarta dłoń przypomina uśmiech.

Helga prycha tylko, a Brynjólfur mówi, nieco zbyt gorliwie: zacznę dziś, moja droga, zacznę dziś!

Chciałabym, żebyś dotrzymał słowa, mówi Helga i odchodzi, a chłopak za nią.

Brynjólfur mruga do niego okiem, pociąga jeszcze łyk, robi parę kroków za nimi, ale potem skręca w inną ulicę. Helga i chłopak idą w stronę domu Geirþrúður. On wdzięczny za to, że może dźwigać ciężary, stara się nie myśleć o Ragnheiður, jej piersiach, które nachyliły się w jego stronę, o koniuszku języka błyszczącym od wilgoci, o szarych jak skała oczach, chłodnych i nieobecnych, a jednak tak pociągających. Ona jest jak góra lodowa, myśli chłopak, góra lodowa z niedźwiedziami polarnymi, które mnie pożrą. Ale gdy wreszcie udaje mu się wypchnąć ją z umysłu, nachodzi go pytanie o życie, o to, czy ma żyć, a jeśli tak, to po co i czy sobie na to zasłużył.

Ach, niepewność to ptak, który krąży wyczekująco nad jego głową.

Powinniśmy teraz zostawić go na chwilę. Niech pobędzie sam na sam z ciężarem, w spokoju, a my pójdźmy za Brynjólfurem, który wolnym krokiem zmierza w stronę sklepu Snorriego.

Człowiek, który ma przy sobie trzy butelki piwa, nie musi się na tym świecie nigdzie spieszyć.

Jeśli idziesz do sklepu Snorriego z centrum najkrótszą drogą i nie zbaczasz nigdzie, to zajmie ci to około pięciu minut. Ale teraz to zbyt krótki czas, bo przecież tak dobrze jest pić piwo, po prostu niewiarygodnie dobrze. To, co przed chwilą wydawało się trudne i nie do przejścia, teraz staje się łatwe jak dziecięca zabawa. Zaczę przygotowywać statek, Brynjólfur mówi głośno do siebie, oznajmia światu swoją decyzję i bije się w pierś, potężne uderzenie po to, by uderzyć się w pierś, ale także po to, by dodać sobie odwagi. Najpierw pójdzie do Snorriego i ustali z nim to, co najpilniejsze. Ułożą plan, nacieszą się nim razem przez chwilę, może napiją czegoś mocniejszego, a potem weźmie lampkę i wejdzie na pokład statku, obudzi go z głębokiego zimowego snu, spędzi z nim trochę czasu sam na sam, a następnego ranka wezwie załogę. Tak! Brynjólfur uderza się znowu w pierś, zadowolony, pewny siebie, jedyny kapitan, który nie zaczął jeszcze przygotowywać statku do połowów. Inni są już znacznie dalej i wkrótce wypłyną, a statek Brynjólfura i kupca Snorriego śpi nadal przy nabrzeżu, bez ruchu, jak ptak, który nie potrafi latać. Brynjólfur nawet nie spojrzął w jego stronę, mimo że Snorri prosił go już o to dwa razy, na swój niepewny, przeprasający sposób, który oczywiście na nic się zdaje, gdy trzeba pogonić ludzi. Niedobrze, bo interes stoi na chwiejnych nogach, a długów odnotowuje więcej niż przychodu. Dłużnicy to przede wszystkim prości ludzie ze starej dzielnicy, marynarze, komornicy i kilku rolników. Niektórzy mają rzeczywiście kłopot z płaceniem, ale inni nie wysilają się i świadomie, albo i nie, wykorzystują niezdecydowanie Snorriego, jego dobroduszość, której chętnie by się wyzbył, ale próbuje bezskutecznie. Dobroduszość jednych może wywoływać nieuczciwość u innych. Najprzyjemniejsze chwile dla Snorriego to czas, który spędza, grając na starej harmonijce. Lubi też śpiewać w kościele, w Wigilię, w Wielkanoc, w noc świętojańską. Śpiewa wtedy na chwałę jasności, jak zwykł mawiać wielebny Þorvaldur. A ci, którzy są jego dłużnikami, niektórzy od wielu lat, wstydzą się trochę, ale jest to przypadłość, która znika w dni powszednie. Sklep Snorriego zależy od tego, czy statek łowi, Brynjólfur wie o tym doskonale i być może dlatego, skręcając w Skólagata, bije się w piersi po raz trzeci. Wie,



że powinien być dużo dalej z przygotowaniami do wypłynięcia. Statek nazywa się „Nadzieja”, ładne i jasne imię. To piętnastoletni statek, który Snorri kupił jako nowy w Norwegii. Na początku nazywał się „Jón Sigurðsson”, na cześć ważnego bohatera walk o niepodległość Islandii, ale Snorri kazał po jakimś czasie wciągnąć go na brzeg i zamówił malarza Bjarniego, by ten na kadłubie namalował na czerwono nazwę „Nadzieja”. Kilka dni wcześniej żona Snorriego popłynęła „Thyrą” do Reykjavíku. Była tak osłabiona chorobą, że trzeba ją było wnieść na pokład. Snorri oczywiście popłynął razem z nią, ale musiał wrócić najbliższym statkiem, żeby dopilnować interesu.

Mijały miesiące.

Jens, wtedy początkujący listonosz, przywoził listy od niej, ale z upływem lata stawały się coraz krótsze, pismo zaś słabsze i mniej wyraźne. Snorri próbował rozszyfrowywać nierówne, krzywe litery, a pismo wskazywało na słabnącą wolę życia. „Och, jest mi teraz trochę ciężko”, mówił list z początku sierpnia. To były pierwsze narzekania, jakie od niej usłyszał. „Budzę się czasem i czuję, że mam zimne ręce. Są zimniejsze niż lód i z każdym dniem chłód coraz bardziej zbliża się do serca. Kochany Snorri, jeśli wydarzy się najgorsze, jeśli Bóg wezwie mnie do siebie, wtedy musisz być silny. Nie wolno ci się załamać. Pomyśl o naszych chłopcach. Wierzę, że zadbasz o ich naukę, tak jak zawsze tego chcieliśmy... nie mogę już więcej pisać... mój ukochany mężu”. A może tylko mu się zdawało, że na końcu listu było napisane „mój ukochany mężu”? Taka otwartość byłaby do niej zupełnie niepodobna, takie jawne wyrażenie miłości. Snorri zamknął się w swoim biurze, by móc płakać i by nikt tego nie zauważył. Statek pływający wzdłuż wybrzeża na południe będzie tu dopiero za dwa tygodnie, a tak długo Snorri nie mógł czekać. Życie nie trwa tak długo. Dobrzy ludzie pożyczyci mu dwa konie i ruszył z kopyta, najprostszą drogą, w głąb fiordu i w górę do Tungudalur. Konie silne, gotowe do drogi, a on na ich grzbiecie niczym okrzyk rozpaczy.

Jeśli Bóg wezwie mnie do siebie.

Snorri wrócił miesiąc później. Był wrzesień. Na wyżynach natrafił już na zimową pogodę, ale w dolinie przywitało go słońce, śpiew ptaków, brak wiatru i piętnaście stopni. Oddał konie, podziękował im, klepiąc je po karkach, a one otarły się o niego swoimi wielkimi łbami, i wrócił do siebie, by zadbać o wychowanie chłopców i interesy. Długo nikt nie miał odwagi rozmawiać z nim o czymś innym niż tylko sprawy codzienne, z którymi język łatwo sobie radzi.

O rybach, sklepie, pogodzie. Najbliżej podchodzili ci, którzy mieli coś wspólnego z muzyką i tym samym jakiś związek ze Snorrim, ale to i tak nie było zbyt blisko. Jens wiedział oczywiście więcej, ale uznał, że nie ma powodu rozpowiadać o tym ludziom, a ci szybko się zorientowali, że wyciąganie z niego czegokolwiek jest ryzykowne, bo wtedy jego twarz robiła się ponura, a wielkie dłonie zaciskały w pięści. Ludzie szybko zmieniali temat. Nie znamy więc szczegółów, wiemy jednak, że Bóg musiał wezwać ją do siebie. Niektórzy są posłuszni Jego głosowi, podczas gdy my, którzy błakamy się, martwi, a jednak żywi, słuchamy go, słuchamy, ale nie słyszymy. A Bóg przemówił do niej. Położył na niej swoje dłonie, tam gdzie ból był największy, na ręce najzimniejsze, a gdy na zajeżdżonych koniach Snorri przybył do Reykjavíku, wyczerpany i bez sił, jego żona Aldís powitała go całkowicie uleczona. Ból minął, bił od niej przedziwny blask. Snorri czuł się wobec niej onieśmielony, pomiędzy nimi wyrosło coś nie do przebycia i nic nie było już takie jak dawniej. Snorri próbował wszystkiego, by skłonić ją do powrotu do domu, ale cóż znaczą słowa człowieka, gdy przemawia Bóg? Trzy tygodnie później wrócił do domu, a Aldís popłynęła do Kopenhagi, by czynić to, co kazał jej Bóg.

Każdego roku Jens przywozi dwa listy od Aldís. Nie przechodzą one przez ręce lekarza Sigurðura, bo Jens przywozi je Snorriemu prywatnie i osobiście. Te pięknie napisane listy przepełnione są bożą radością, która rozjaśnia twarz kupca i jego mocno posiwiałą brodę. Ale każdy blask rzuca cień, tak to już jest, a Snorri żyje w cieniu blasku Boga, bo zamiast się radować razem z Aldís, tęskni za nią i ma żal do Boga, że mu ją odebrał. Zdaje sobie sprawę, jak wielka i grzeszna jest jego niewdzięczność. Będę się za to smażył w piekle, myśli czasem ze skruczą. Prawie codziennie gra na organach. Bacha, Chopina, Mozarta, ale także improwizuje o tęsknocie i poczuciu winy. Ta muzyka jest niepodobna do niczego innego. Jest deszczem, który spada na pustynię, blaskiem słońca, które rozświetla serce, i nocą, która nas pociesza. Muzyka łączy ludzi i dlatego też Snorri nie zawsze jest samotny. Nie jest samotny, gdy naciska pedały organów, gdy przesuwają smyczkiem po strunach starych skrzypiec, których najwyższe tony są tak czyste i ostre, że mogłyby przeciąć ludzkie serce. Czasem odwiedza go Bene-dikt, pamiętacie, sternik, który dał znak do wypłynięcia, podczas gdy na brzegu gospodyni czekała na sygnał trąbki, a dookoła zgromadzonych było trzystu marynarzy. Z powodu muzyki odwiedza

go jeszcze więcej ludzi, kobiet i mężczyzn, ale człowiek może siedzieć w otoczeniu wielu ludzi, a mimo to być samotny. Snorri żyje przede wszystkim dla chłopców. Są nadzieją, która trzyma go na powierzchni, obaj się uczą, jeden zbliża się już do końca i zamierza zostać księdzem, a drugi chce osiągnąć więcej, popłynąć do Kopenhagi i studiować weterynarię. Latem mieszkają u ojca i wtedy Snorri ponownie odnajduje radość. To dla nich zajmuje się sklepem, prowadzi męczącą walkę, by go utrzymać. Kształcenie chłopaków kosztuje, dziewczyny są tańsze, mają mniej możliwości nauki. W ogóle mają mniej możliwości i gdy wychodzą za mąż, tracą niezależność.

Brynjólfur wzdycha cicho. Nie z powodu dziewcząt i ich ograniczonych możliwości, lecz z powodu odpowiedzialności, jaka na nim ciąży, i wyrzutów sumienia, dwóch ptaków, które siedzą mu na ramionach i wpijają się w niego głęboko szponami. Ale wszystko jest na dobrej drodze, naprawdę! Za trzy, cztery godziny wejdzie z lampką na pokład „Nadziei”, zacznie z nią rozmawiać, przygotowywać ją. Rano skrzyknie zniecierpliwioną załogę, a potem koniec z objaniem się! Brynjólfur jest zadowolony, otworzył drugie piwo, trzecie wyczuwa w prawej kieszeni. Wkrótce je wypiję, myśli uśmiechnięty, przechodząc obok szkoły zbudowanej swego czasu przez dwu braci, stolarza Jóna i cieślę Nikulása, zwanego Núllim. Wysoki, wąski budynek, z frontu z trzema wielkimi oknami na piętrze, tak wielkimi, że wydaje się, jakby budynek zawsze miał szeroko otwarte oczy ze zdziwienia. Szkoła miała mieć tylko jedną kondygnację, ale nie umiemy trzymać się ustaleń. Poza tym Núlliemu i Jónowi bardzo podobało się budowanie szkoły. Obaj w dzieciństwie marzyli o tym, by chodzić do szkoły, i mawiali często do siebie: budujemy dla dzieci, budujemy dla przyszłości. Niech ich świat będzie lepszy od naszego. Dlatego właśnie dodali jeszcze jedno piętro. Jest nieco niższe i wydaje się, że szkoła nie tylko patrzy szeroko otwartymi oczami, ale też że bierze głęboki oddech. Na początku lokalne władze nie chciały oczywiście zaakceptować ich projektu i dały za mało pieniędzy, ale bracia mieli jeszcze nieruszone pieniądze za wieżę postawioną dla Norwega Eliása, wielki dom, który stoi w centrum. Po raz pierwszy dostali wtedy zapłatę w gotówce. Schowali pieniądze w domu i ani nie mieli ochoty, żeby je wydać, ani nie mogli znaleźć godnego celu. W końcu jednak znaleźli odpowiedni i zajęli się budową szkoły. Na dodatek mieliśmy wyjątkowe szczęście; niedaleko przycumował w drodze do Akureyri statek z norweskim drewnem. Schował się przed sztormem, ukrył w fiordzie, tej otwartej na Ocean

Arktyczny paszczy, i już nigdy z niej nie wypłynął. Ciał dwóch tych, którzy utonęli, nigdy nie odnaleziono. Dołączyli do dużego grona marynarzy, którzy wędrują po dnie oceanu i narzekają, że czas płynie tak powoli, i czekają na ostatnie wezwanie, które ktoś kiedyś im obiecał. Czekają, aż Bóg ich wyłowi, uniesie do swego królestwa niebieskiego, osuszy ciepłym oddechem i pozwoli wejść suchą stopą do nieba. Tam nigdy nie karmią rybami, mówią topielcy, zawsze tak samo pełni nadziei, zabijają czas, zaglądając pod łodzie, dziwiąc się najnowszemu sprzętowi do połowu, przeklinając śmieci, które człowiek zostawia po sobie. Czasem jednak płaczą z tęsknoty za życiem, płaczą tak, jak mają w zwyczaju topielcy. Dlatego też morze jest słone.

Smutne, że tamci marynarze musieli utonąć, ale drewno okazało się cennym darem, który wykorzystano do budowy piętra szkoły.

Núlli zmarł zaraz po tym, jak wbił ostatni gwóźdź. Bum, słyhać było, gdy wbijał gwóźdź, bum zrobiło jego serce, a potem nie było już nic słyhać. Opadł powoli przed siebie, czołem dotknął ściany obok wystającego z niej gwoździa, który nadal z niej wystaje, na pamiątkę po dobrym cieśli, dobrym chłopaku. Gwóźdź wbity jest tak wysoko, że możemy na nim zawiesić tylko krople deszczu i pajęczynę. Niewiele da się powiedzieć o życiu Núlliego, minęło bez wielkich wydarzeń, nie ma zbyt wielu historii o nim. Nie byłoby więc łatwo go wspominać, a mimo to po jego śmierci długo odczuwaliśmy pustkę. Jego brat Jón oczywiście się załamał. Obaj byli kawalerami, rozumieli się doskonale i mieszkali razem, odkąd umarli ich rodzice. Często spotykaliśmy Jóna zapłakanego gdzieś na polu albo z młotkiem przy pracy. Było to poruszające, a my bezradni. Patrzyliśmy tylko, jak marnieje, jak schodzi na psy z żalu, tęsknoty i samotności. Nie będzie przesadą powiedzieć, że był już jedną nogą wśród żebraków, gdy w ruderze, jaką tymczasem stało się mieszkanie braci, odwiedziła go Gunnhildur. Wiesz, ta, co miała dziecko z wielebnyim Þorvaldurem, który nie zdjął nawet sutanny.

Tak, tak, drogi Jónie, powiedziała. Oboje jesteśmy samotni na tym świecie. Ja męczę się z małym dzieckiem, o którym jego ojciec w sutannie nie chce słyheć, nie mam żadnego wsparcia i zupełnie nikogo, z kim mogłabym wieczorami porozmawiać, i nie tylko. I ty też jesteś tu sam, ze swoim dobrym sercem. Potrafisz być bardzo pracowity, ale teraz żal patrzeć na ciebie. Myślę, że z samotności i tęsknoty staczasz się. Nie ma się czego wstydzic, to zupełnie

niepotrzebne. Popatrz, oczywiście możemy oboje męczyć się tak dalej w samotności, dam sobie jakoś radę, z trudem, ale przeżyję i nie przyniosę wstydu swojemu synowi. Nie będzie mi łatwo, a już na pewno nie będzie idealnie. Ale ty, mój Jónie, sam nie dasz sobie rady, taki po prostu jesteś. Pracowity złoty człowiek, ale zbyt wrażliwy. Bóg dał ci dobre, piękne serce, ale całkiem zapomniał dać mu osłonę. Stracisz wszystko, niedługo stracisz dom, potem samodzielność, a w końcu nawet życie. Dlaczego mamy pozwolić, by tak się stało? Co byś powiedział, drogi Jónie, gdybym się tu przeprowadziła...

Gunnhildur rozejrzała się dookoła. Jón siedział na rozklekotanym krześle i nie mógł oderwać od niej wzroku, od tej masy piegów.

...do tej twojej nory i razem zamienilibyśmy ją w przytulny dom? O miłości nie ma oczywiście mowy, przecież ledwie się znamy, ale jestem pewna, że będziemy się nawzajem lubić, a to już niemało. Czuję, że bez trudu cię polubię, jesteś przecież niezwykle dobry, i popatrz na ten błękit twoich oczu. Można się całkiem w nim zatracić! Ja z kolei nie jestem tak dobra jak ty, jestem przecież cholerną zdi-rą, nie tak całkiem jednak złą. Potrafię być pracowita i bardzo szczerą. Co ty na to, kochany Jónie? Mogę być osłoną twojego serca. Mój syn nie jest ochrzczony, księżulo o dziwo wcale mnie za to nie ciąga, ale teraz przyszło mi do głowy, że Nikulás to byłoby dla niego idealne imię. Nazywałyby się Jónsson, jeśli ci na tym zależy. Nie masz może kawy? zaparzę dla nas. Wiesz, jak dobrze się myśli, gdy trzyma się w dłoniach kubek z dobrą kawą. Na ogół nie mówię tak dużo, jestem trochę zdenerwowana, ach tak, tu jest kawa.

Chwilę później w całym domu pachniało kawą. Stolarz Jón mógł ją pocałować w usta, a ona wzięła się do sprzątania i odebrała dziecko od przyjaciółki. Nie możesz spać? spytała Gunnhildur w środku nocy. Wstała do dziecka, ukołysała je do snu i zauważyła, że Jón nie śpi, leży z szeroko otwartymi oczami i nie ma odwagi ich zamknąć.

Nie możesz spać?

Nie, właściwie nie, powiedział przepaszająco. Czy to z powodu małego? Chcesz, żebyśmy spali w jadalni? Zaraz się przeniesiemy! Odsunęła kołdrę i już prawie wstała z łóżka, gdy Jón delikatnie położył jej na ramieniu swoją spracowaną rękę stolarza i powiedział nieśmiało: nie, nie odchodź.

Brynjólfura przechodzi dreszcz. Zamyślił się, oparł o uliczną latarnię, patrzył na szkołę i pozwolił myślom szybować. Powietrze było chłodne i można było zmarznąć, gdy się stało dłużej bez ruchu. Potem zgasła latarnia. Stróż nocny

Bárður pilnuje nocą naszych latarni ulicznych i gasi je, gdy ich światło nie jest już potrzebne. W Plássið nie ma zbyt wielu latarni, a odległość między nimi jest duża. Latarnie są właściwie jak życie: kilka jasnych chwil rozerwanych na strzępy przez mroczne dni. Brynjólfur wzdraga się, chrząka, spluwa i rusza dalej. W pobliskim domu kaszle dziecko. Ciężki, długi kaszel. Dobry Boże, czuwaj nad tym życiem, prosi Brynjólfur, a potem, pozdrowiwszy je, uśmiecha się do dwóch służących, które mijają go, niosąc wiadra do studni z nadzieją, że stróż Bárður wypełnił swój obowiązek i usunął nocą lód z jej pokrywy. Na ich widok Brynjólfura ogarnia niezrozumiała radość, tak wielka, że staje i rozkłada ramiona, tak by w objęciu zmieścić obie kobiety. Gdybym nie był żonaty, mówi, pocałowałbym was, a potem się z wami ożenił! Kobiety uśmiechają się, słysząc jego słowa i widząc szyjkę butelki w kieszeni kapitana.

Czy jesteś dostatecznie mężczyzną, by podołać dwóm kobietom? pyta jedna z nich, Bryndís, która straciła dwóch mężczyzn na oceanie i z trudem wychowuje trójkę dzieci.

Powinnyście to wiedzieć, mówi Brynjólfur, śmieje się i łapie za krocze.

Tak, tak, odpowiada Bryndís, ale rozmiar to nie wszystko.

Druga kobieta chichocze, a potem obie odchodzą.

Brynjólfur odwraca się za nimi. Bryndís jest prawie o głowę wyższa, połączenie godności, zwinności i napięcia w chodzie. Kocham ją, myśli Brynjólfur ze zdziwieniem i kładzie dłoń na lewej piersi, jakby chroniąc serce przed tym, by nie wyrwało się i nie pobiegło za Bryndís. Jego serce było kiedyś dla Ólafii, jego żony, z którą mieszkał razem tak długo, że teraz nawet nie chce o tym myśleć. Zamiast tego przygląda się, jak Bryndís odsuwa pokrywę studni. Cudownie jest przyglądać się tej kobiecie, to prawdopodobnie najpiękniejsza rzecz w życiu. Ale oto napełniła już wiadra, uśmiecha się do Brynjólfura i zaraz odchodzi.

Brynjólfur otwiera ostatnią butelkę, skręca ze Skólagata w Gamli Stigur i dociera do dzielnicy, w której stoją najstarsze domy w Plássið, różnej wielkości domy z drugiej połowy osiemnastego wieku. Mieszkańcy to prości marynarze oraz rzemieślnicy, niektórzy trzymają na podwórku strachliwe kury. Domy stoją tak blisko siebie, że prawie się dotykają. Ci, którzy pływali do obcych krajów, widzieli inny świat i budzili się pod nieznanym niebem i pośród nieznanego języka, powiadają, że w swych najlepszych czasach stara dzielnica przypominała tamte miasta z niezliczoną ilością wąskich, krętych uliczek. Ludzie z lepszych

sfer zaś unikają tej okolicy, dlatego wielkie wzburzenie, jeśli nie skandal, wywołał dyrektor szkoły Gísli, brat kupca Friðrika i wielebnego Þorvaldura, gdy kupił tu niewielki domek i się do niego wprowadził. Stara dzielnica nie jest właściwym miejscem dla dyrektora szkoły, zwłaszcza dla człowieka z tak zacnej rodziny. Ale Gísli czyta francuskie wiersze, a niektórzy francuscy poeci są szaleni, mówią o rzeczach podejrzanych i pewnie dlatego Gísli nie zawsze chodzi utartymi ścieżkami. On i Brynjólfur kilka razy wylądowali w Bifröst, gospodzie Marty i Agústa, która przez wielu nazywana jest Sodomą i leży na obrzeżach starej dzielnicy, prawie przy samym brzegu. Dobrze tu przyjść, strasznie dobrze, wybełkotał Gísli, gdy razem z Brynjólfurem spędził tam całą noc, słabe światło poranka wpadało do środka przez małe okno, a pijana w sztok Marta siedziała mu na kolanach.

Brynjólfur sący piwo, chciałby opróżnić butelkę jednym haustem, ale zmusza się, by poczekać. Dobrze jest umieć się opanować, mamrocze i zaczyna myśleć o Bryndís. Czyżbym ją kochał? Ta myśl zadziwia go i wzrusza. Ona jest taka stanowcza, taka silna, trudno pojąć, jak sobie radzi, sama z trójką dzieci. Lárus, naczelnik okręgu, zamierzał swego czasu porzucić dla niej rodzinę, ale udało jej się w jakiś niewytłumaczalny sposób odwieść go od tej decyzji. Czasem zdaje się, jakby było w niej coś niezemskiego, coś, co przyciąga do niej i już wielu różnym mężczyznom zamieszało w głowie.

Drugi mąż Bryndís pływał na sześciuosobowej łodzi razem z jej bratem i ojcem, którego Brynjólfur bardzo dobrze znał. Byli przyjaciółmi od dzieciństwa, a teraz on nie żyje.

To przypomnienie powstrzymuje nogi Brynjólfura. Przyjaciół z dzieciństwa nie da się zastąpić i dlatego Brynjólfur zmuszony jest dopić piwo. Nad przyjaciółmi z dzieciństwa świeci często jasne światło, otacza ich blask i niewinność. Brynjólfur wzdycha nad wspomnieniem o przyjacielu i nad tym, że piwo się skończyło. Oparł się o płot przed małym drewnianym domkiem z przybudówką, która może właściwie być wszystkim, schowkiem, szopą, warsztatem. Zna ludzi, którzy tu mieszkają, marynarz z dużego statku i jego żona, mają pięcioro dzieci, kłócą się nieustannie i obrzucają wyzwiskami. Nikt nie wie, co ich trzyma razem, ale zapewne nigdy nie zrozumiemy tej więzi, która potrafi połączyć dwoje ludzi na całe życie, więzi tak silnej, że nie rozerwie jej nawet nienawiść. Brynjólfur ogląda butelkę po piwie Gammel Carlsberg. Jest przygnębiająco pusta, tak jak przygnębiająco dużo czasu upłynęło od czasów, gdy był dzieckiem.

Brynjólfur patrzy w dół na swoje nogi i mamrocze, no, dalej, a one posłusznie mu ulegają. Idzie powoli i myśli o swoim przyjacielu i jego córce Bryndís, która w jednej chwili straciła wszystkich: męża, ojca i brata. Jej ojciec był sternikiem, a pogoda nie była szczególnie zła. Burzowa, z silnymi falami, łódź miała postawiony żagiel. Ojciec spuścił liny, i w tej właśnie chwili w żagiel uderzył nagły podmuch. Łódź natychmiast się przewróciła. Podmuch, który pojawił się tylko po to, by zatopić sześciu mężczyzn. Spuszczają liny, każdy zamyślony, z nadzieją na bogaty połów, łódź wznosi się i opada, a po chwili wszyscy są w wodzie. Żaden z nich nie potrafi pływać. Przed oczyma stają im wspomnienia, a mężczyźni biją rękoma dookoła siebie, jakby chcieli się czegoś chwycić. Bo chociaż wspomnienia są bardzo cenne, to nie utrzymają nas na powierzchni oceanu, nie uratują przed utonięciem. Kogo sternik miał ratować: syna czy zięcia, a może po prostu samego siebie? Waha się i wahając, tonie.

Brynjólfur idzie powoli ulicami starej dzielnicy. Przychodzi mu do głowy, by zajrzeć do Gísliego, słyszał, że dyrektor znowu pije, ale gdy zbliża się do jego domu, zmienia zdanie i idzie dalej. Chce być sam, z trudem człapie przez śnieg. Lúlli i Oddur jeszcze nie zaczęli tu odśnieżać. Ta dzielnica zawsze odśnieżana jest jako ostatnia. Ci, którzy nie mają wiele do powiedzenia, muszą pogodzić się z tym, że są ostatni. Słabe światło pojawia się ponad domami i wokół Brynjólfura, tak jakby powietrze było zbyt gęste albo trochę zanieczyszczone. Brynjólfur rozmyśla o swoim życiu.

Kto rozumie życie?

Kiedyś wszystko było łatwiejsze, a teraz zrobiło się bardzo trudne. Nie jest już tak miło żyć. Mimo wszystko czasy tutaj bywały cięższe. On i Ólafía byli biedni, mieli na wychowaniu trójkę dzieci, które stale chorowały. Nocami często siedział z jednym z nich na kolanach, ze strachem nasłuchiwał nierównego oddechu i próbował rozpaczliwie utrzymać śmierć z dala od małego, kruchego ciała. I udało się jakoś, wszystkie przeżyły, dwie dziewczynki i chłopak, Jason, który na złość ojcu nie chciał pływać po oceanie. Popłynął tylko raz, razem z młodszą siostrą i swoją ukochaną, do Ameryki, dziesięć lat temu. Powinniście się tu przeprowadzić, piszą w prawie każdym pieprzonym liście, tu się żyje dużo lepiej i można grzać pod słońcem stare zmęczone kości. Moje kości nie są ani trochę zmęczone, mruczy do siebie Brynjólfur. Odejdź, zwraca się w myślach do Ólafii, jak dobrze byłoby się od ciebie uwolnić! Natychmiast jednak gryzie się



w język. Dlaczego nie jest już miło na nią patrzeć? Kiedyś całym życiem było dla niego budzić się obok niej, czuć zapach jej ciała, brać w dłonie jej ciężkie piersi tylko po to, by je trzymać i coś powiedzieć, cokolwiek, i usłyszeć jej odpowiedź. To było takie przyjemne.

Gdzie się podziała ta radość?

Bryndís, szepcze Brynjólfur, próbuje wymówić jej imię głośno, by zrozumieć, by poczuć smak. Och, jak cudownie byłoby znowu kochać, wszystko stałoby się jasne. Bryndís. Miło jest wymawiać to imię, wypuszcza je z siebie, a powietrze drży lekko.

Nie, miłość jest nieobliczalna. Nigdy nie dotrzemy do jej sedna. Mieszkamy z kimś i jesteśmy szczęśliwi, pojawiają się dzieci, spokojne wieczory, wiele codziennych, ale przyjemnych zdarzeń, a od czasu do czasu coś bardziej emocjonującego, i myślimy: takie ma być życie. I wtedy spotykamy kogoś innego, być może nie dzieje się nic specjalnego, po prostu ona mruga okiem i mówi coś zupełnie zwyczajnego, a mimo to już po nas, jesteśmy bez szans, serce nam wali, puchnie, wszystko traci na znaczeniu wobec tej osoby. Kilka miesięcy później mieszkacie razem, stary świat zburzony, budujecie nowy. Czasem jeden świat musi się skończyć, by mógł się zacząć inny.

Uśmiech Brynjólfura blaknie na myśl o Ólafii. Ona patrzy czasem na niego swoimi wielkimi oczami, które przypominają oczy smutnego konia. Zgasłyby całkiem, gdybym zaczął coś z Bryndís. Brynjólfur robi się znowu smutny, idzie dalej, włóczy się po starej dzielnicy, smutny z powodu swojego życia, smutny, że dotykanie Ólafii nie sprawia mu już przyjemności. Nie dlatego, że jej ciężkie piersi straciły sprężystość, że jej ciało wydaje się szare, nie, to coś zupełnie innego, ale on nie wie co. Niepewność to niszcząca siła. Czasem ogarnia go po prostu wściekłość, gdy smutne końskie oczy śledzą go w ich małym mieszkaniu, dlatego też wyszedł wcześniej rano, tak spieszył się z picciem kawy, że poparzył sobie język i teraz go nie czuje. Wymamrotał coś, że ma ważną sprawę, musi się spieszyć, zanim wściekłość wystrzeli na powierzchnię z brzydkimi, raniącymi słowami. Spieszył się, ale nie wymyślił niczego lepszego niż siedzenie w sklepie Tryggviego i gadanie o głupotach, oglądanie towarów, które w ogóle go nie interesowały i które na dodatek doskonale znał, i czytanie „Woli Ludu”, którą pożyczył mu Gunnar. Przeczytał ją gruntownie, ale zapamiętał z niej tylko jedno ogłoszenie: „Zgubiono na ulicy portfel ze złotą dwudziesto-koronówką, kilkoma srebrnikami i miedziakami oraz złotą obrączką ślubną. Uczciwego znalazcę

prosi się o oddanie portfela do drukarni. Przewidziano sowitą nagrodę”.

I Brynjólfur myśli sobie: do cholery, to by dopiero było znaleźć ten portfel i zatrzymać sobie pieniądze. Mógłbym za nie kupić wystarczająco dużo piwa i whisky i nie brać ich na krechę. Ale nie, nie jestem aż tak nieuczciwy, cholernie kiepski byłby ze mnie złodziej. Poza tym ludzie dopytywaliby się, skąd masz tyle pieniędzy? Co miałbym wtedy odpowiedzieć? Brynjólfur idzie przez śnieg wąskimi uliczkami starej dzielnicy i jest smutny. Może powinien zamieścić w gazecie takie ogłoszenie:

„Zgubiono na ulicy sens życia, podobnie jak umiejętność spania, szczęście małżeńskie, uśmiech i radość. Znalazca jest proszony o oddanie ich do drukarni. Przewidziano sowitą nagrodę”.

Nagle staje znowu przed sklepem Snorriego.

Cholera.

To nie powinno iść tak szybko.

Było jeszcze w okolicy trochę nieodśnieżonych ulic oraz rzeczy, które musiał przemyśleć. Powinienem był odwiedzić Gísliego, siedziałbym teraz u niego, podchmielony i szczęśliwy, myśli Brynjólfur i patrzy spode łba na niski, ale dość długi budynek. „Sklep Snorriego”, głosi napis z boku, żółte litery na brązowym tle. Wyblakły kolor, wyblakłe życie. Sklep Snorriego stoi bokiem do Hansentún, teraz już za późno, by zawrócić. Obaj pracownicy, Björn i Bjarni, ojciec z synem, go dostrzegli i machają do niego wesoło. Zawsze mamy kłopot z rozróżnieniem ich, zwracając się do nich, musimy zgadywać, nie pomaga w tym ich uprzejmość czy powściągliwość, bo nigdy nas nie poprawiają i reagują na imię, którym się do nich zwróciliśmy. Brynjólfur ma świetną pamięć i tak często przebywał w ich towarzystwie, że ich imiona mu się nie mieszają. Chyba że jest wstawiony, wtedy wiele rzeczy w jego pamięci zaczyna pływać, w życiu zresztą też. Trzy piwa dają już o sobie znać, wchodzi więc do środka i mówi po prostu: witam was obu!

Wewnątrz nie jest tak przytulnie jak w sklepie Tryggvie-go, nie, to jak porównywać pagórek z górą. Podłoga skrzypi pod ciężarem kapitana, który kilkoma krokami podchodzi do lady. Ojciec i syn ubrani są w ciemne kurtki, które Snorri kazał im uszyć w czasach, gdy świat był jaśniejszym miejscem. Sklep świeci pustkami po zimie, a zbyt wiele z tego, co stąd wzięto, nigdy nie zostanie zapłacone. Większość klientów pochodzi ze starej dzielnicy.

Odwiedzają Snor-riego właściwie dopiero wtedy, gdy ich rachunki w dużych sklepach osiągają niebotyczną wysokość. Nikogo nie złości, że ludzie kupują coś u Snorriego, bo wiadomo, że gdy lato nadejdzie i przyniesie ze sobą ryby i dużo pracy, to ludzie spróbują najpierw spłacić swoje długi w większych sklepach, a dopiero potem u Snorriego.

Gdzie jest Snorri, chce zapytać Brynjólfur, podchodząc do lady. Skrzyp cichnie, a zamiast niego słychać cichy dźwięk organów, dochodzący z mieszkania Snorriego w drugim końcu budynku. Snorri siedzi przy organach, nuty rozłożone, wesóły Mozart miał ożywić poranek, dodać trochę optymizmu, a przede wszystkim wyciągnąć Snorriego z przepaści, ale kupiec zagrał tylko pierwszą stronę i nie mógł już więcej. Nie dziś. Za daleko do Mozarta, po drodze ocean i pół Europy. Snorri zamyka więc oczy i pozwala grać palcom. Poruszają się po zeszytce z nutami, który nosi w sobie, z organów spływa ciemność i przenika przez drewniane ściany. Wydaje się jednak, że nie ma to większego wpływu na ojca i syna. Uśmiechają się wesoło do kapitana, a raczej ku niemu, bo sięgają mu ledwie do ramion, on zaś patrzy z góry na ich głowy. Syn ma włosy przerzedzone na czubku, ojciec zaś pokaźną łysinę. Pracuje w sklepie od samego początku. Obaj tak mocno wierzą w Boga, że nie martwi ich niepewność interesu. Syn zbliża się do trzydziestki, ale nadal mieszka z rodzicami. Z wrodzonej uprzejmości ojciec i syn cofają się o krok, gdy ktoś wchodzi do sklepu. Ich matka i żona, Torfhildur, siedzi często z nimi za kontuarem i pomaga, gdy potrzeba, na ogół jednak zajmuje się czymś innym, robi na drutach swetry, skarpety i rękawiczki dla swoich mężczyzn i dla Snorriego. Cała trójka najlepiej się czuje ze sobą, nie muszą wiele mówić, bo sama obecność mówi to, co powinno zostać powiedziane. Mimo że są w tym samym wieku, Torfhildur zawsze nazywa Brynjólfura swoim ukochanym synkiem i wita go, głaszcząc po policzkach swoimi twardymi, ale ciepłymi dłońmi. Musi stać na palcach, by sięgnąć tak wysoko. W tej chwili jednak nigdzie jej nie widać, co niestety powoduje u Brynjólfura wielką ulgę. Zawstydzona ona i by ukryć to przed samym sobą, pyta: gdzie schowaliście to wasze babsko, Torfhildur? Chyba nie jesteście takimi potworami, by zostawić ją samą w domu?!

Brynjólfur udaje wesołość, uśmiecha się szeroko, czuje jednak ukłucie w sercu, gdy widzi, jak twarze ojca i syna pokrywa nagle cień. Zaraz jednak wraca na nie uśmiech. Nie odważyła się tu przyjść, odpowiada ojciec, Björn, albo Bjarni.

Syn: Ma paskudny kaszel.

Ojciec: Źle spała.

Syn: Niezbyt dobrze.

Ojciec: Nie. I miała gorączkę.

Syn: Ale nie za wysoką.

Ojciec: Nie, nie, nie ma o czym mówić.

Syn: Jutro stanie na nogi.

Ojciec: Tak, to nic takiego.

Syn: Nie, zupełnie nic.

Ojciec: Nie, zupełnie nic.

Stoją jeden przy drugim, dłonie na ladzie. Cztery czyste, piękne dłonie, jedna przy drugiej. Patrzą na Brynjólfura z zaskakującą przenikliwością, tak jakby chcieli go przekonać, jakby bardzo zależało im na tym, by się z nimi zgodził. Dlatego też uśmiechają się z wdzięcznością, gdy odpowiada: nie, to na pewno nic poważnego. Czuje się jednak jak najgorszy kłamca i mówi zakłopotany: dziś zaczynam przygotowywanie „Nadziei”. Tak, właśnie przyszedłem, żeby wam o tym powiedzieć. Przekażcie to Snorriemu, nie mam teraz czasu, żeby z nim porozmawiać. Statek wzywa, chłopaki, a kapitan musi tego wezwania posłuchać!

Odwraca się szybko, by nie widzieć radości i wdzięczności, które pojawiają się na ich twarzach, rusza w stronę drzwi. Ojciec podbiega do niego, chce coś powiedzieć, ale Brynjólfur nie daje mu szansy. Otwiera szeroko drzwi, wychodzi i oddala się od sklepu. Ojciec żegna go głośno i dziękuje mu, małe, lecz ostre sztylety, które trafiają go w plecy. Brynjólfur spogląda jeszcze szybko przez ramię, zanim inne domy ich zasłonią. Widzi, że obaj stoją w drzwiach i gdy dostrzegają jego twarz, zaczynają energicznie machać. Prawa ręka Brynjólfura chce się podnieść, ale oto pojawia się kolejny budynek i zamiast iść dalej w tym samym kierunku, w stronę Neðstueyri, gdzie zacumowana jest „Nadzieja”, skręca w najbliższą uliczkę i idzie prawie dokładnie w odwrotnym kierunku.

Geirþrúður stoi przed domem, gdy chłopak i Helga wracają obładowani z miasta, choć to głównie chłopak jest obładowany. Wisi nad nim niepewność, niczym mewa polarna, która dziobie go w głowę. Jest cały zakrwawiony. Dwa kruki skaczą wokół kobiety, która rozrzuca po śniegu resztki jedzenia, dwa kolejne siedzą na dachu i czekają. Dwa splechotki nocy. Helga zatrzymuje się na środku ulicy, zapewne po to, by nie przestraszyć czarnych ptaków. Chłopak nigdy wcześniej nie widział, by kruki podeszły tak blisko człowieka, Geirþrúður bez trudu mogłaby złapać tego, który stoi najbliżej. Odgarnęła łopatą śnieg i na dużym, wilgotnym miejscu rozrzuca coś, czego chłopak nie widzi zbyt dobrze, ale są to kawałki mięsa. Chłopak patrzy na Helgę, ale ta nie wydaje się zdziwiona. Kruk pochodzi z piekła, napisał ktoś kiedyś. Wyskoczył czarny jak smoła z gardła diabła, który użyczył mu swojego głosu i chytryści. Czasem nazywamy Geirþrúður kruczą matką. Zaczęła karmić kruki, gdy tylko tu przyjechała. Ludziom się to nie podobało, ale Guðjónowi to nie przeszkadzało, podobnie jak wszystko inne, czym się zajmowała. Mawiał tylko, że kruk to dziwny ptak, gdy jego przyjaciel, wielebny Þorvaldur, narzekał, że Geirþrúður ściąga tu kruki i że nie jest specjalnie budujące, gdy rano budzi cię to czarne krakanie. Powinieneś to zrozumieć, Guðjónie! Ale wtedy Guðjón patrzył tylko przed siebie i mówił: czytałem gdzieś, że w zamierzchłych czasach kruki miały głos delikatniejszy od Boga, ale ten, z jakiegoś powodu, odebrał im go i dał w zamian dźwięki, które mają nam przypominać o naszych grzechach. Cholerna bzdura, ale nawet bzdura może być ciekawa, co o tym sądzisz, mój drogi? Þorvaldur nie rzekł na to zbyt wiele, bo w tym czasie pił ostro i okropnie się zachowywał. Wylądował w Sodomie i upił się tam do nieprzytomności, nie miał więc ochoty rozmawiać o grzechach i wyrzutach sumienia. Przerwał rozmowę na temat kraków i nie wspomniał, że dwa z nich siedzą często na kalenicy kościoła, gdy wcześniej rano idzie na nabożeństwo. Wszystko od czasu, gdy Geirþrúður zaczęła je karmić. Krucza matka. Zgadza się. Jej włosy są czarne jak skrzydła kruka, oczy czarne jak bryłki węgla, które przez tysiące lat leżały głęboko w ziemi i nigdy nie padło na nie światło. Najodważniejsi powiadają, że

zamiast bicia serca słycać w jej piersi krakanie kruka, ale czy można wierzyć w to, co ludzie gadają. Kruki chwytają kawałki mięsa. Trzy z nich podlatują na dach, by je zjeść, a czwarty siada na domu Þorvaldura, kracze dwa razy i chyba każdy wzdryga się w sobie na ten dźwięk.

Geirþrúður czeka na nich przy bramie. Patrzy na chłopaka i jego nogi miękają w kolanach jeszcze bardziej. Podprowadzają go tak blisko niej, że widzi delikatne piegi i natychmiast jest im wdzięczny. Bez nich jej twarz z czarnymi jak węgiel oczami i mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi byłaby zimna i odpychająca. Geirþrúður wyciąga do niego rękę. Chłopak odkłada pakunki, a jej zimna dłoń natychmiast zaciska się wokół jego ręki.

Witaj, mówi Geirþrúður niskim, lekko zachrypniętym głosem. Chłopak rzuca w tym momencie szybkie spojrzenie na kruki.

Potem są już w jadalni.

Geirþrúður siedzi w ciężkim zielonym fotelu, a chłopak na ławie, z dużymi poduchami i bardzo miękką narzutą, którą głaszcze mimowolnie jak psa. Jego wzrok zatrzymuje się na niezwykle dużej sekreterze z niezliczonymi małymi szufladkami. Geirþrúður śledzi jego wzrok.

Podoba ci się ta sekretera?

Duża, odpowiada chłopak. I ma wiele szufladek.

Tak, mówi Geirþrúður, żeby mieć gdzie schować swoje drobiazgi, tak by niewielu miało do nich dostęp, a najlepiej tylko ty sam. Tu w środku jej chrypka nie jest już tak wyraźna, głos wydaje się bardziej miękki, niemalże leniwy. Czarne oczy utkwione są w chłopaku. Krucza matka, te słowa wystrzelują w jego myślach, wbrew niemu, sam nie ma wielkiego wpływu na to, co pojawia się w jego myślach. Człowiek to dziwne stworzenie. Ujarzmił siły natury, pokonał przeciwności, które wydawały się nie do pokonania, jest władcą ziemi, a nie panuje nad swoimi myślami, nad ich otchłanią. Co się w niej kryje, jak powstaje, skąd się bierze? Czy jest podporządkowana jakimś prawom, czy też człowiek idzie przez życie z groźnym chaosem w głowie? Chłopak próbuje przegnać z myśli wszystko, co niepotrzebne. Krakanie zamiast bicia serca, opowieści obcych marynarzy o Geirþrúður. Ma na sobie białą koszulę i długą czarną spódnicę. A może to nie spódnica? Chłopak nie jest pewien. Czarne włosy, które opadają z ramion na zielony fotel, są w nieładzie, tak jakby nie miała czasu ich uczesać. Siedzi na fotelu prawie w poprzek, podkłada sobie pod plecy poduszkę, przekłada nogi przez poręcz, niczym mała dziewczynka albo

niegrzeczne dziecko, a ma przecież trzydzieści pięć lat. Chłopak za to siedzi wyprostowany na pięknej ławie i wstydzi się swoich poplamionych lodenowych spodni. To takie małostkowe, wstydzić się z takiego powodu, gdy twój przyjaciel dopiero co umarł, zamarł na śmierć na twoich oczach, gdy życie wydaje się nie mieć sensu, znaczenia, a ty jeszcze tego samego wieczoru chciałeś się rzucić do oceanu. Pozostanę żaloszny aż do ostatnich chwil życia, myśli chłopak ze smutkiem.

Geirþrúður przesuwając serdecznym palcem po wargach, bardzo powoli, a potem przygryza go delikatnie białymi zębami. Wystawiony w stronę chłopaka kiel jest ostry jak u drapieżnika. Helga wchodzi z kawą i ciasteczkami czy ciastem na tacy. Chłopakowi, który całe życie spędził w prostym wiejskim domu i chacie rybackiej, trudno jest odróżnić eleganckie ciasteczka od zwykłego ciasta. Taca jest na pewno srebrna, a filiżanki białe, z liściowym wzorem.

Uff, myśli chłopak. To jedyne, co przychodzi mu do głowy.

Uff.

A potem ma w głowie pustkę.

Pusta, porzucona w pośpiechu przestrzeń.

Patrzy przed siebie, a krew uderza mu do uszu niczym wzbierająca kipiela. Helga chce coś powiedzieć. Porusza w każdym razie wargami, a on pyta: co?

Geirþrúður patrzy na niego, musi w tym celu obrócić głowę o czterdzieści pięć stopni. Czarne włosy opadają niczym skrzydła na twarz, na jej ustach pojawia się uśmiech. Wylądowałem w jakiejś powieści! Ta myśl przychodzi mu do głowy z pomocą, ratuje go. Gdzieś o tym wszystkim czytał: o ławie, fotelach, takich filiżankach, ciastkach i cieście oraz dwóch kobietach, których nie rozumie. To powieść, myśli zadowolony i nawet potrafi się uśmiechnąć. Jestem w środku powieści. Krew dudni mu w uszach. Czasem traci słuch, mówi Helga do Geirþrúður, i mowę też.

Nie wiem, czy będę umiał pić z tak pięknych filiżanek, mówi chłopak przepaszająco i dodaje, do tej pory znałem je tylko z książek. Ostatnia uwaga miała być wyjaśnieniem, ale zabrzmiała oczywiście nedorzecznie. Kobiety patrzą na siebie. Helga siada w fotelu z wysokim oparciem i uśmiecha się. Bardzo delikatnie, rzecz jasna, ale chłopak jest pewien, że ta zmiana w układzie mięśni jej twarzy to uśmiech, życzliwy wobec niego.

Nie możesz pozwolić, by ładne filiżanki wytrącały cię z równowagi, mówi

Geirþrúður łagodnym, leniwym głosem, gdzieś głęboko czai się w nim chryпка, krakanie kruka, które Geirþrúður stara się stłumić. Chłopak nie panuje ani trochę nad swoimi myślami. Nie trzeba specjalnych uzdolnień, by pić z ładnych filizanek i jeść eleganckimi sztuccami, choć to w gruncie rzeczy wielkie nieporozumienie. Człowiek to zwierzę, w najlepszym razie może i nawet szlachetne zwierzę, ale musi się odżywiać, srebro i porcelana niczego tu nie zmieniają, mimo że srebro może zmienić człowieka, jednak rzadko na lepsze.

Chcesz zapalić? pyta Geirþrúður, trzymając w dłoni posrebrzaną szkatułkę, wyczarowaną nie wiadomo skąd. Wyjmuje z niej cienką cygaretkę.

Nie, odpowiada chłopak, ale Helga bierze jednego. Geirþrúður podaje jej ogień i obie kobiety zaciągają się dymem. Geirþrúður zatrzymuje go dłużej, wydmuchuje powoli, a potem patrzy na chłopaka swoimi ciemnymi oczami. Dym rozplywa się i znika. Geirþrúður mówi: bardzo mi przykro z powodu Bárðura, był jednym z niewielu, których bardzo lubiłam. Straciłeś kogoś ważnego.

Chłopak upija tak duży łyk gorącej kawy, że łzy napływają mu do oczu, kaszle dwa razy, ból po stracie Bárðura niemal rozdziera mu pierś. Mimo to mówi jak ostatni głupek: bardzo dobra kawa. Oczywiście natychmiast tego żałuje. Najlepiej, gdyby teraz ktoś wszedł i strzelił mu w łeb.

Geirþrúður czeka, aż minie mu kaszel i wypije następny łyk kawy, i mówi: jeśli masz w sobie dość siły, to chętnie posłuchamy, jak to się stało.

Ta prośba dziwnie go nie przeraża, chłopak nie zamyka się w sobie. Wręcz przeciwnie, chce o tym opowiedzieć, rozpala go entuzjazm, tak jakby miało znaczenie, że siedzi tu z dwiema kobietami i wraca myślami do chwili, gdy otworzył oczy i zobaczył w otworze podłogi czarną głowę Pétura, a potem wyruszył z chaty w stronę nocy. Opowieść, która rozciąga się między życiem a śmiercią. Właśnie dochodzi do momentu, gdy kłapa w podłodze poddasza unosi się, pojawia się w niej głowa i Pétur niczym sam diabeł mówi: wypływamy dziś w nocy, gdy słyszą pukanie do drzwi. Prawdopodobnie do drzwi gospody, bo dźwięk jest bardzo słaby. Chłopak milknie.

Piwo ze sklepu Tryggviego, mówi Helga, wstaje, poprawia suknię i rzuca okiem na chłopaka. Poczekaj z dalszą opowieścią, mówi, a on kiwa głową, słyszy jej oddalające się kroki.

A teraz opowiedz mi coś o sobie, mówi Geirþrúður, prawie na niego nie patrząc. Zanim odwróci głowę, widać jeszcze przez chwilę jej oczy.

Nigdy byśmy tak nie zapytali.



Pytamy tylko o to, na co łatwo odpowiedzieć i co nikogo nie urazi. Pytamy o ryby, siano i owce, ale nigdy o życie.

Geirþrúður siedzi naprzeciw chłopaka jak źle wychowane dziecko, w którego oczach czai się noc. Pyta go o najintymniejsze rzeczy, a on zaczyna opowiadać, tak jakby było to zupełnie oczywiste. Nie mówi nawet „a więc”. Nie ma do opowiadania zbyt wiele, co mogłoby uratować tę sytuację i okazałoby szacunek wobec sił wyższych. Nie, po prostu zaczyna mówić. Mój ojciec utonął, gdy miałem sześć lat. Zaczyna od sedna sprawy.

Mój ojciec utonął, gdy miałem sześć lat. Mama została sama z naszą trójką, byliśmy mali, siostra jeszcze niemowlak. Szybko nas rozdzielono i wysłano w różne strony. Moim zdaniem świat, w którym żyjemy, nie jest najlepszy. Ojca pamiętam bardzo słabo, a to, co pamiętam najlepiej, znam od mamy. W listach do mnie opisywała ojca. Opisywała go tak żywo, że utkwił w mojej pamięci i nie ma chyba dnia, żebym nie miał wrażenia, iż jest obok mnie, więc nie czuję zbyt osamotnienia. Jego oczy śledzą mnie z dna oceanu.

Milknie, poruszony lub wściekły na samego siebie za to, że wyrwał sobie serce i pokazał je obcej kobiecie. Leży na wyciągniętej dłoni jak ślepy miauczący kotek.

Brzęk butelek i odgłosy dają mu czas, by dojść do siebie. Geirþrúður nie patrzy na niego, odwróciła głowę w momencie, gdy chłopak zaczął swoją opowieść. Odsunęła z twarzy krucze skrzydła, patrzy w bok. Pełen pogardy dla samego siebie i przygnębiony chłopak wpatruje się w podłogę, w miękkie, czerwony dywan z kwiecistym wzorem. Wszystko wydaje mu się bardzo obce. Geirþrúður sięga po kolejną cygaretkę, chłopak słyszy cichy dźwięk wciągania dymu, żar ożywia się i wędruje wzdłuż cygaretki. Życie to żar ogrzewający ziemię i sprawiający, że da się na niej mieszkać.

Jesteś mi winien ciąg dalszy tej historii, mówi Geirþrúður, gdy milczenie zagęszcza się wokół chłopaka i na niego napiera. W jej głosie daje się wyczuć jakąś łagodność, ale to na pewno tylko złudzenie, myśli chłopak. Mimo to czuje się trochę lepiej, na tyle dobrze, by podnieść wzrok i rozejrzeć się po podzielonym na dwie części pokoju. Odchyła się nawet na bok, by lepiej widzieć. Okno w przedniej części pokoju jest znacznie szersze i większe. Stoi pod nim wielki, solidny stół, nad którym zawieszony jest rozłożysty żyrandol. W kącie chłopak widzi fortepian, a w każdym razie wydaje mu się, że to fortepian.

Odchyła się w drugą stronę i widzi duży obraz, co najmniej dwa metry na dwa, przedstawiający tętniącą życiem ulicę dużego miasta. Wszystko wydaje się w ruchu, aż chłopakowi zaczyna kręcić się w głowie. Prostuje się. Uświadamia sobie, że musiał wyglądać dość dziwnie, przechylając się z jednej strony na drugą i gapiąc jak wół na malowane wrota, ale Geirþrúður zachowuje się, jakby nic się nie stało, pali w zamyśleniu swoją cygaretkę. Chłopak zauważa jakiś ruch, ktoś staje w drzwiach. Chłopak przygląda się i natrafia na martwe oczy w bladej twarzy Bárðura, w głowie słyszy drogi głos przyjaciela:

A ja myślałem, że przyjdiesz do mnie.

## XIII

Jego pierwszą pracą tu, w Plássið, poza służeniem Heldze jako zwierzę juczne w drodze ze sklepu, jest otwieranie butelek piwa Brynjólfurowi i dbanie o to, by Kolbeinowi nie zabrakło kawy w dużym dzbanku, który Geirþrúður kupiła dla niego w Londynie dwa lata temu. Dzbanek kosztował całego szylinga, ale należał przedtem do słynnego poety, Williama Wordswortha, który ofiarował światu wiele wierszy. Niektóre z nich błyszczą nad udręczoną i skupioną na sobie ludzkością.

Wspominamy o dzbanku i jego poprzednim właścicielu, dlatego że tylko dwie rzeczy miały znaczenie dla Kolbeina: literatura i ocean. Literatura jest jak ocean, a ocean jest mroczny i głęboki, ale także błękitny i wspaniały, pływa w nim wiele ryb, żyje mnóstwo najprzeróżniejszych zwierząt, a nie wszystkie z nich są dobre. Rozumiemy oczywiście zainteresowanie Kolbeina oceanem, ale nie pojmyj' emy, dlaczego pożerał książki jak głupiec. Jest rzeczą naturalną, że czyta się sagi islandzkie, bo dotyczą naszego narodu i są niekiedy bardzo ciekawe. Dużo się w nich dzieje, opowiadają o bohaterach, z którymi można się mierzyć. Oczywiście jest również, że czyta się stare baśnie i opowieści o życiu codziennym i wyjątkowych czynach, wścibia nos w ten czy inny wiersz, najlepiej pióra poety, który pisze o nas samych i zna się na sianokosach oraz na hodowli zwierząt. Ale że kapitan stawia literaturę na równi z rybami? Co z niego właściwie za kapitan? W końcu Kolbeinn nigdy nie zdobył kobiety, a wreszcie stracił jeszcze wzrok. Światło dnia odpłynęło od niego, a dookoła nastąpiła ciemność. Był świetnym rybakiem, w tym względzie niczego mu nie brakowało, silny i doświadczony w łowieniu ryb. Nie był oczywiście zbyt towarzyski i trochę szorstki w mowie, ale poza tym przyjemny dla oka i w ogóle dobra partia. Mimo to nigdy się nie ożenił i mieszkał z rodzicami, a potem oni z nim, gdy z wiekiem nie mogli już sami o siebie zadbać. Wspaniałe małżeństwo. Bardzo dobrzy ludzie, bez jednej plamki na sumieniu. Ojciec umarł pierwszy, w czasach gdy zainteresowanie Kolbeina słowami i literaturą dopiero się rodziło. Stary człowiek nie zdążył więc się zdenerwować, że jego jedynak, krew z krwi, marnuje pieniądze na książki. Ale matka dała się zarazić i umarła w czasie

lektury niemieckiej powieści w duńskim tłumaczeniu. Czytała w łóżku, gdy śmierć przyszła po nią powoli i łagodnie, a otwarta książka opadła jej na twarz. Kolbeinn myślał, że matka tylko się zdrzemnęła. Był środek dnia, matka stara, a drzemka dobrze robi starym kościom. Przez dwie, trzy godziny zachowywał się cicho i nie ruszał jej, ale przecież na niewiele się zdaje ruszanie martwych osób.

Gdy Kolbeinn stracił wzrok, miał jakieś czterysta książek. Niektóre z nich były wielkie i drogie, przyływały statkami z Kopenhagi, tak jak ta, która zabiła Baräura. Kupowanie książek kosztowało, rzecz jasna, mnóstwo pieniędzy, i kobiety, które marzyły o tym, by spędzić życie z tym pracowitym, choć zręcznym i czasem dziwnym kapitanem, dziękowały Bogu, że do tego nie dopuścił. A dziękowały mu jeszcze bardziej, gdy Kolbeinn stracił wzrok i został kaleką. Nie wiemy, kiedy właściwie wzrok zaczął mu szwankować. Bardzo umiejętnie to ukrywał, dopasował się do słabnącego widzenia i ułatwiał sobie zadania. Załoga zauważyła oczywiście zmiany w jego zachowaniu, ale kładła je na karb coraz większego zdziwienia kapitana; poza tym dopóki wypływał na połów, była to jego sprawa. A wypływał. Nie umiał już co prawda prowadzić statku, kierując się położeniem gór, płynął po prostu naprzód, jakby wyczuwał zapach ryb w oceanie. Ale potem wzrok całkiem przygasł. Kolbeinn kładł się spać i był jeszcze w stanie trochę czytać, przybliżając twarz do kart książki. Widział słabo swoje ręce i domy, które przed nim stały, ale gwiazdy na niebie już dawno dla niego zniknęły. Pewnego razu obudził się w całkowitej ciemności.

Z początku leżał spokojnie i czekał, aż wzrok, albo to, co z niego zostało, powróci. Leżał tak długo, jak tylko mógł wytrzymać. Potem zaczął poruszać głową. Rozglądał się powoli na boki, otwierał oczy, mrużył je, ale nic się nie zmieniało. Jego oczy były martwe, a ciemność otoczyła go tak ściśle, że nie mógł oddychać. Usiadł szybko, by złapać oddech, uderzył się w głowę, najpierw lekko, potem mocniej, walił głową w ścianę, coraz szybciej, jakby w nadziei, że to, co się rozpadło, złączy się ponownie. Ale ciemność nie ustąpiła, nie wypuściła go. Złapała go i już nigdy nie puściła. Wstał z łóżka i swobodnie podszedł do fotela pod oknem. Usiadł wyprostowany, z zakrwawioną twarzą i czekał na swojego sternika. Myślał o nożu, który bez trudu przecięłby żyły. Ale najpierw musiał porozmawiać ze sternikiem, a potem spróbować nabazgrać coś na kartce, jakkolwiek mu to wyjdzie. Był właścicielem połowy statku, wszystkich tych książek i domu. Nie mógł tego tak prostu zostawić, bez uregulowania kwestii

dziedziczenia. W przeciwnym razie sukinsyny i żarłoczne rekiny pokroju Friðríka i Lárusa rozgrabią wszystko i wyrzucą to, co ich nie interesuje. Sternik przyszedł w końcu, by sprawdzić, co u Kolbeina. Zwykle to Kolbeinn przychodził do niego. Cała załoga zachodzi w głowę, co się stało.

Jesteś chory? zapytał sternik z wahaniem, czując, jak przenikają go chłód i lęk na widok zastygłej krwi i przerażająco pustych oczu. Kolbeinn zwrócił swą straszną twarz w kierunku, z którego dochodził głos, i powiedział spokojnie, stanowczo: dziś ty poprowadzisz statek, oślepiłem. Idź już, porozmawiamy później. Sternik wycofał się niepewnie, ze strachu przed ślepyimi oczami, jak zawsze w obawie przed tym pieprzonym człowiekiem. Wrócił na statek, nie mówił wiele, a powiedział o tym dopiero wtedy, gdy odpłynęli już dość daleko i przed sobą mieli pięć dni rejsu.

Kolbeinn w tym czasie po omacku chodził po domu w poszukiwaniu pióra i kartki, przewrócił się dwa razy o meble i uderzył o półkę z książkami. Siedział długo pod nią, dotykając grzbietów książek. Kto wie, może piekło to biblioteka, a ty jesteś ślepy, wymamrotał. Próbował się uśmiechnąć, ale na próżno. Z oczu spłynęły mu cztery łzy, może pięć. Oby nie więcej, pomyślał zawstydzony, że nie mógł znieść ciosu bez łez, tych przezroczystych ryb.

Nic więcej nie ma w człowieku. Jak przychodzi co do czego, to załamuje się jak zmurszały kawałek drewna, powiedział do Geirþrúður, która znalazła go siedzącego pod półką z książkami.

Jesteś ślepy? zapytała Geirþrúður. Nie z troski czy współczucia, lecz tak po prostu, jakby pytała go, czy boli go palec.

A jak myślisz? odparł sarkastycznie i poprosił, by znalazła mu pióro i kartkę. Zrobiła to bez słowa, położyła mu jedno i drugie na kolanach. Wziął pióro do ręki i wyjął książkę z półki. Chciał jej użyć jako podkładki, ale siedział tylko i nie robił nic. Czas mijał, a Geirþrúður, która przyszła oddać jedną książkę i wypożyczyć następną, także siedziała i czekała, aż Kolbeinn powiedział: nie umiem pisać.

Co chcesz napisać?

Nie twoja sprawa.

Święta racja, ale mimo to mogę to dla ciebie zapisać.

W takim razie bierz to gównno, powiedział i rzucił pióro i kartkę w ciemność, skąd dochodził jej głos.

Co mam pisać?

Jestem właścicielem połowy statku, tych książek i tego domu. Nie chcę, żeby jakiś sukinsyn położył na tym łapę.

Mam to napisać?

Oczywiście, że nie. Co z ciebie za idiotka.

Dlaczego myślisz, że ktoś położy na tym łapę?

Bo jestem kaleką i niedługo umrę.

O ile wiem... umilkła, ale po chwili ciągnęła dalej, żyjesz i oddychasz.

A gdy nic nie odpowiedział, dodała: chyba że źle widzę.

Kolbeinn wzdrygnął się lekko, ale udawał, że nie dosłyszał, i powiedział: chyba nie sądzisz, że będę tak żył, ślepy kaleka, ciężar dla innych, wymagający stałej opieki nie zdara?

Chcesz się zabić?

A co innego mam zrobić? Zatańczyć?

Mógłbyś zamieszkać ze mną i Helgą, czasem brakuje nam towarzystwa.

Nazywasz mnie towarzystwem?!

Dostaniesz porządny pokój, w którym zmieszczą się wszystkie książki.

Sprzedasz dom, a ja przejmę twój udział w statku i będziemy kwita.

Gdy ma się do wyboru życie albo śmierć, większość wybiera życie.

Geirþrúður poprowadziła Kolbeina przez Plássið do domu, jak starego, godnego litości psa, dla którego wybawieniem byłoby, gdyby ktoś go zastrzelił. Było to cztery lata temu. Od tego czasu Kolbeinn nie doszedł dalej niż do bramy. Siedzi w ogrodzie, gdy pogoda jest ładna, a słońce ogrzewa powietrze. Najlepiej jednak czuje się w gospodzie, popijając kawę i słuchając gości, jeśli są. Helga i Geirþrúður czytają mu na zmianę, najczęściej popołudniami i wieczorami, gdy ciemność czyni świat bardziej miękkim i rusza w przestrzeń, w pogoni za gwiazdami. Siedzą wtedy razem w izbie, ta dziwaczna nieświęta trójca. Nigdy nie udało się nam zrozumieć, dlaczego Geirþrúður wzięła starego łupacza, ponuraka i samotnika, do siebie. Wcześniej prawie się nie znali, kilka razy pożyczala od niego książki. Ale może po prostu dobrze im się razem żyje. On ślepy, ona głucha na konwenanse.

Teraz jednak trójca nie jest już trójcą, bo dołączył do niej chłopak. Nalewa kawy do dzbanka, który swego czasu należał do angielskiego poety, i za każdym razem mówi „proszę bardzo”, choć Kolbeinn udaje, że nie wie o jego istnieniu.

Tak jakby mnie nie widział, mruczy chłopak do siebie i trochę go to bawi.

Opowiedział trójcy o tym, jak życie zamieniło się w śmierć.

Helga wróciła i przyholowała Kolbeina, a chłopak opowiedział im o rejsie.

O tym, jak Bárður zapomniał peleryny, jak wypłynęli wyjątkowo daleko. Opowiedział o tym, jak pogoda się popsuła, jak zrobiło się zimno i zaczęło wiać, a w końcu pierwsze fale zaczęły się rozbijać o łódź. Bárður natychmiast przemókł do suchej nitki i zmarzł tak bardzo, że niczego nie zmieniłoby, gdyby ktoś pożyczył mu pelerynę, poświęcając swoje życie, a może nawet życie ich wszystkich. Kto zmoknie tak na otwartym oceanie, w sztormie i mrozie, jest skazany na śmierć. Być może wtedy chłopak nie chciał sobie tego uświadomić, ale teraz staje się dla niego jasne, że jedyną nadzieją dla Bárðura było jak najszybciej zmierzać do lądu, zrzucić śnieg i lód z żagla, z łodzi, tak by mogła szybciej płynąć. A mimo to nie była to żadna nadzieja, tylko złudzenie. Ułuda.

Potem chłopak opowiedział o tym, jak wędrował przez dolinę i ciemną noc z książką, która zabiła jego przyjaciela. Blask gwiazd, bez ciebie, nie może być słodki.

Geirþrúður słuchała z półprzymkniętymi oczami, jej jasne powieki opuściły się jak noc na oczy. Helga wpatrywała się w czerwony dywan, bo przecież trzeba gdzieś skierować wzrok, oczy nie są jak ręce, które mogą po prostu zasnąć, albo nogi, na które już od dawna nikt nie zwraca uwagi. Oczy są zupełnie inne, odpoczywają za zamkniętymi powiekami, za zasłoną snów. Z oczami trzeba obchodzić się ostrożnie. Musimy myśleć o tym, gdzie je kierujemy i kiedy. Całe nasze życie bierze się z oczu, mogą być jak strzelba, muzyka, śpiew ptaków, wojenna zawierucha. Mogą nas zdradzić, mogą uratować albo wystawić na strzał. Ujrzałem twoje oczy i moje życie się odmieniło. Jej oczy mnie przerażają. Jej oczy mnie hipnotyzują. Spójrz na mnie, a wszystko będzie dobrze, będę mógł zasnąć. Stare przypowieści, równie stare jak ludzkość, mówią, że nikt nie odważy się spojrzeć Bogu w oczy, bo kryje się w nich źródło życia i czarna otchłań śmierci.

Chłopak opisał oczy Bárðura. Musiał je opisać, ożywić, pozwolić im jeszcze raz zabłysnąć. Brązowe oczy, które nieznanemu obcy marynarz zostawił tutaj po sobie dawno temu. Gdy to opowiadał, Geirþrúður i Helga rzadko na niego patrzyły. Geirþrúður chyba tylko raz, Helga nieco częściej, za to ślepe oczy kapitana spoczywały na nim cały czas i nie ustępowały, zimne, pozbawione życia. Przyciemnione okna, przez które nic nie wejdzie i nic nie wyjdzie.

Opowieść okazała się dłuższa, niż się spodziewał. Chłopak zapomniał się. Zniknął samemu sobie. Wyszedł z życia i zniknął w opowieści, dotknął w niej swojego martwego przyjaciela i go ożywił. Być może celem opowieści było przywrócenie Bárðura do życia, by mógł wejść uzbrojony w słowa do królestwa umarłych. Słowa mają olbrzymią moc i mogą zabić bogów, uratować życie i zabrać je. Są jak strzały, pociski, mityczne ptaki, które ścigają bogów. Słowa to tysiącletnie ryby, które wytropią potwora w głębinach, są siecią na tyle wielką, by zmieściła się w niej ziemia i niebo. Ale czasem słowa są niczym, to strzępy tkaniny, przez które przenika mróz, bezużyteczne szanse, które bez trudu pokona śmierć i nieszczęście.

Słowo to jednak wszystko, co chłopak ma, poza listami od matki, spodniami, wełnianą bielizną, trzema cienkimi książkami czy tomikami wierszy, które zabrał ze sobą z chaty, gumowcami i zdartymi butami. Słowa to jego najwierniejsi towarzysze, ale mimo to są zupełnie bezużyteczne – nie udało mu się bowiem ożywić Bárðura, a Bárður cały czas o tym wiedział. Dlatego właśnie stanął wcześniej w drzwiach i powiedział: a ja myślałem, że przyjdiesz do mnie. Nie rzekł jednak tego, co chłopak sam sobie dodał: bo ja nie mogłem do ciebie przyjść.

Gdy skończył opowieść, zapanowała cisza, którą sam przerwał, mamrocząc w zamyśleniu: muszę napisać do Andrei, że żyję.

Cisza, która zapada po długiej opowieści, wskazuje, czy opowieść miała jakieś znaczenie, czy była opowiedziana na próżno, czy dotarła do głębi i coś poruszyła, czy też może była tylko stratą czasu i niczym więcej.

Nikt z nich nie ruszał się aż do chwili, gdy silne uderzenie wyrwało ich z letargu. Ktoś walił w drzwi. Helga powoli wstała i podeszła do chłopaka z piórem i kartką, mówiąc: musimy dbać o tych, którzy są dla nas ważni i mają dobre serce. Nie wolno nam tego odsuwać na później, bo życie jest na to za krótkie i czasem kończy się nagle, o czym mogłeś się boleśnie przekonać. Wyszła, by sprawdzić, czyja pięść jest sprawcą uderzeń.

Musimy dbać o tych, którzy są dla nas ważni i mają dobre serce.

To powinna być jedna z życiowych zasad i niech diabeł kopnie w dupę tego, kto jej nie przestrzega.

Suknia Helgi szeleściła, gdy ta wychodziła z pokoju. Helga zostawiła po sobie zapach i ciepło na policzkach chłopaka, kiedy pogłaskała go szybko po twarzy



czterema palcami. Stary Kolbeinn wstał, mamrocząc coś cicho i niewyraźnie. Oparty na lasce wyszedł po omacku z pokoju, znał drogę i szedł szybko za Helgą, jej zapachem i szelestem sukni. Chłopak został sam na sam z tą kobietą o oczach czarnych jak styczniowa noc. Wpatrywały się prosto w niego, gdy trzymał w dłoni pióro, wypływało z nich jej wewnętrzne życie, zabarwione ich kolorem.

Znaliśmy bardzo dobrze Bárðura, mówi cicho i ostrożnie, będziemy za nim tęsknić, każde z nas na swój sposób. Także Kolbeinn, mimo że nie wygląda, jakby za kimkolwiek tęsknił. Ale na palcach jednej ręki policzysz tych, którym Kolbeinn pożycza książki, a zwłaszcza tę książkę.

Usłyszeli kroki Helgi, szybkie i zdecydowane. Niektórzy chodzą tak, jakby ich nic nie mogło wytrącić z równowagi, jakby żadna droga nie była dla nich problemem, ale są też tacy, którzy zawsze się ociągają. Jak widać sposób chodzenia może bardzo wiele powiedzieć o człowieku: podejdź do mnie, a powiem ci, czy cię kocham.

To Brynjólfur, mówi Helga w drzwiach, a chłopakowi wydaje się, że na twarzy Geirþrúður dostrzega lekki uśmiech.

Spragniony piwa, dodaje Helga. Nie wyglądasz na zadowoloną z tego powodu, mówi Geirþrúður z tym samym lekkim uśmiechem. Helga kręci głową. Miał przecież zabrać się do przygotowywania statku, po prostu, mówi.

Nic nie jest proste, odpowiada Geirþrúður. Poza tym lepiej chyba, że pije tutaj niż u Marty i Ágústa. Geirþrúður udaje, że nie słyszy fuknięcia Helgi, odwraca się do chłopaka i mówi, jakby już wcześniej coś ustalili: to będzie twoja pierwsza praca tutaj. Jednemu kapitanowi będziesz podawał piwo i dbał o to, by drugiemu nie brakowało kawy. Potem kupisz sobie porządne ubranie. Są rzeczy, które pasują na morzu, i takie, które pasują na lądzie. Helga pójdzie z tobą po południu i dopilnuje, żebyś kupił coś porządnego. Zapłacę za to. Zakładam też poza tym, że będziesz tu mieszkał, dodaje, śledząc wyraz twarzy chłopaka, wyraz twarzy kogoś, kto nie wie, czy odczuwa ulgę, wstyd czy po prostu radość.

Przyszedłem tu tylko po to, by oddać książkę, wydusza w końcu z siebie chłopak po długim milczeniu i po tym, jak wytrzymał wzrok obu kobiet.

Geirþrúður kładzie swój długi, szczupły palec na ustach i mówi: nie zawsze wiemy, czego chcemy, albo po prostu odsuwamy to od siebie. A gdzie chcesz pójść? Trudno mi sobie wyobrazić, byś mógł znowu wypłynąć na ocean, raczej nie jesteś marynarzem. Szkoda by cię też było do pracy przy soleniu ryb. Myślę,

że nie wiesz, co możesz zrobić i kim jesteś, ale ja i Helga mamy swoje przypuszczenia, a jak się postaramy, nie jesteśmy takie głupie. Dlatego pozwól nam zdecydować za ciebie, przynajmniej na początek. Będziesz musiał oczywiście odpracować wikt, opierunek i ubrania, a zaczniesz od obsługi naszych dwóch kapitanów.

Ale ja nic nie umiem, wyrywa się chłopakowi.

To dziwne.

Słowa mają w zwyczaju wyrywać się z niego i dlatego opowiada takie głupstwa, przez które wpada w tarapaty i niepotrzebnie ściąga na siebie uwagę, co zresztą oznacza tyle co tarapaty. Czasem próbuje naprawić te głupstwa, dodając natychmiast coś od siebie, ale tylko pogarsza sprawę. W tej chwili dodaje: właściwie to dostałem już na lato pracę w sklepie Lea. Ja i Bárður ustaliliśmy to z Jónem, a właściwie Bárður ustalił, to on załatwił nam pracę, a teraz nie żyje, a ja nie wiem, co robić, zakończył krótkie, chaotyczne wyjaśnienie. Co ja, do cholery, gadam, przeklął samego siebie.

Geirþrúður nie dała się wyprowadzić z równowagi i powiedziała tylko: ten, kto nic nie umie, nie ma czego szukać w sklepie Lea. Tove już w pierwszym tygodniu potnie cię na kawałki i da rybom na pożarcie, chcesz tego? My tutaj, nasza trójca, w tym momencie uśmiechnęła się wyraźnie, umiemy ocenić ludzi takich jak ty lepiej niż Tove. Umiesz czytać i wydaje mi się, że masz ładne pismo, nieprawdaż?

Chłopak skinął tylko głową, bojąc się otworzyć usta, by znów nie powiedzieć czegoś głupiego.

A więc to, co umiesz, nam wystarczy, bo tutaj naprawdę bardzo niewielu potrafi czytać. Między czytaniem a czytaniem jest wielka różnica. Proponuję, żebyś nadal z nami mieszkał, dwa tygodnie albo dwadzieścia lat, jak postanowisz. Możesz odejść, kiedy tylko zechcesz. Dostaniesz pokój, w którym spałeś, i możesz spróbować dogadać się z Kolbeinem w sprawie korzystania z jego biblioteki, ale poczekaj z tym trochę. Niech się do ciebie przyzwyczai. Będziesz mu czytał wieczorami, a wtedy stopniowo zmięknie. Tu w pokoju jest tylko kilka książek, bierz, którą chcesz. I jeszcze jedno: powinieneś być przygotowany na to, że jeśli z nami zamieszkas, niektórzy ludzie będą obrzucać cię błotem. To przeze mnie, ale będziesz musiał się z tym pogodzić.

Zawsze lubiłem kruki, mówi chłopak, znowu bezmyślnie, słowa po prostu

z niego wypadły. Kto siedzi tam na dole i nimi steruje?

Ku jego wielkiemu zdziwieniu i uldze obie kobiety się uśmiechają. Widzi komplet białych zębów Geirþrúður. Dwa ostre kły i trochę nierówne siekacze w dolnej szczęce, to bardzo mu się podoba. To, co jest białe i zupełnie równe, na dłuższą metę staje się nudne. Nie ma życia bez grzechu.

## XIV

I oto siedzi tutaj, przy dwóch kapitanach i z piórem w dłoni. Co ma napisać, „droga Andreo”, czy raczej: „kochana Andreo”? Kolbeinn i Brynjólfur siedzą przy narożnym stoliku po prawej stronie. Helga nauczyła chłopaka najważniejszych gestów, jak podawać piwo, kawę i jak to zapisać. Zawołaj mnie, jeśli nie będziesz dawał sobie rady, powiedziała i zniknęła, zostawiając go samego z dwoma starymi mężczyznami. Brynjólfur spogląda na niego co jakiś czas, włosy i broda potargane, dawaj piwo, cholerny szczeniaku, woła donośnym głosem, mimo że nie opróżnił jeszcze poprzedniej butelki. Rusza się jak zasrane ciele, mówi do Kolbeina. Ale chłopakowi wszystko jedno, czy jest nazywany cholernym szczeniakiem, czy zasranym cieleciem. To tylko słowa, a słowa są bezsilne, gdy człowiek jest na nie obojętny. Wtedy po prostu przechodzą przez niego i nie dotykają niczego w środku. Poza tym Brynjólfur o wiele większą wagę przykładają do piwa niż do chłopaka, a z każdym kolejnym piwem jego nastrój łagodnieje. Dwa piwa, i świat nie jest już zły oraz pełen różnego rodzaju śmieci, które porządnego człowieka doprowadzają do szaleństwa. Bo my jesteśmy porządnymi ludźmi, ja i ty, mówi Brynjólfur do Kolbeina, który odpowiada ochrypłym, skrzeczącym głosem: porządek to coś dla niewinnych aniołów.

Nie rozumiem cię, mówi Brynjólfur głosem tak niskim, że gdy stoi na pokładzie i wydaje komendy, to ryby drżą w oceanie.

Nie oczekiwałem tego, słyszy w odpowiedzi.

Więc mi to wytłumacz i niech diabeł porwie tego chłopaka, bo moim zdaniem to tylko niegroźny, żaloszny głupek.

W takim razie diabeł się nim nie zainteresuje, mówi Kolbeinn, ci niegroźni dostają skrzydeł anielskich.

Dziwny jesteś, wydobywa się z olbrzymia, i właśnie dlatego zawsze tak cię lubiłem. Potem stare wilki morskie rozmawiają o rybach i oceanie, a chłopak przestaje słuchać, słucha ich może tylko jednym uchem, albo nawet i to nie. Słucha tylko tyle, by usłyszeć, jak zamawiają piwo albo kawę. Lepiej dla niego, gdy reaguje natychmiast i wychodzi na głupka. Gdy Brynjólfur ma piwo, to

potrafi siedzieć sam ze swoimi myślami, a Kolbeinn popija kawę, równie czarną jak ciemność, która go otacza. Są w podobnym wieku, ale twarz Kolbeina wydaje się dużo starsza, o jakieś sto lat. Rozmawiają o oceanie i mordędzie na statku, z wielką pasją o rybach, bo w ich żyłach płynie dorsz, głęboko w wątrobie jest rekin. Są sztormy i ataki zimna, są śmiertelnie mroczne oceany, Brynjólfur chwieje się i trzyma mocno stołu, by nie wypaść za burtę. Gruby język Kolbeina zlizuje sól z ust. Chłopak przynosi Brynjólfurowi ósme piwo, równie często dolewa kawy do dzbanka angielskiego poety. Poecie chce się pić, mówi Kolbeinn i podnosi dzbanek, a chłopak natychmiast przynosi kawę. Na początku nie wiedział o Wordsworsie i że to on był właścicielem dzbanka, dziwiło go bardzo, że Kolbeinn nazywa siebie poetą, kapitan zadziwiał go jeszcze bardziej. Co za pieprzony poeta, zapytał w końcu Brynjólfur, gdy Kolbeinn zamówił po raz czwarty kawę i rozglądał się wokół siebie, jakby chciał kogoś pobić. Chłopak nie ważył się oddychać.

Głupi jesteś, warknął Kolbeinn, to był angielski poeta, do którego należał ten tu dzbanek. Patrzy sarkastycznie, twarz przybiera ponury wyraz, a bezużyteczne oczy wpatrują się w Brynjólfura, który nagle robi się bardzo smutny. Radość z piwa znika, Brynjólfur spuszcza swoją wielką głowę. Dlaczego jesteś taki ponury, mruczy, ale Kolbeinn nie odpowiada, bo też co miałby odpowiedzieć. Przez chwilę słychać tylko siorbanie kawy. Brynjólfur wpatruje się w butelkę i próbuje odzyskać radość. Chłopak pisze „kochana Andreo” i nagle chce wielokrotnie podkreślić słowo „kochana”, bo przenika go miłość do Andrei. Jest teraz sama w chacie, a Guärun w swojej. Dlaczego nie myślę już o Guärun, serce nawet nie drgnie, gdy myślę o tym imieniu. Gdzie jest teraz Baräur, ta martwa, bezużyteczna powłoka, którą porzuciłem? Gdzie będzie się znajdować do czasu, aż ktoś po nią przyjdzie? Czy dobrze zrobiłem, tak szybko odchodząc? Czy nie była to ucieczka, zdrada? I dlaczego, do cholery, właśnie teraz przypomina mi się ta Ragnheiäur, dlaczego pokazała mi ten swój pieprzony koniuszek języka? Chłopak patrzy na kartkę i nie słyszy od razu wołania Brynjólfura, dając mu tym samym wspaniałą okazję, by nawrzeszczał na tę kupę śmiecia, jaką jest chłopak. Ale w jego słowach nie ma już groźby, Brynjólfur odzyskał radość, doszedł do wniosku, że Kolbeinn jest w porządku. Jesteś po prostu ślepy, dodaje, tak jakby trzeba to było podkreślać.

Bystry jesteś, odpowiada krótko Kolbeinn i znowu rozmawiają o oceanie. Trafiają w sam środek, są w niebezpieczeństwie, przeszłość uwalnia ich na

chwilę od terażniejszości, od smutku, melancholii, ciemności. Chłopak trzyma w ręce pióro i ze spuszczoną głową przygląda się Kolbeinowi, próbuje zbudować sobie jego obraz, ale oczywiście nie potrafi. Odczuwa szacunek, a właściwie ma pietra, boi się mu czytać, być w jego pobliżu. Miejmy nadzieję, że one też będą słuchać, wtedy nie byłoby tak źle. Czy będzie musiał mu czytać dziś wieczorem? Łupacz, myśli o rybie. Czy łupacz zawsze jest w złym humorze, czy tylko tak wygląda? Kręci głową, ilu rzeczy jeszcze nie wie. Napisał na razie: „kochana Andreo”, a teraz dodaje: „żyję, udało mi się”. Odkłada pióro. Dlaczego, do licha, miałbym żyć? Nic mnie nie interesuje, a już najmniej Ragnheiður, tak chłodna, że serce się kurczy. Niczego nie chcę i niczego nie pragnę. Patrzy speszony na pióro. Wcale nie chce umrzeć. Wola życia tkwi w kościach, płynie wraz z krwią. Czymże jesteś, życie? pyta po cichu i jest mile całe od odpowiedzi. Nic dziwnego, nie znamy odpowiedzi, a mimo to żyjemy i umieramy, przekraczamy granicę, której nie widać, a która mimo to jest jedyną rzeczą mającą znaczenie. Czymże jesteś, życie? Być może odpowiedź tkwi w pytaniu, w tym zdziwieniu, które niesie ono ze sobą. Światło życia gaśnie i ciemność nastaje natychmiast, gdy przestajemy się dziwić, przestajemy pytać, a życie traktujemy jak każdą zwyczajną rzecz.

Chłopak myśli o bibliotece kapitana, którą widział na półkach, od momentu gdy opowiedział mu o niej Bárður.

Czterysta książek, nic więcej człowiekowi w życiu nie trzeba. Poza oczywiście wzrokiem, myśli sobie niemal złośliwie, ale wzdryga się, gdy ślepiec przechodzi obok niego i znika wewnątrz domu, głośno zamykając drzwi za sobą.

Jeszcze jedno piwo, smarkaczu, woła Brynjólfur i chłopak przynosi mu dziewiąte piwo. Piwa znikają w olbrzymie, jestem tak wielki, że moje ciało może przyjmować je bez ograniczeń, wyjaśnia Brynjólfur chłopakowi. Siadaj tu koło mnie, do kurwy nędzy, inaczej stłukę cię na kwaśne jabłko. Trudno siedzieć samemu, człowiek robi się taki samotny, gdy jest samotny. Bądź tak dobry i nie zostawiaj starego człowieka.

Chłopak jest dobry. Nie odchodzi od stołu, nie mógłby zresztą, bo Brynjólfur zamknął jego prawą dłoń w swojej łapie. Chłopak siada obok pijącego w skupieniu piwo trolla, który zaczyna opowiadać o swoim starym kumplu, Norwegu Ole. Pływali razem piętnaście lat, przeżyli niejedną sztorm i najwściekłejsze morza, a Ole jednak utonął. Przy zupełnej flaucie, gdy statek

stał u nabrzeża. Był pijany w sztok i walnął o coś łysą głową, rozbił gładką tafle fiordu i już nigdy nie wypłynął na powierzchnię. Nie zdążył nawet dopić butelki, którą kupił u Tryggwiego, butelki francuskiego koniaku, na który długo oszczędzał. Wyłowiono zwłoki z wody i wtedy okazał się, że do połowy pełna butelka tkwi zatknięta solidnie za pasek spodni. Kurwa, mówi Brynjólfur w połowie opowieści o Norwegu. Zamyka i otwiera oczy, wysuwa przed siebie rękę. Nie widzę już wyraźnie! Wrzeszczy tak, że wszystko dookoła drży: tracę wzrok! Pieprzony staruch mnie zaraził!

Brynjólfur zamyka oczy, ale otwiera je znowu, gdy chłopak wyjaśnia mu, że po dziewięciu piwach każdy traci wzrok. Kapitan jest tak wdzięczny, że puszcza rękę chłopaka, który rozciera ją sobie pod stołem.

Jest późne popołudnie i słońce oczywiście wchodziłoby przez okna do gospody, gdyby tylko udało mu się przebić ku ziemi przez chmury. Ale nawet wtedy nie podniosłoby się na tyle wysoko, by oświetlić Tangi, główne budynki w centrum. Eyarfjallið wznosi się w niebo i przykrywa domy swoim cieniem. Ale gdyby słońce było na niebie, to szybko dotarłoby przez okno do domu niedaleko starej dzielnicy. Siedzi tam kobieta i patrzy przed siebie. Ma duże oczy, niczym koń, który całe życie spędził w rześistym deszczu. Kobieta siedzi bez ruchu, jak ktoś, kogo opuściła radość życia. Kiedyś, dawno temu, śmiała się bardzo często, a wtedy jej oczy były jak słońce nad jej życiem. Zimne i twarde sople lodu, zwisające z budynku, zamieniały się w orzeźwiające krople wody. Gdzie się podziała radość tych oczu? Kobieta tylko siedzi bez ruchu i patrzy przed siebie, jakby czekała na kogoś, kto wyjechał tak daleko, że nie starczy mu życia, by wrócić. Siedzi pochylona, z opuszczonymi ramionami, będzie tak siedzieć cały dzień, a gdy zacznie się ściemniać i wszystko robi się mniej wyraźne, bardziej będzie przypominać kupkę nieszczęścia niż człowieka. Gdzie jest sprawiedliwość w tym zasranym życiu? Rodzisz się z najpiękniejszymi oczami na świecie, mija trzydzieści lat, a one nie są już tak ładne, są po prostu za wielkie i śledzą cię pełne wyrzutu, a ty, gdy w nie patrzysz, nie czujesz nic poza zmęczeniem i zawodem.

Do diabła, patrzysz w nie i myślisz o przemokniętym koniu, żeby nie powiedzieć: szkapie. Oszalałeś, chłopaku, nigdy nie nazwałbym tak swojej żony, a ten, kto powie coś podobnego, pozna siłę moich pięści! Brynjólfur wali w stół, chłopak wzdryga się, słysząc brzęk pustych flaszek, które Brynjólfur starannie ustawił w rzędzie przed sobą. Osiem, nie, dziewięć pustych butelek. Kapitan

ponownie chwytą rękę chłopaka, niestety dokładnie w tym samym miejscu. Trzyma mocno, będą z tego paskudne sińce, ale chłopak nie ma odwagi się ruszyć. Gdybyś tylko widział, jak moja żona kiedyś się śmiała, chłopcze, i widział jej oczy. Ach, co się stało, gdzie się podziała radość i dlaczego moja żona tak się zmieniła? Skąd się bierze ta ciemność i szarość? Wiesz, chłopcze, jako dzieci bawiliśmy się z Kristjánem, nasza trójka zawsze trzymała się razem. Nikt nie zabierze ci dobrych, jasnych wspomnień, ale złe wspomnienia też nie giną, z czasem prześladują cię jeszcze mocniej, do diabła. Kristján utonął, wiedziałeś o tym? Ocean go zabrał. Taki już los nas, marynarzy, ale bardzo za nim tęsknię, nie mam z kim porozmawiać. Wiesz, że Bryndís to jego córka? Bryndís, ładne imię. Czy Bóg nie wymyślił go po to, by lepiej nam się żyło? Ale, drogi przyjacielu, chciałbym, żebyś zobaczył wtedy jej oczy, nie, nie Bryndís, tylko... do stu tysięcy diabłów, nawet nie pamiętam, jak ma na imię!

Brynjólfur patrzy ogłupiały przed siebie i nie pamięta imienia, które wryło się w jego życie. Imię kobiety, z którą się bawił, gdy całą trójką byli dziećmi, zimą budowali igloo, a latem szalały, a ona wtykała sobie kaczeńce we włosy i chodziła po okolicy niczym słońce. Była jak bajka.

Brynjólfur marszczy czoło, ze wszystkich sił stara się przypomnieć sobie jej imię i puszcza mimowolnie rękę chłopaka, który oddycha z ulgą, ale po cichu. Wreszcie w pijanych przekrwionych oczach pojawia się błysk, jak blask przejrzystego myślenia, jak światło w gęstej mgle: za dużo piję. Brynjólfur mówi to zdecydowanie i mocno, spuszcza głowę dla potwierdzenia swoich słów i dodaje: tak, i zawodzę wszystkich. Brynjólfur patrzy na chłopaka, ale ma kłopot, by widzieć go wyraźnie. Odchyła głowę, mruży oczy i powtarza: wszystkich! Zawodzę ją, wiesz, moją żonę, i jej oczy, zawodzę je każdego dnia. Zawodzę Snorriego, i to boli. Zawodzę tych kochanych chłopaków, Björna i Bjarniego, i ich Torfhildur. Jak można zawieść kogoś takiego jak ona? To dopiero podłość! Co ze mnie za człowiek! Pomyśl, dziś rano życzyłem jej, by umarła. A wiesz dlaczego? Bo jest dla mnie dobra! Ufa mi i ładnie się do mnie zwraca. Ale zamiast być wdzięcznym, unikam jej, bo przypomina mi o tym, że ją zawodzę. Pomyśl, co by było, gdyby umarła dziś albo jutro. Czy nie powinienem się wtedy zabić? Mimo wszystko nie jestem złym człowiekiem, tkwi we mnie po prostu to pieprzone przygnębienie, tu w środku, mówi i bije się w pierś. Są tam jakieś małe czarne stworki, które wdarły się do mojego serca. Czasem nie czuję



ich wcale, tak, mijają całe miesiące, a ja zaczynam myśleć, że coś je zabiło, że jestem wolnym człowiekiem. Ale wtedy znowu się odzywają i biorą do roboty, silniejsze i bardziej ponure niż kiedykolwiek wcześniej. Próbowałem je zalać, wypić całe cholerne mnóstwo piwa i whisky, ale najwyraźniej umieją pływać i mszczą się, gdy trzeźwieję. Nie wyobrażasz sobie, co to za zemsta, jesteś jeszcze taki młody. Och, gdyby tylko mogła się znowu śmiać, wtedy jej oczy byłyby piękne, a wszystko byłoby dobrze. Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć, jak ma na imię, wtedy poszedłbym prosto do domu, wziął ją w ramiona i ze łzami w oczach błagał o przebaczenie. A potrafię płakać, wierz mi. Jak ona ma na imię?

Brynjólfur milknie. Stara się utrzymać głowę prosto i sięga po rękę chłopaka, który ją wycofuje. Dla kapitana nie ma to znaczenia, nawet nie zauważa tego i szuka dłońmi w powietrzu. Mógłbym tu zostać jakiś tydzień, myśli chłopak. Mnie to nie zaszkodzi, a Andrea nie musiałaby się o mnie martwić. Może nawet dwa tygodnie. W ciągu dwóch tygodni na pewno dam radę przeczytać ze dwie powieści i trochę wierszy, poza tym, co muszę czytać Kolbeinowi. To żadne oszustwo żyć dwa tygodnie dłużej, myśli zadowolony, a nawet szczęśliwy. Nagle w gospodzie robi się zimno, chłód przebija się przez ubranie i dociera do skóry. Chłopak podnosi wzrok i widzi zimne oczy Bárðura, który stoi przed Brynjólfurem. Bárður otwiera sine od mrozu i śmierci usta: jak długo mam na ciebie czekać, pyta jego głos w głowie chłopaka. Jak długo ma czekać twoja matka i siostra, która ma dopiero trzy lata? Dlaczego ty masz żyć, a my nie? Nie wiem, mamrocze, drżąc z zimna, chłopak. Wstaje, patrzy na Bárðura i wrzeszczy: nie wiem!

Cisza, ani słowa, dudni Brynjólfur i chwyta rękę chłopaka w żelaznym uścisku. Czeka, nie odchódź! Coś się dzieje, cicho, ani słowa, nadchodzi! Brynjólfur pochyla się do przodu, jakby po to, by lepiej słyszeć, odbiera wiadomość, odbiera imię, od którego zależy jego życie, pochyla się do przodu, zamyka oczy, wielka głowa opada, a on zasypia, zanim jeszcze czoło dotknie blatu stołu.

I oto znowu są tylko oni dwaj, chłopak i Bárður, ten, który żył, i ten, który umarł. Chłopak uwalnia rękę i nie spuszcza oczu z Bárðura, który otwiera zsiniałe usta i mówi: jestem tu samotny.

Ja też, odpowiada chłopak, na poły przepraszająco. Podnosi głos i mówi: nie odchódź, choć nie wie, co ma na myśli. Bárður nie odpowiada, tylko się gorzko uśmiecha. Zaczął padać śnieg. Pada w ciszy za oknem. Duże, wirujące płatki

śniegu, podobne do anielskich skrzydeł. Chłopak siedzi bez ruchu, anielskie skrzydła wirują na dworze. Patrzy na Bárðura, który powoli rozplywa się i zamienia w lodowate powietrze.

[1](#) John Milton, *Raj utracony*, przeł. Maciej Słomczyński, Kraków 1974.